

M A R E K T R O J A N O W S K I

PSYCHOPATOLOGIA SPOŁECZNA

Internet 2008

Śniadanie

Wstałem. Jak zwykle kurewsko zacząłem dzień.

- Kawa, gdzie jest kawa? Przecież muszę ją wypić inaczej cały dzień będzie do dupy – pomyślałem. Pościel zesmacona, ubranie dawno straciły swą świetność.

- Trzeba tylko znaleźć świeżą bieliznę – powiedziałem do siebie i rozpocząłem poszukiwania.

Szafa, pod szafą, może pod łóżkiem... nie tu nie znajdę niczego co można jeszcze użyć bez przykrych konsekwencji o charakterze dermatologicznym.

W trakcie poszukiwań spotkałem kolegę, w zasadzie stałego sublokatora. Szczur wędrowny. Niezły. Wielki i soczysty, sierść błyszczy na nim jak psu jajca. Miałem kiedyś taką fantazję, żeby drania upolować. Jakie on ma szczęście, że nie gustuje w narkotykach. Kto wie, jakie safari mógłbym urządzić w narkotycznym odurzeniu. Zapewne jego skóra zdobiliby moją ścianę i byłaby największym z moich trofeów, jako łowcy szczurów.

Kolega szczur nieświadomy moich fantazji stał spokojnie na tylnich łapach, w przednich trzymając kawałki czegoś tam. Nie wiem czym się żywi, ale klimat tego miejsca wyraźnie mu służy. Przykład świetnej symbiozy istot rozumnych. On wie, że u mnie znajdzie zawsze jakiś ochłap do jedzenia i ja wiem, że jak mi zabraknie żarcia, to mogę upolować szczura. Poza tym jest genialnym odkurzaczem, zżera wszystko, co jest w zasięgu długich czułek umieszczonych wokół ryjka.

Grzebiąc w stercie książek, poczułem celofan opakowania pod ręką. Teraz sobie przypomniałem, że na któreś urodziny dostałem komplet bielizny, której nigdy nie otworzyłem, bo kto nosiłby gacie z krasnoludkami. Niestety brak bielizny, który najbardziej doskwiera pod sztywnym, tajwańskim džinssem, jest niezwykle rzeczywisty.

A propos tajwańskiego džinsu i džinsu w ogóle. Gdyby ktoś poprosiłby mnie o wskazanie powodów ponadczasowej popularności tego materiału, to odpowiedziałbym: sukces džinsów zaczyna się w epoce głupich kowbojów, kiedy to wybitnie odmóżdzeni Amerykanie – chyba jedyne istoty na świecie, które zamiast palić tytoń, żują go – zaczęli paść krowy i poszukiwać złota. Okazało się wówczas, że tylko jeden rodzaj materiału, właśnie džins, charakteryzuje się taką odpornością na czynniki zewnętrzne, że się nie drze po pierwszym tygodniu noszenia. Jego natura i właściwości były tym samym trochę podobne do tych troglodytów w kapeluszach uganiającymi się za cielakami w lassem w ręku wrzeszczących przy tym: „iiii haaaa!”. Nastąpiła tu ta sama korespondencja charakterowo-materiałowa, co na dalekim wschodzie, tylko, że w Chinach, wielowiekowym państwie kultury, skośnooki charakter znalazł swój wyraz w ultradelikatnym jedwabiu, o którym głupi matoł na koniu w kowbojskich butach nie miał w ogóle pojęcia. Innymi słowy, to w epoce dzikiego zachodu džins, jako wyraz głupoty i brutalności pojawił się w kulturze. Ale dlaczego jest popularny do dnia dzisiejszego? To proste. W każdej społeczności, choćby nie wiem jak była ukulturalniona głupota jest wartością stałą. Zawsze i wszędzie głupota była jest i będzie. Mało tego. Nie jest to kategoria czysto socjologiczna, ale twór jak najbardziej realny, dlatego też potrzebuje swoich środków wyrazu – to jest, między innymi: džinsów. W tym wszystkim najgorsze jest jednak to, że kowbojsko-amerykański styl życia, to ujeżdżanie byków z mordą pełną tytoniu, skolonizował nawet daleki wschód. Dziś tam produkuje się džinsy. Idziesz do sklepu i mówisz sprzedawczyni, że chcesz amerykańskie levisy. Pani ci daje pięćsetjedynki, zakładasz je na dupę, płacisz jak za jedwab malowany ręcznie. A kiedy wracasz do domu, by nacieszyć się tym prymitywnym gównem, znajdujesz małą etykietkę: „Made in Taiwan”.

- Lecz ja nie mam nawet tajwańskiego džinsu! Ja w ogóle nie mam spodni! – dotarło to do mnie po chwili. Postanowiłem zatem założyć jedyną część garderoby, która potencjalnie mogłaby okryć moje penis i pośladki.

Po odpakowaniu kompletu i pierwszej przymiarce, muszę powiedzieć, że nie było aż tak źle jak myślałem.

- Relatywizm jest relatywny – powiedziałem do szczura, który teraz stał się niewidoczny. To, co wcześniej wydało się komuś ładne, ergo godne bycia prezentem urodzinowym a mnie paskudne (do tej pory nie odpakowałem przecież tych gaci i pewnie nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie potrzeba chwili) dziś wydało mi się czymś, co można bez straty dla zmysłu estetycznego nosić.

Nóż, margaryna, chleb.

- O nie, to ekstrawagancja, jeść chleb w czasach, gdy wszyscy jedzą ekologiczne pieczywo, które smakiem i wyglądem przypomina złożony papier toaletowy.

Oczywiście szczur nie narzeka. Szczur zresztą nigdy na nic nie narzekał, ani jednej skargi przez tyle lat wspólnego życia. Nie marudził, gdy co dwie sekundy zmieniałem kanały tematyczne w telewizorze. Nie protestował, gdy dłużyłem w nosie a następnie kulałem babole w palcach by później strzelać nimi na zakurzoną podłogę. Idealny partner życiowy!

-No właśnie gdzie jest mój przyjaciel? – pomyślałem i zacząłem uważnie doglądać szarej skórki buszującej po kuchennej podłodze.

- O jesteś! – gdy się nagle pojawił, rzuciłem mu okruc.

Nawet mu to na rękę, raczej na zęby. Gryzoniom podobno całe życie rosną siekacze i czerstwe pieczywo jest dobre jako materiał ścierny. Gdyby jego jedyneczki regularnie nie były ścierane, porysowałyby nimi podłogę. A wówczas mógłbym się na niego o to nieźle wkurwić. Bałagan bałaganem, syf syfem, ale porysowane podłogi to już gruba przesada.

Pierwszy kęs. Zęby jak żarna młyńskie pracują. Już czuję jak ściera się szkliwo, już widzę uśmiech mojego dentysty, zdzierającego ze mnie forsę rekonstruując któregoś z siekaczy, który ani chybi skapituluje za którymś śniadaniem.

Dentyści to w ogóle dziwna grupa zawodowa. To chyba jedyny taki przypadek w historii, że ludzie stworzyli mit świeżego oddechu i piszczącego pod językiem szkliwa, by zarobić na tym górę szmalu. Kto w średniowieczu mył zęby? Kto chodził do dentysty? A ludzie mimo to żyli. To samo kilka stuleci wcześniej! Na przykład, u takiego Plutarcha żadna z postaci nie ma problemu z uzębieniem. Żadna także średniowieczna kronika nie wspomina o królu czy też świętym, któremu puchnie mordą. Dopiero całkiem niedawno wymyślono bzdurę szczotkowania zębów. Nikt oczywiście nie mówi tego głośno, ale prawda jest taka, że jak się jakiś kawałek metalu poleruje nieustannie, to ten metal się ściera. Tak samo dzieje się z zębami. Dentyści wymyślili sobie, że namówią ludzi do regularnego szczotkowania zębów. Podpisali następnie tajną umowę z producentami past, by ci dodawali jakiś materiał ścierny do swoich produktów wzbogacony kwasami czy innymi środkami żrącymi. Tak powstały pierwsze pasty do zębów. Ludzie oczywiście je kupują i używają, bo nasłuchali się bzdur o świeżym zapachu z mordy, o tym, że jak nie będą szczotkować regularnie siekaczy, to im one wypadną. I napierdalają szczoteczkami ruchy okrężne, ścierając warstwę ochronną, zwaną szkliwem. I im bardziej regularnie to robią, tym bardziej zbliżają się do tego etapu w swoim życiu, w którym w mordzie zamiast zębów będą mieli plastikowe protezy. Pic polega na tym, że za każdym razem zarabia dentysta i producent pasty do zębów, bo protezę też trzeba myć.

Ale nie ma tego złego. Szczur dawno dokończył swój kąsek i teraz łakomie spogląda ukradkiem na miliardy odruchów, które spadają na podłogę. Jak ta bestia odróżni okruc od zwałów kurzu i ziemi, które grubą warstwą ścielą podłogę?

No nic, teraz pomału trzeba to coś przełknąć i już mniej cholesterolu w organizmie. Kurwa, znowu zaoszczędziłem sobie kilka chwil życia. Pożyję dwie minuty dłużej, nie zapchają się

moje żyły, umysł zachowa przytomność, no i starcza demencja mnie nie dopadnie. A jeżeli dopadnie i umrę szybciej niż to wynika z moich obliczeń, pozwę producenta tego czegoś do sądu, za brak efektów zdrowotnych. Zgodnie z opisem na opakowaniu, po tak ekstremalnej dawce witamin i przeciwutleniaczy powinienem świecić a moje ciało powinno przypominać starożytnych herosów. Jednak dziś ani ja, ani mój prywatny szczur nie przypominamy, choćby w ogólnych zarysach adonisa.

Teraz trochę trucizny – kawa – tak na wszelki wypadek. Podobno się nie zasypia po kawie. Ale dlaczego ja znowu ziewam? Szczurowi oszczędzę tego oszustwa. Niech pije rosę z kranu w łazience, oczywiście niech się najpierw dostanie do niego.

Ta cyniczną myślą zakończyłem pierwszy posiłek – śniadanie z głowy.

- Aha! Przecież trzeba napić się soku – najbardziej zdrowotnej i wykwintnej substancji jaka kiedykolwiek istniała na ziemi. Prawdziwa uczta dla zmysłów i bakterii jelitowych, które z niecierpliwością czekają na kolejną porcję błonnika, który sprawia, że się krócej w kiblu siedzi.

Moje upodobanie, a w zasadzie swoista sokomania, była chyba od zawsze wpisana w naturę, która przypadła mi w udziale. Na imię dano mi Sok, bo widocznie moi rodzice antycypowali ową niezwykłą namiętność, jaką darzyłem od niepamiętnych dla mnie czasów wszelkie odmiany soku. Co więcej, zawsze mi powtarzali: „Synu nie pozwól, aby imię twoje odmieniano przez przypadki. Ma być nieodmienne, tak jak ty!“. Nigdy nie dowiedziałem się, co chcieli przez to powiedzieć. Gdy byłem mały, to nie interesowałem się tym, gdy dorosłem i chciałem się tego dowiedzieć – moi rodzice nie żyli.

Tym czasem szczur ponownie zniknął, poszedł pewnie załatwiać swoje szczurze sprawy, bo nie samym chlebem przecież żyje. Muszę iść do pracy. 7, 8, zbliża się 9 a ja jeszcze ciągle tu siedzę.

Wychodzę z mieszkania. Jeden i drugi obrót klucza i po sprawie – drzwi zamknięte. Cały czas zastanawiam się dlaczego je zamykam? Przecież kto kradnie gnój z chlewu? Do tego nie potrzeba wyrafinowanych technik złodziejskich, żeby się w takie dobra wzbogacić. Ale cóż, nauczyli mnie zamykać, więc zamykam. Niedługo będą kazali zamykać wszystko, bo przecież wszystko można ukraść, tylko na dzień dzisiejszy nie wszystko można sprzedać.

Spotkanie

Idę sobie ulicą ubrany w wykwintną bieliznę w krasnoludki. Jest mi kurwesko zimno. Patrzę w niebo i mówię:

- Niech się stanie ciepłość.

Powtarzam to kilkadziesiąt razy, coraz bardziej marznąc.

Istota najdoskonalsza mnie olewa. Czy ja od niego wymagam żeby morze się rozstało? Czy życzę sobie, by mnie lwy nie pożarły? Czy może o to, by wyróżnął moich wszystkich wrogów? Zawsze proszę go o takie banalne rzeczy, a on nigdy nie odpowiada. Ale to dobrze.

Upewniam się tym samym o jego nieistnieniu, bo co innego gdyby któregoś razu mi odpowiedział – już nie mówię o tym, żeby spełnił jedną z moich banalnych prośb, ale zwyczajnie odpowiedział. Ale on milczy. I dobrze, bo musiałbym inaczej zacząć żyć, a nie chciałbym porzucać swojego dotychczasowego sposobu życia, który mi nad wyraz odpowiadał. Chociaż muszę przyznać, że od pewnego czasu trapiła mnie taka oto myśl: „A co jeżeli on jest? I kiedy umrę, to będę smażył się za swoje grzechy, wraz z miliardami mi

podobnych w kotle pełnym wrzącej smoły”. Wkrótce jednak porzuciłem owe wątpliwości natury ontologiczno-teologicznej. Nie dlatego, żeby nie były interesujące same w sobie, ale z powodu doniesień prasowych o sapiącym biskupie, który tak bardzo przejął się rolą pasterza bożej trzódki, że każdego wieczoru zakradał się owym owieczkom do łóżka, włożył pod kołdry a następnie sapał, mlaskał i pocił się niemiłosiernie. Owieczki, jak to z owieczkami zwykle bywa w podobnych sytuacjach, nie wykazały ani krztyny zrozumienia dla sługi bożego. Wyrwały się i płakały. Trudno się im zresztą dziwić. Człowiek cierpi bardzo jak ma zatwardzenie, co dopiero gdy ktoś – nawet jeżeli to jest najbliższy współpracownik stwórcy – wkłada ci kutasa w odbył na siłę i na dodatek dyszy: „Alleluja!” Wówczas doszedłem do wniosku następującego: skoro sługa zachowuje się tak, jakby nigdy nie miał dobrego pana, to znaczy się, że tego pana nie ma, albo ten pan jest taki sam jak sługa. Wolałem pozostać przy tym, że pana nie ma, czyli że bóg nie istnieje.

Nawet nie zauważyłem jak znalazłem się w samym centrum miasta. Wszędzie pełno ludzi, którzy nieustannie mnie mijają. Wszyscy wyglądają tak samo. Garnitury, kostiumy, te same perfumy. Nikt nikomu nie patrzy w oczy. Wszyscy w ziemię. Rządzi nimi osobliwa reguła chodu: prawą stroną ulicy wszyscy idą w jedną stronę, lewą zaś w drugą. Czasami pojawi się ktoś wyraźnie niezorientowany, kto idzie pod prąd, ale ten musi się przepychać, rozpychać łokciami by przejść, by iść w swoją stronę, która jest przeciwna do głównego nurtu. Pomijając ten wyjątek osobniczej aberracji, wszyscy ludzie, zarówno ci po lewej, jak i po prawej stronie ulicy karnie maszerują w jednym kierunku. Jak wojsko lądowe w natarciu – lewa, lewa, lewa, cały czas do przodu, byle naprzód. A kurwa spróbuj czegoś zapomnieć! Spróbuj zawrócić! To cię zmiażdżą, rozdepczą na placuszek, wetrą eleganckimi bucikami w beton. I nikt nie zauważy trupa na bruku, nikt się nie zatrzyma. Staniesz się rozjechanym kotem na ulicy, którego zwłoki rozprasowuje kolejne i kolejne auto.

Nikt nie zauważa subtelnego piękna moich majtek. Po co je założyłem!? Przecież mogłem ich w ogóle nie zakładać? Mogłem iść nago! Mogłem w ogóle nie iść! Mógłbym w ogóle nie istnieć!

Czuję się wspaniale, całkowicie samotnie. Kiedy wszyscy zachowują się jakby tu ich nie było, jakby nie istnieli mógłbym nawet założyć sobie te krasnoludki na głowę i tak nikt by się nie dziwił.

- Może jednak sprawdzę czy ludzie mnie oszukują, w ten sposób, że nie zwracają na moje estetyczne dziwactwo uwagi, ponieważ nie chcą mi robić przykrości? – pomyślałem a droga między myślą a czynem jest w moim przypadku krótka, zatem postanowiłem to sprawdzić. Zagadnąłem człowieka obok:

-Przepraszam pana, gdzie znajduje się najbliższa biblioteka. Chciałbym coś poczytać i...

- zanim dokończyłem zdanie, na które się bardzo siliłem, żeby swoją formą wzbudziło zainteresowanie: tzn. wypowiedziałem je głośno, ważyłem akcenty itp., mój interlokutor nawet na mnie nie patrząc odparł:

- Nie wiem!

Znam te słowa, znam ten zwrot: „nie wiem”. Nie ma on z wiedzą nic wspólnego. Jest to przypudrowany i owinięty w garnitur kurtuazji zwrot: „spierdalaj”. Choć z drugiej strony „nie wiem” może oznaczać także, że „nie mam wiedzy, tej konkretnej wiedzy a inną mam, a przynajmniej mam wiedzę o tym, że nie wiem”. Natchniony tym niezwykle skomplikowanym wywodem, z którego do dziś jestem niezwykle dumny jako facet w majtkach, postanowiłem wyciągnąć empiryczne konsekwencje z owego ciągu myślowego. Zagadnąłem zatem drugiego człowieka:

- Przepraszam! – chwyciłem kolejnego człowieka za ramię, żeby mi nie zwał. – Czy pan coś wie?

Pierwsze uczucie, które doświadczyłem, to uczucie ciemności i niezwykłego ciepła na policzku.

- Co mogło być jego źródłem? - przez chwilę przemknęła mi myśl, że to może któryś z moich licznych pryszczycy nagle eksplodował a twarz zalała się krwią, zmieszaną z złocistą substancją. No tak, problem ciepła wydaje się rozwiązany, ale skąd ta ciemność? – Oto kolejna łamigłówka.

- Muszę to sprawdzić. Co jest przyczyną sprawcą mego samopoczucia?

Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Z powodu ciemności (bo nagle także straciłem zdolność widzenia) nie mogłem polegać na wzroku, który w tej chwili nie istniał. Postanowiłem wykorzystać inne zmysły. Kiedyś jak zawiązałem mojemu szczerowi opaskę na oczach sam widziałem jak ta sprytna bestia bezbłędnie rozpoznawała swój świat – skoro szczur z takim małym mózgiem to potrafi, to ja tym bardziej dam radę. Sięgnąłem dłonią do twarzy, żeby sprawdzić czy nie mam przepaski na oczach, i aby zweryfikować swoją teorię na temat ciepła na twarzy. Dotknąłem zatem twarzy, trafiając bezbłędnie w epicentrum pulsującego ciepła. Faktycznie, coś to jest, ale nie mogłem zlokalizować wzgórka, pozostałego po domniemanej erupcji pryszczycy. Zamiast tego wszędzie odczuwałem wilgoć pod palcami. I w tedy, gdy kontemplowałem charakter tej płynnej substancji, zdarzył się cud! Jakaś nieznaną siłą przywróciła mi wzrok. Najpierw pojawiały się mgliste kontury, potem nawet całe kształty o wyraźnych rysach, a w końcu kolory. Świat musi być pełen takich cudów, no bo jak wytłumaczyć to, że głodnemu po zjedzeniu posiłku głód ustaje? Przecież nie może być udziałem kromki chleba, że człowiek czuje się szczęśliwy. No, ale koniec tych ekstrawagancji introwertycznych, pora ostatecznie rozwiązać tajemnicę mego cudu i ciepła na twarzy, które teraz właśnie zmieniło się w odczucie szczypania.

Jak już nadmieniałem: w niezrozumiały sposób odzyskałem zdolność widzenia. Postanowiłem zatem ową umiejętność wykorzystać. Spojrzałem na dłoń, która chwile wcześniej miała dostarczyć mi obrazu rzeczywistości. Mój wzrok skupił się na dłoni, zwłaszcza na dwóch palcach, które miały kontakt z niezidentyfikowaną substancją. Okazało się, że były czerwone.

- Myśl! Myśl! – powtarzałem sobie i jak się okazało na próżno. Jak nigdy, tym razem nic nie przychodziło mi do głowy. W chwili, gdy odczuwałem straszliwą pustkę we łbie, nagle dotarł do mnie głos z zewnątrz:

- Nic się panu nie stało? Chce pan chusteczkę?

W pierwszej chwili oczywiście nie wiedziałem, że to był głos z zewnątrz. Myślałem, że to kolejny omam wywołany tym niesamowitym przeżyciem, które pełne było równie niesamowitych zagadek. Jak się jednak dowiedziałem, że właśnie był to głos z zewnątrz i dlaczego był to właśnie głos?

Otóż, jak czytelnik się mógł zorientować, całkiem niedawno cudownym sposobem odzyskałem wzrok i rozpocząłem mozolny proces rozwiązywania problemu ciepła na twarzy. W tej samej chwili, gdy opuściłem krainę, jak mi się zdawało, wiecznego mroku, mój mózg zarejestrował kolejny bodziec – był to jakiś dźwięk. Jednak mój mózg także, całkiem niezależnie od mojej woli, rozpoczął identyfikację źródła tego impulsu fonicznego. Widocznie nie mogąc go odnaleźć w swojej strukturze – czyli odrzuciwszy idee wewnętrznej halucynacji, rozpoczął poszukiwania w innych rewirach. I tak oto, ta pracowita substancja, zatrzymała się na zmyśle słuchu. Innymi słowy, źródło dźwięku musiało być poza mną. W ten sposób został odkryty początkowo niezidentyfikowany obiekt, który, co się miało za chwilę okazać: był człowiekiem. W tej chwili, gdy obiekt został zidentyfikowany jako źródło dźwięku, mój wzrok, także całkiem automatycznie i niezależnie od mej woli, rozpoczął proces dokładnej identyfikacji gatunku, do którego mógł należeć ów twór wydający dźwięki. W związku z tym, że przypominał on z grubsza, swoimi konturami znajome mi odbicie w

zwierciadło, mogłem wnioskować, że był to człowiek. Miał kończyny, tułów, wyprostowaną sylwetkę. Jedyne, co go różniło ode mnie, to dwie fałdy tłuszczu, zwisające z miejsca, w którym ja miałem klatkę piersiową, a których kontury jedynie majaczyły pod warstwą odzienia.

- Może jest upośledzony – pomyślałem przez chwilę. Ale do głowy mi nie przyszło, że to nie upośledzenie, lecz oznaka kobiecości, która zwie się piersiami, których dotykание sprawia dziwną przyjemność. Ale o tym za chwilę.

Kiedy już dotarła do mnie świadomość wiedzy, że ów głos wydał właśnie człowiek i dlatego ten dźwięk, można nazwać głosem, postanowiłem rozszyfrować ów przekaz.

Oczywiście na ten temat mógłbym napisać kolejne trzy strony swoich wywodów, ale mając na uwadze zdrowie psychiczne tych, którzy to w tej chwili czytają, dokonam prostego skrótu myślowo-sytuacyjnego. Zapytałem:

- Dlaczego pani przypuszcza, że mi się coś stało? Czy dlatego, że nagle chce mi pani ofiarować niezwykle finezyjną, koronkową chusteczkę?

- Nie, ale ma pan krew na twarzy – odpowiedziała, a ja, gdy to usłyszałem wpadłem w panikę.

„Jak mogę mieć na twarzy krew!? Tyle razy się uczyłem, że krew płynie w żyłach i tętnicach, więc w jaki sposób mogą ją mieć na twarzy?!” W jednej chwili ilość zagadek w moim życiu przekroczyła masę krytyczną i właśnie szykowałem się do utraty świadomości, gdy nagle owa niewiasta wysłała kolejny komunikat o następującej treści:

- No, niech pan otrze tą krew inaczej zapaskudzi... - w tym momencie jej przekaz się urwał.

„Widocznie – pomyślałem – chciała powiedzieć ubranie, ale niestety ja nie mam na sobie ubrania, oprócz bielizny w krasnoludki”.

- Dobrze, proszę mi dać chusteczkę – odpowiedziałem naprędce, żeby nie wprawić ją w większą konsternację, i zacząłem ocierać twarz. Właśnie wtedy dotarło do mnie, że owo ciepło na twarzy, musiało być efektem rozlewu krwi. „Ale dlaczego teraz czuję to okropne szczypanie?” – ta myśl odbierała mi spokój ducha.

- Proszę pani, przykro mi, że zniszczyłem pani taką piękną chustkę. Naprawdę nie wiem, skąd się wzięła ta krew – wyznałem intensywnie wycierając twarz.

Kiedy byłem całkowicie zajęty doprowadzaniem do porządku fizjonomii, dotykając wreszcie nosa poczułem ból. W tym momencie nieznaną damą odpowiedziała:

- Jak to pan nie wie? Przecież ten typiek zdziesiął pana prosto w mordę – mówiąc to wskazała na oddalającą się sylwetkę jednego z tych, co chodzą przez całe życie w garniturach. Gdy mi to powiedziała, nagle uzyskałem całkowitą jasność umysłu. Tak przypomniałem sobie.

Chciałem sprawdzić swoją tezę na temat wiedzy potencjalnej, na przypadkowo wybranym osobniku, żeby uprawdopodobnić wyniki eksperymentu, ale niestety, obiekt badań wykazał niezwykle niezrozumiałość dla potrzeb nauki i dla postawy naukowej, i jak to powiedziała kobieta – „zdziesiął mnie w mordę!” Stąd krew i odczucie szczypania, stąd dziwny, początkowo niezrozumiały zanik zdolności widzenia! „Tak, to wszystko wydaje się mieć sens” – pomyślałem. Ale było coś niespójnego w tej, naprędce skonstruowanej teorii. Wiedziony instynktem badacza-sceptyka, zgadnąłem niewiastę:

- Czy jest pani pewna, że on mnie uderzył? – wskazałem palcem na typka, którego kontury z trudnością wyłoniłem z tłumu szarych garniturów. –

Niewiasta odpowiedziała bez chwili namysłu:

- Tak.

Teraz dopiero wpadłem w panikę. Wszystkie moje dotychczasowe koncepcje szlag trafił. Jeżeli ten, który mnie uderzył był człowiekiem, to znaczy, że nie był człowiekiem.

Uwaga do czytelnika:

Nie martw się drogi czytelniku! Jeżeli wykazałeś tyle silnej woli aby brnąć w moją historię, mój dylemat „człowieka – nie-człowieka” za chwilę stanie się i tobie zrozumiałym.

Dowód

Postanowiłem zignorować na czas rozwiązywania powyższego dylematu kobietę, która zapewne czekała na zwrot chusteczki, i zmusić umysł do pracy, aby wyjaśnić ów problem.

- Ten stwór, którego uznałem za człowieka, mnie uderzył – pomyślałem. Odrzuciłem tezę o przypadkowym geście ręki tego osobnika, która także całkiem przypadkiem rozkwasiała mój nos. Sprawa była dla mnie oczywista. Otóż musiało być to zaplanowane działanie. Cel – nos, działanie – cios, efekt – rozbity nos, ciemność, ciepło, krew i to całe chujowe uczucie.

- Skoro było to zaplanowane działanie, to nie może być mowy o przypadku, o zwykłym, naturalnym zbiegu okoliczności? – kontynuowałem monolog wewnętrzny – Zatem było to całkiem świadome działanie ukierunkowane na konkretny cel, którym było niewątpliwe pogorszenie mojego samopoczucia no i zdrowia fizycznego: czyli jakaś forma zła. Jednak, jak człowiek może czynić zło, będąc człowiekiem? Przecież, człowiek jest człowiekiem dlatego, że ma zdolność rozróżniania tego, co dobre i tego, co złe. Skoro potrafi dokonać rozróżnienia, które nie może być trudne, bo jest wpisane w jego naturę ludzką, to musi wiedzieć, co jest dobre, a co jest złe.

- Jeżeli człowiek wie, czym jest dobro, to jak może czynić zło? – ta myśl nie opuszczała mojej głowy i legła u podstaw mojego zwątpienia w otaczający mnie świat, który jak zakładałem miał być światem ludzi.

Postanowiłem zwrócić się do kobiety w nadziei, że kobiecie umysł, tak różny jakościowo od męskiego, może wnieść odrobinę światła do moich rozważań. Zagadnąłem więc niewiastę, która zmartwionym wzrokiem śledziła moje starania opanowania krwotoku z nosa:

- Proszę pani, czy jest pani w stu procentach pewna, że to ten typek mnie zdzielił w mordę? – Kobieta, ponieważ już raz usłyszała to pytanie, z dziecinna łatwością rzuciła tą samą odpowiedź, którą także już wcześniej słyszałem:

- Tak! – ale dodała, co mnie zupełnie zaskoczyło:

- Zapewne nie wierzy pan, że to człowiek?

Skąd ona mogła wiedzieć, że mam takie wątpliwości? – Zanim zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób owa niewiasta zyskała dar jasnowidzenia, ona odpowiedziała:

- Wie pan, tyle razy się zastanawiałam, dlaczego ludzie, mimo że są ludźmi czynią zło? – to mówiąc przybrała matriarchalną pozę, pełną wdzięku i wyższości. Obserwując jej sylwetkę w tej chwili, zanim dotarł do mnie sens jej słów, rozwiązałem największą chyba, teraz tak mogę powiedzieć, tajemnicę fizjonomii ciała kobiecego, a mianowicie: do czego służą piersi. Otóż, drogi czytelniku, możesz wierzyć lub nie, ale służą one do pokazywania ich i do niczego więcej! Te wszystkie teorie na temat karmienia niemowląt można włożyć między bajki, są po prostu feministyczną wymówką, rodzajem alibi, jakim każda nowoczesna Walkiria, usprawiedliwia fakt istnienia cycków.

Dowód: to kobiety dla kobiet wymyśliły oszczędne dekolty w bluzkach, aby mogły jak najwięcej, balansując na granicy obrazy moralności, pokazać. Pytanie jednak po co? To też wydaje się oczywiste. Pokazując piersi, kobiety wprawiają w zdumienie mężczyzn, którzy widząc je nie myślą o niczym innym – tak jak ja w tej chwili – niż tylko o kwestii różnic w obrębie tego samego gatunku, zastanawiając się czy aby kobieta to też człowiek.

Wracając do meritum. Widok rzeczywiście był imponujący, ale treść, którą mi przekazała owa szlachetna dama – stwórcza tego widoku – rozwiązała nagle wszystkie męskie wątpliwości: czy kobieta to człowiek. Otóż powiedziała ona – wybaczone, że to powtórzę drogi czytelniku, ale uważam to stwierdzenia za niebywały wręcz przejaw człowieczeństwa kobiety: „tyle razy się zastanawiałam, dlaczego ludzie, mimo że są ludźmi czynią zło?”. Żeby się jednak upewnić, że

autorka tej tezy, którą to wcześniej niewypowiedzianą miałem w własnej głowie, jest całkiem realna, zapytałem:

- Czy mogłaby pani powtórzyć to, co przed chwilą powiedziała?

Gdy to usłyszała, zrezygnowała ze swojej boskiej pozy, energicznym ruchem ręki wyrwała zakrwawioną chusteczkę, która w tej chwili przypominała raczej całun turyński niż przedmiot służący do utrzymania higieny nosa i rozpoczęła swą mowę, która całkowicie zachwiała moim dotychczasowymi teoriami:

- Jesteś pan, świnia!

Tak, drogi czytelniku, nie mylisz się, ona powiedziała, że jestem świnia, ale to nie koniec:

- Męska szowinistyczna świnia! – krzyknęła i kontynuowała:

- Co pan sobie myślisz, że my kobiety, nie jesteśmy w stanie formułować takich myśli!

To był kolejny, miazdzący dla mnie i moich wyobrażeń cios: ona użyła słowa „formułować”! A przecież o wiele prościej jest powiedzieć: „tak gadać”.

Kiedy to usłyszałem nie tylko upewniłem się, że to na pewno ona mówiła o człowieku i złu, i dobru, ale też mówiła, że jestem: „świnia”, w właściwie, jak to była łaskawa doprecyzować, jej „męską szowinistyczną” odmianą. Powiedziała to bez żadnej prowokacji z mojej strony. A ile to razy musiałem dokładać różnych starań, aby zmusić podobne jej istoty do takich wyznań po nocnych igraszkach. Czyniłem to dlatego, aby się upewnić, że osoba, z którą spędziłem noc w tym samym łóżku, była aby na pewno kobietą. Bo tylko one są w stanie powiedzieć: „jesteś męską szowinistyczną świnia!” i mówią to wtedy, gdy niedawny kochanek niewdzięczność okazuje. Zawsze, gdy po usilnych staraniach usłyszałem ten charakterystyczny zwrot, odzyskiwałem błogi spokój ducha i mogłem odetchnąć, i cieszyć się smakiem papierosa, kontemplując się własnego instynktu. Tylko wtedy miałem stuprocentową pewność, że niedawno obcowałem właśnie z kobietą a nie na przykład z moim szczurem, czy jakąś inną istotą.

Tu czytelnik może mieć pewne wątpliwości: dlaczego nie sprawdzałem czy kobieta jest kobietą przed tym zanim ją zwabiłem do łóżka?

Mógłbym pozostawić ową kwestię niewyjaśnioną, zdając się na twoją inteligencję drogi czytelniku, ale jednak wyjawię ci motywy mojego działania w tej konkretnej sytuacji.

Otóż, jak dobrze zapewne wiesz jedno z przysłów głosi: „nie samym chlebem żyje człowiek”. W pewnym okresie swojego życia, gdy zajmowałem się testowaniem prawdziwości powiedzonek ludowych, także i to postanowiłem przetestować na własnej skórze. Chciałem w związku z tym spróbować odnaleźć alternatywne dla chleba, źródła pokarmu. Jadłem więc wszystko co mi wpadło w ręce, ale nie chleb. Pewnego razu, w trakcie poszukiwań czegoś innego, niż gwoździe, papier, szkło etc., które do tej pory zastępowały mi chleb i miały utrzymać przy życiu – a dodać muszę, że na tej diecie raptownie zacząłem tracić na wadze – spotkałem przy koszu na śmieci innego, jak mi się zdawało naukowca, który, wnioskuje po stanie jego ciała, od dawna musiał poświęcać się weryfikowaniu prawdziwości teorii: „nie samym chlebem żyje człowiek”. Zmartwiłem się niebywale, że to nie ja będę tym pionierem nowej dziedziny nauki, zagadnąłem go o jego wyniki. Po co miałem wyważać drzwi, które on – jak mi się zdawało – już otworzył. On nie udzielił mi żadnej odpowiedzi, zamiast tego bełkocząc coś pod nosem podał mi butelkę z płynem. Byłem pełen podziwu dla jego zaufania i solidarności naukowej. Sądziłem bowiem, że zrobiło mu się żal mojej wychudzonej sylwetki, i postanowił podzielić się ze mną swoim „kamieniem filozoficznym”. Dopiero później, w sytuacji gdy obfitymi wymiocinami znaczyłem ślad mej wędrówki, dotarła do mnie świadomość, że to był alkohol. Najdziwniejsze było jednak to, że na drugi dzień po spożyciu tej mikstury, nie czułem głodu lecz tylko i wyłącznie pragnienie. Zrobiłem to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek na moim miejscu – gasiłem je wszelkimi możliwymi

sposobami – czyli piłem. Kiedy pragnienie, po długiej walce ustępowało, wpadłem na niezwykle odkrywczą myśl:

- Skoro pijąc alkohol, nie chcę jeść tylko pić, skoro pijąc nie umieram, ale przeciwnie żyję nie czując głodu, to – wnioskowałem – należy pić alkohol, żeby czuć pragnienie zamiast głodu i żyć!

W ten oto sposób odkryłem, że to, co można zjeść, można także wypić! Piłem więc alkohol. Na początku były to odmiany niezwykle szlachetne, później mniej szlachetne, a na końcu całkiem pospolite. Tym samym odkryłem kolejną ważną teorię, a mianowicie: jakość spożywanego alkoholu jest wprost proporcjonalna do potencjału ekonomicznego, którym się dysponuje.

Życie jest pełne niespodzianek – drogi czytelniku – zapewne i ty niejedną taką teorię wymyśliłeś. Ale jak to tego doszło, że musiałem „po” a nie „przed” identyfikować przedmiot, który był obiektem niedawnych szaleństw mojej chuci?

Otóż – wyobraź sobie drogi czytelniku – że picie alkoholu nie tylko może zastąpić konwencjonalny pokarm, ale ułatwia także kontakt ze światem zewnętrznym. Nie potrafię jeszcze wyjaśnić dlaczego, ale jedno jest pewne, że – i tu jest kolejna teoria – ilość poznanych ludzi jest wprost proporcjonalna do spożytego alkoholu, przy założeniu, że jego stężenie w organizmie nie przekroczy wartości krytycznej. Trudno bowiem kogoś poznać, wymiotując. Zresztą sprawdziłem wiele razy, że podczas rzygania nie można mówić.

Ale wracając do teorii numer dwa: jeżeli można poznać dużo ludzi, to znaczy – tak przynajmniej wynika ze statystyk – zwiększa się prawdopodobieństwo spotkania kobiety. Tylko jest jeden problem, z którym musi się liczyć ten, kto będzie chciał sprawdzić prawdziwość owej tezy, a mianowicie: zabawa w Bachusem w konsekwencji prowadzi do utraty świadomości. Dlaczego tak się dzieje? Niewiadomo, ale widocznie ten fakt sprawia, że mamy ochotę spotykać wielu ludzi, kiedy jesteśmy upici, żeby zabezpieczyć sobie odwody – tzn. mieć pewność, że ten ktoś, kogo spotkaliśmy w trakcie pijaństwa, w chwili, gdy stracimy przytomność, odprowadzi nas do domu. A że, czego dowodzą teoretycy sztuki – obcowanie z symetrią i pięknem sprawia człowiekowi przyjemność, dlatego wybieramy kobiety za naszych przewodników. Ich twarze dziwnym sposobem wydają się miłsze i bardziej godne zaufania niż męskie. Ale oczywiście to kwestia gustu.

Ale do rzeczy: w ten sposób, przy okazji weryfikacji prawdziwości przysłów ludowych miałem okazję spotkać wiele niewiast, choć – co na pewno czytelnik zauważył – nie mogłem wiedzieć na początku, że są to akurat kobiety bo byłem pijany do nieprzytomności. Łatwo sobie teraz wyobrazić dramat, który musiałem przeżywać, w sytuacji, gdy budząc się rano próbowałem dokonać rekonstrukcji minionego wieczoru, po którym pozostał jedynie smak alkoholu w ustach, uczucie pragnienia, moja nagość oraz niezidentyfikowany „ktoś”, który leżał obok mnie w łóżku. W takich sytuacjach strach brał zawsze górę nad zdrowym rozsądkiem i zamiast otworzyć oczy i rozwiązać wszystkie obawy dokonując oględzin owego „ktosia”, snułem domysły. Zawsze jednak okazywało się, że nie mogę pokonać swej niepamięci, zresztą w takich sytuacjach nawet nigdy szczerze nie próbowałem. Musiałem się jednak dowiedzieć, a w zasadzie zyskać pewność, że ów „ktoś” jest kobietą. Nie mogłem żyć w niepewności. Wpadłem na pewien dziwny, choć niezwykle skuteczny i niezawodny, sposób identyfikacji tego „ktosia” jako kobiety. Metodą prób i błędów zauważyłem, że stosując odpowiedni model zachowania, oraz używając pewnych określonych sformułowań można odzyskać psychiczny komfort, który towarzyszył mi jeszcze na początku minionego wieczoru. Otóż, drogi czytelniku, podaję ci ten przepis:

Krok pierwszy:

Mając cały czas zamknięte oczy – kto wie jak wielkie mogłoby być twoje przerażenie, gdybyś zobaczył w łóżku np. owczarka niemieckiego, który jak wiadomo doskonale realizuje się jako przewodnik, dlatego lepiej ich nie otwieraj – zaczynasz się wiercić, dając sygnał, że już nie

śpisz. Czekasz, bo być może usłyszysz głos tego „ktosia”, który już wie, że nie śpisz. Wtedy przy odrobinie szczęścia, poczujesz na swoim ciele dotyk jego dłoni. Jeżeli tak się stanie, to na podstawie analizy głosu – tzn. czy to miły sopranik, czy może ponury bas – oraz na podstawie analizy dotyku – tzn. czy jest to szorstka graba, czy może gładka i delikatna rączka – mógłbyś dokonać wstępnych analiz procesu identyfikacyjnego. Ich wyniki mogłyby być uznane za ostateczne i prawdziwe, gdyby nie spryt i przebiegłość osobników męskich o preferencjach homoseksualnych, którzy od stuleci doskonalili metody naśladowania kobiet i przechytrzenia zmysłu krytycznego, który jest cnotą mężczyzn. Z tego powodu musisz wykazać daleko posunięta ostrożność i sceptycyzm w stosunku do pierwszych wyników. Dlatego istnieje krok drugi:

Nieważne czy spotkałeś się z jakąkolwiek reakcją ze strony „ktosia” czy też nie, gdy zdradzałeś oznaki życia, wierząc się i chrząkając, musisz powiedzieć:

-No dobrze! Było miło, ale się skończyło! Wypierdalaj!

Nie, drogi czytelniku, nie mylisz się. Tak! Musisz użyć inwektywy, mimo że nie musi to korespondować z rodzajem twego uduchowionego wokabularza, a nawet, co rzadkie, może pozostawać z nim w sprzeczności i może cię razić. Ale nie tylko przekląć musisz, to będzie chyba najłatwiejsze, otóż niezbędne jest abyś zmobilizował resztki sił, i wypowiedział te słowa w sposób na tyle kategoryczny żeby nie było żadnych wątpliwości, co do ich interpretacji. Kiedy już to powiesz, czekasz. Jeżeli na reakcję musisz czekać dłużej niż sekundę, stosujesz krok trzeci:

Jest to posunięcie niezwykle brutalne, dlatego odczekaj najpierw ową sekundę, a później przejdź do etapu trzeciego. Otóż, gdy krok drugi jest nieskuteczny (Ale pamiętaj! Czekaj tą sekundę! Daj „ktosiowi” szansę!) walisz ręką lub nogą w miejsce, w którym jak przypuszczasz znajduje się „ktoś” i powtarzasz znaną maksymę z kroku drugiego. Pamiętaj aby mieć cały czas zamknięte oczy, ponieważ oprócz wspomnianego zaskoczenia związanego z potencjalną możliwością obcowania z owczarkiem niemieckim, teraz może wstrząsnąć tobą widok krwi, która ani chybi się poleje, gdy prawidłowo zastosujesz krok numer trzy.

Gdy wszystko pójdzie zgodnie z planem, choć to rzadkie przypadki, w który człowiek jest zmuszony posunąć się do użycia tego antyhumanitarnego kroku, jakim jest jego trzecia odmiana, zapewne usłyszysz tak długo i niecierpliwie oczekiwane: „Jesteś męską szowinistyczną świnią!”

Gdy je usłysz możesz już spokojnie otworzyć oczy. Takie słowa może wypowiedzieć tylko kobieta. Teraz wybór należy do ciebie: albo, niezadowolony z jej walorów fizycznych, milczysz, pozwalając jej wyjść. Ona wychodzi trzaskając drzwiami, a tobie zostaje błogość wywołana odzyskaniem równowagi psychofizycznej. Drugie wyjście: gdy okazuje, że po otwarciu oczu, to jest ta, na którą czekałeś od lat, zaczynasz przeproszać, błagać o litość i zrozumienie. Opowiadasz o tym, że jest jedyną, że jest unikalna i niepowtarzalna – innymi słowy łziesz jak najęty, stosując najwykwintniejsze figury retoryczne – kupujesz kwiaty, następnie obrączki, i jak wszystko dobrze pójdzie, a w zasadzie jak dobrze poszło, za dziewięć miesięcy doczekasz się ślubu i potomka.

Drogi czytelniku zdradziłem ci przed chwilą jaki zachodzi związek między „szowinistyczną” odmianą świni, kobiecością a mężczyzną, zatem pora powrócić do mojego, niezwykle oszczędnego w treść, ale jakże bogatego w myśl dyskursu z napotkaną niewiastą.

Widziałem, że chce odejść, gdy nerwowo pogmiotła chusteczkę przemienioną po kontakcie z moją twarzą w cafun turyński i zaczęła ją chować do kieszeni. Dumny byłem, że to tym razem ja bezbłędnie odczytałem jej myśli, podobnie jak ona to przed chwilą uczyniła. Być może fakt ów był skutkiem oddziaływania jej emanacji, która to oddziaływać musiała na wszystkie, znajdujące się w pobliżu przedmioty.

Jakie szczęśliwe muszą być kamienie leżące pod jej stopami, które nagle w wyniku oddziaływania tej boskiej aury, która także mnie natchnęła, zyskały świadomość swego istnienia. Jaka też wielka musi być ich rozterka, gdy wiedzą, że istnieją a mimo to skazane są na bycie sobą. O wiele lepiej mają te myszy, które w tej chwili przechadzają się podziemnymi korytarzami, wyrytymi pod nią. Muszą przeżywać całkowitą ekstazę! Niezwykła radość musi je w tej chwili ogarniać, ponieważ w tym momencie świadome są nie tylko własnej istoty, ale także swej wyższości nad równie świadomym kamieniem, który nijak, choć bardzo się stara poruszyć się nie może. Mysz natomiast harcuje, tańczy a kamień jak stał, tak stoi.

Ale do rzeczy. Gdy odgadłem, że dama chce się oddalić, postanowiłem ją udobruchać następującymi słowami:

- Bardzo przepraszam, ale nigdy do tej pory nie spotkałem człowieka, choć szukam go od dawna. Pani jest pierwsza, proszę się nie gniewać.

Do tej pory, wspominając tą sytuację, nie mogę wyjść z podziwu dla mych talentów w zakresie prawienia komplementów płci przeciwnej. Zwykle jednak były one kłamstwem, lecz nie tym razem. Oto spotkałem człowieka! Osiągnąłem cel mojej dzisiejszej tułaczki. Ale o tym, że była na pewno człowiekiem, a nie jednym z tych wielu, go udają, miałem przekonać się za chwilę, stosując swoje kolejne, jakże wysublimowane metody.

Niewiasta przyjęła moje przeprosiny i chyba nawet wybaczyła mi, że ośmieliłem się wątpić, jako męskie wcielenie szowinistycznej odmiany świni, w intelekt płci żeńskiej. Odpowiedziała:

- No dobrze, wybaczam. Ale żeby mi to było ostatni raz.

Och jak cudnie było usłyszeć ten cudowny rytm słów, który wydostawał się z jej ust. Pełen nadaśania i sprzeciwu, ale jednocześnie okraszony pewnym nieokreślonym przyzwoleniem na kolejne tego typu prowokacje z mojej strony, których logicznym następstwem – zapewne tak zakładała – było kojenie się, przeproszania i komplementowanie. Postanowiłem dalej prowadzić tę frapującą rozmowę, kierując się egoistyczną potrzebą nieustannego prowokowania mojego umysłu. Zagadnąłem:

- W ramach przeprosin, czy przyjęłaby pani zaproszenie na kawę? Należy wykorzystać i należycie uczcić okazję spotkania się dwojga ludzi – powiedziałem jednym tchem, po raz kolejny jednak tym razem dyskretny ją komplementując. Ona, bacznie przyglądając się mojej, prawie nagiej sylwetce odpowiedziała:

- Chętnie, ale niech się pan najpierw czymś okryje, bo po pierwsze jest zimno i wydaje się, że za chwilę spadnie deszcz, a po drugie to nie wypada iść do kawiarni w samej bieliźnie, nawet gdy jest ozdobiona w krasnoludki – mówiąc to uśmiechnęła się, a jej szczery uśmiech przypieczętował błyszczący garnitur białych i równiutkich zębów a'la implanty holiłud.

Byłem wdzięczny, że po raz drugi okazała mi swą czysto ludzką i bezinteresowną troskę o moją kondycję fizyczną, która mogła ulec pogorszeniu w starciu z zbliżającym się, jak to twierdziła, deszczem. Nie miałem powodu, żeby nie wierzyć jej przepowiedniom. Już raz dała dowód, że potrafi czytać w myślach. Kto wie jakie jeszcze może mieć zdolności. Był jednak jeden, ważny problem – otóż nie dysponowałem ubraniem, ani gotówką na zakup ewentualnego okrycia.

- Proszę niech pan weźmie ode mnie mój płaszcz i niech się pan nim okryje – to mówiąc, filmowym gestem zdjęła wierzchnie odzienie i podała je mi. Poczuliśmy się jak bohater filmu romantycznego, w którym odwróciły się role. To zawsze facet dawał płaszcz, zmokniętej już kobiecie, żeby on dalej nie mokła, choć była już przemoczona. Okryłem się nim i chciałem po raz kolejny wyrazić swoją wdzięczność, tym razem dla odmiany słowo dziękuje zastępując jakimś uściskiem lub gestem, ale cos mnie powstrzymało. Stała się bowiem rzecz niebywała, choć spodziewana. Otóż zaczął padać deszcz – czyli proroctwo owej damy spełniło się. Jak już mówiłem – drogi czytelniku – nie miałem powodu by jej nie wierzyć, lecz przyznać

musze, że w głębi ducha nigdy nie wierzyłem w jasnowidztwo i myślałem, że tylko raz się trafiło ślepej kurze ziarno. Jednak deszczu mogłem się spodziewać, ale niespodziewany był urok jej piersi, które teraz zaczęły odbijać się w moknącej od deszczu bluzce. Teza o celu istnienia kobiecego biustu okazała się prawdziwa. Babka wykorzystała znajomość przyszłości, postanowiła wbrew wszelkim romantycznym konwenansom oddać płaszcz, ażeby przepowiedziany deszcz mógł zmoczyć bluzkę w ten sposób, aby wilgotny materiał dokładnie przyłgnał do jej cycków. Oto kolejna feministyczna sztuczka! Teraz nie będę mógł myśleć o niczym innym niż tylko o widoku jej biustu. Nie będę mógł się skoncentrować, a kto wie, być może podzielię los wielu mężczyzn, którzy zahipnotyzowani podobnym widokiem, skazani zostali na mękę małżeństwa. Nie chciałem aby reszta mojego życia odmierzała się ilością umytych naczyń, liczbą dzieci i zmienianych pieluch, oraz codziennymi porankami wzbogaconymi podróżami do tego samego sklepu, po te same bułki, które w ten sam sposób pochłania żona. Musiałem działać. Nie było czasu do stracenia, tym bardziej, że coraz bardziej zaczęła mi się podobać osoba, która kilka chwil temu nazwała mnie „męską szowinistyczną świnią”. Odyseusz w takiej sytuacji wiedział co zrobić – użył wosku, ja go nie miałem w tej chwili pod ręką. Mógłbym go wydłubać z ucha, w którym zawsze, każdy mężczyzna przechowuje nieświadomie jakąś porcję przeznaczoną na takie właśnie okazje. Bo co innego baby! Te zawsze tymi plastikowymi pałeczkami z watą na koniuszkach udrażniają organ słuchu i namawiają do tego każdego faceta. Cel jest prosty. Nie chodzi tu o higienę, ale o to, by mężczyzna nie mógł sobie zatkać uszu woskiem, gdy baba mu gdera na przykład o ciekącym zlewozmywaku.

Ja jednak nie miałem czasu na to by go wydobyć, nie mówiąc już o tym, że nie wystarczyłoby go na zaklejenie oczu - zauroczenie było tuż, tuż. Gwałtownie zacząłem szukać myśli, która pozwoliłaby mi zwrócić się ku czemuś innemu niż widok tych fatalnych cycków. Byłem już o krok od klęski ostatecznej – poznałem to po dłoniach, które po raz kolejny odmówiły mi posłuszeństwa i zaczęły promieniować ciepłem, pocić się i wrywać ku emanującym demoniczną siłą cyckom. Zmobilizowany wizją końca świata zmusiłem umysł do heroicznego niemal wysiłku i udało się – przypomniałem sobie nauki mistrza Jody zawarte w formule: „zaufaj mocy!”. Postanowiłem choćby na chwilę, dzięki medytacji, polegającej na zwróceniu się ku mocy, odrzucić dobra doczesne. Teraz dopiero przyszło mi zrozumieć szczęście tych, jak jeszcze przed chwilą mniemałem, szaleńców, którzy rezygnują ze świata materialnego i odnajdują niebywałe szczęście.

Oczywiście, jako to bywa we wszelkich historyjkach z hepiendem, także i tym razem ostatnia deska ratunku okazała się to właśnie deską, która przynosi ratunek. Udało mi się! Zamiast cycków mój umysł zdominowały wyobrażenia kwiatków, motylków, świata bez wojen.

Z tej wewnętrznej zadumy wyrwał mnie jej głos:

- No to jak? Idziemy, bo jak jeszcze trochę tu postoiemy to na pewno się przeziębimy!?

- Gdzie idziemy – odparłem zaskoczony, bo zapomniałem o kawowej propozycji.

- Jak to gdzie? Na kawę!

- Ok. – zgodziłem się, a swoją aprobatę postanowiłem sformułować zwrotem pochodzącym z języka obcego – choć nawet nie pamiętam jaki to język – żeby się pochwalić swoim i talentami lingwistycznymi. Ona jednak nie skomentowała mojej erudycji i znajomości języków i ruszyliśmy energicznym krokiem ku najbliższej kawiarni.

Szefowie

Po drodze ciągle mijaliśmy ludzi w garniturach, którzy uzbrojeni w parasole nawet nie szukali, tak jak my w tej chwili schronienia przed złą pogodą. Karnie, bez sprzeciwu

zmierzali w sobie wiadomą stronę, której celem zawsze było biuro uzbrojone w komputer, krzesło i stolik, oraz psychopatycznego szefa, któremu zawsze się coś nie podoba.

O ile wiadomo do czego służą przedmioty jak szafa, stół, krzesło, tak rola szefa pozostaje nieodgadniona. Właściwie nie wiadomo po co człowiekowi jest potrzebny szef, zwłaszcza przy wykonywaniu pracy. Szefowie są przekonani, że szefują, tzn. przewodzą, prowadzą, nadzorują etc. Czy jednak osoba zatrudniona do wykonywania określonej pracy potrzebuje szefa? Przecież samo zatrudnienie oznacza potwierdzenie kompetencji pracownika do wykonywania danej czynności, do której został zatrudniony. Zatem szef jako nadzorca jest zbędny. Chyba, że pracownikowi się nie ufa, zakładając, że ten choć ma kompetencje potrzebne do wykonywania określonej pracy, będzie tę pracę źle wykonywał. To jest jednak niemożliwe, bo człowiek, jako człowiek, wiedząc jak należy wykonać pracę, aby była dobrze wykonana, nigdy jej źle nie wykona. Jest jeszcze jedno uzasadnienie roli i funkcji szefa – otóż, skrajna nieufność w stosunku do zatrudnionych pracowników, sprawia, że potrzebny jest ktoś, kto będzie ich pilnował aby nie oszukiwali. Nie chodzi już zatem o to czy czynność jest wykonana źle czy dobrze, ale o to, czy pracownik nie oszukuje, przy czym przez oszustwo rozumie się np. leniuchowanie, kradzieże i inne szkody. Jacy nieszczęśliwi muszą być ludzie w garniturach, których nowi bogowie – szefowie – bezlitośnie każą za zmarnowany ołówek lub za zniszczony papier do drukarki.

Jednak jest coś, co pozwala im znosić ten kariat: to marzenie, że niedługo oni zostaną szefami, a kto wie może zostaną szefami szefów? Bo szef także jest człowiekiem i także może oszukiwać, a ludziom się przecież nie ufa. Jednak kto będzie szefował szefom szefów? Co będzie jeżeli w ostatecznym rozrachunku zostaną sami szefowie, którzy mają szefów i sami szefują?

Nie zdążyłem rozwiązać tej zagadki, bo właśnie nasza podróż dobiegła końca. Ocknąłem się z myślowego letargu, który był pewnego rodzaju ucieczką od myśli o kształtnych piersiach odbijających się w mokrym podkoszulku, tuż przed drzwiami do kawiarni.

Otworzyłem drzwi, ale przezornie, powodowany instynktem samozachowawczym, nie przestąpiłem pierwszy progu. Odruchowo przepuściłem przodem, towarzyszącą mi od początku tragedii moją nosa, kobietę.

- Niech ona wejdzie pierwsza – pomyślałem. – Jak co, to zdążę uciec.

- Proszę, panie przodem – powiedziałszy to, wykonałem ceremonialny ukłon i gest wskazujący na czeluść, która stanęła przed nami, gdy drzwi już się otworzyły. Jej reakcja była przewidywalna.

Udobruchana wcześniej zaaplikowanymi jej komplementami, straciła ona zmysł krytyczny i ponownie przybrała, dobrze mi znaną w jej wydaniu postawę walkirii. Dumna, jak na prawdziwą damę przystało, krokiem wdzięcznym i stanowczym przekroczyła linię demarkacyjną oddzielającą to, co znane od tego, co nieznanego, gdzie mogło się kryć potencjalne niebezpieczeństwo.

Znaleźliśmy się wewnątrz lokalu. Oczywiście teza o potencjalnym niebezpieczeństwie, podobnie jak większość moich tez, okazała się produktem paranoi. W środku było przyjemnie ciepło, przytulnie a w powietrzu unosił się zapach przed chwilą zmielonej kawy. Prawdziwy raj dla zmysłów! Intensywność aromatów, tajemniczość przytłumionych kolorów, ciche rozmowy. Oto świat pełny tajemnic. Każdy z klientów tego miejsca, włącznie z obsługą, skrywał w sobie jakiś sekret. Byłem tego tak pewny, jak tego, że każdy, przychodząc tu szukał swego spowiednika – kogoś lub czegoś, komu mógłby zawierzyć choć odrobinę swego ciężaru. Nieważne czy będzie to druga osoba, czy może ktoś, kto podaje menu, ciastko, czy sam kubek kawy, w który zmartwiony klient wpatruje się po opróżnieniu jego zawartości.

Wiedziałem, że jeżeli w tej chwili nie wyjdę, będę musiał udźwignąć te wszystkie skrywane troski, niespełnione marzenia, mroczne tajemnice. Jednak nie mogłem tak po prostu wyjść,

choć przyznaje, że gdyby można było cofnąć czas o te kilka sekund, nie otworzyłyby tych drzwi. Stało się to, co i tak musiało kiedyś nadejść! Miałem jedyne go sekundanta – człowieka-kobietę, która jak sądziłem będzie w stanie mi pomóc w tych okolicznościach.

Spojrzałem na nią. Stała tuż obok mnie, ciągle dumna i wyniosła, jednak w jej oczach zobaczyłem te same troski, które mi w tej chwili towarzyszyły. Było to pocieszające, mieć chociaż jednego sojusznika, nawet gdy siły są wysoce nie równe. Dziwne, że do tej pory nie zapytałem jak się nazywa. Uważam, że niedługo mógłbym, jakimś stosownym pytaniem, nadrobić te braki intelektualne. Ale nie teraz, nie czas na to.

Tym czasem ona spojrzała na mnie ciepłym wzrokiem – choć w dalszym ciągu niezwykle zatroskanym i pełnym wątpliwości – i zapytała:

- No to jak? Tu wypijemy kawę?

Czy mogłem powiedzieć „nie” w takiej sytuacji, zwłaszcza, że zawładnęło mną poczucie litości dla tych wszystkich, którzy odważyli się zrezygnować z części swoich garniturów i kostiumów, wieszając marynarki czy żakiety na oparciach krzeseł? Był to z ich strony akt niemal heroiczny, w każdej chwili bowiem mógł pojawić się szef, który mógłby wyciągnąć daleko idące konsekwencje z tego nieposłuszeństwa, jakim w tym przypadku była ostentacyjna rezygnacja z części obowiązkowego uniformu.

W podobnej sytuacji i chyba także ty, drogi czytelniku, powiedziałbyś to, co ja:

- Dobrze! To miejsce jest odpowiednie.

W tej chwili, gdy to powiedziałem zatrzasnęły się za nami drzwi. Towarzyszyło temu charakterystyczne „klap”. Odgłos ten odbił się echem po ścianach kawiarni i wywołał natychmiastową reakcję wśród tych, którzy sączyli swoje kawy i pochłaniali ciastka z kremem. Tak jak przypuszczałem. Nieustanne poczucie lęku, w którym żyć musieli żyć ludzie w garniturach, ukształtowało w nich formę odruchu bezwarunkowego. Każdy, po usłyszeniu charakterystycznego dźwięku zamykanych drzwi, nagle jakby wyrwał się z letargu dowolności, i odruchowo spojrzał na zegarek. Zorientowawszy się widocznie, że czas chwilowej swobody, że okres częściowego wyzwolenia z uniformu minął, sięgnęli powoli po marynarki, szykując się do wyjścia. Niemal wszyscy porzucili w pół słowa swe wyjawiane tajemnice, które, przychodząc do tego miejsca pragnęli zawierzyć, licząc na błogie katarsis. Każdy z nich jednocześnie z trwogą spoglądał na drzwi, obiecując sobie w duchu: „Boże jeżeli sprawisz cud, że to nie mój szef, już nigdy nie zdobędę się na podobną formę rebelii, nigdy nie zrzucę munduru!”.

Czekając na cud, spoglądali na nas. Oczywiście cuda zdarzają się niezwykle rzadko i niezależnie od wszelkich próśb – inaczej nie byłyby cudami, ale tym razem było inaczej. Zdarzył się cud zbiorowy! Modły wszystkich spełniły się w tej chwili, gdy zobaczyli nas, tzn. mnie i moją towarzyszkę. A my – jak już się być może zdążyłeś zorientować drogi czytelniku, nie byliśmy szefami. Widocznie w tym momencie dobry absolutnie nieistniejący bóg, postanowił na chwile zrezygnować ze swojej doskonałości, nie miał nic lepszego do roboty i zdecydował pozytywnie odnieść się do tej zbiorowej korespondencji, którą sekundę temu otrzymał – na chwilę zaistniał.

Nasz opłakany widok nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co do tego, że nie byliśmy szefami. Wątpliwości także nie było, co do istnienia boga, który właśnie objawił swoją cudotwórczą moc. Chyba oboje dostrzegliśmy wyraz ulgi, który pomału zastępował napięcie w ich twarzach. Będąc przyczyną sprawczą tych niezwykle zawiłych procesów - burzy emocjonalnej, w której stan najwyższego napięcia przeradzał się w stan błogiego wytchnienia, dokonałem zadziwiającej obserwacji. Otóż wydarzyła się rzecz niebywała. Chyba pierwszy raz w życiu, miałem okazję przekonać się, że ludzie w garniturach posiadają oczy. Do tej pory, gdy mijalem ich na ulicach, zawsze je przede mną skrzętnie ukrywali. Nigdy nie spoglądali na mnie wprost. Cały czas myślałem, że nie posiadają zdolności widzenia. Zawsze podążali obok mnie, w karnych szeregach, po jednej stronie chodnika na północ, a po drugiej

stronie na południe. Nawet, gdy ich prowokowałem przywdzianą bielizną w krasnoludki, której widok musiał przynajmniej budzić zdziwienie, nie zwracali na mnie żadnej uwagi. Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że każdy z nich skrzętnie ukrywał swe zdolności i wykorzystywał je tylko w sytuacji ekstremalnego zagrożenia. Zaszokowany tym odkryciem, zdałem sobie sprawę, że teraz widok faceta w bieliźnie w krasnoludki, okrytego kusym płaszczem jego towarzyszkii dopiero wzbudzi sensację. Jak się jednak okazało myliłem się dalece w swym przypuszczeniu.

Kelnerka

Wszak moja marna sylwetka przyodziania równie skromnie, żeby nie powiedzieć komicznie, wzbudziła zainteresowanie, ale tylko chwilowe, to wzrok niemal wszystkich zatrzymał się na mojej towarzyszcze, a dokładniej na jej fenomenalnych cyckach, przed których urokiem tak się niedawno, siłą swego umysłu, obroniłem. Widząc obłęd w oczach tych, którzy teraz wpadli w sidła tego fatalnego uroku, mogłem niemal bezbłędnie stwierdzić, kto jest mężczyzną. Ale – i tu się chyba ze mną zgodzisz drogi czytelniku – w lokalu tym musiały być także kobiety. Tak też było. Niemalże kilkadziesiąt sekund po wejściu do lokalu, naprzeciwko mnie stanęła szczupła, średniego wzrostu osoba. Jak wszyscy ludzie w świecie, i ta miała na sobie swój garnitur. Spódniczka lekko za kolana, biała bluzka a na niej dziwnie skrojony fartuszek. Włosy miała spięte z tyłu, tak, żeby nie opadały jej na twarz. Po kolorze jej garnituru, który odpowiadał kolorystyce wystroju wnętrza, oraz małym logo na jej fartuszk, poznałem, że musi być to kelnerka. Moje przypuszczenia potwierdziły się, gdy zagadnęła nas następującymi słowami:

- Szukają państwo stolika? – zapytała. Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, ona wskazała na jeden z akurat w tej chwili pustych miejsc i powiedziała:

- O tu! Proszę bardzo! – i wskazała nam miejsce potencjalnego pobytu przez następnych kilka chwil. Zrobiła to całkowicie automatycznie. Musiała doskonale orientować się w rozkładzie wolnych miejsc w lokalu, co zresztą było wpisane w zakres jej obowiązków, którego granice wyznaczał rodzaj garnituru, który nosiła. Z wrodzoną chyba wszystkim pracownikom obsługi tego typu miejsc, ponownie zapytała:

- Czy coś państwu podać?

Nie zdążyłem nawet w sposób odpowiedni zareagować na to pytanie, nie mogła tego uczynić nawet moja towarzyszka, bo właśnie w tej chwili próbowaliśmy wygodnie rozsiaść się w fotelach kawiarnianego stolika. Kelnerka nawet nie czekała na naszą reakcję, i rozpoczęła tyradę:

- Mamy pyszną, afrykańską kawę, którą palimy we własnej palarni, mamy lody, równie dobre jak afrykańska kawa, mamy świetne desery: ciasta, które sami pieczemy, mamy... - kontynuowała swoje płomienne przemówienie każdego sprzedawcy, lecz my w tym momencie już zajęliśmy optymalne dla naszych pośladek i kręgosłupów pozycje, w niezwykle wygodnych fotelach – Ha! No właśnie! Dlaczego mowa kelnerki nie rozpoczęła się od słów: „Mamy wygodne fotele”? – postanowiłem nie rozstrzygać tej kwestii. Ale zauważyłem, że podobne wątpliwości miała moja towarzyszka. W trakcie ataku słowotokiem, którego przedmiotem byłem nie tylko ja ale też osoba mi towarzysząca, zauważyłem u swojej partnerki, zmarszczkę w okolicach oczu, której – o ile sobie dobrze przypominam z pierwszych oględzin – wcześniej tam nie było. Nawet wtedy, gdy nazywała mnie „szowinistyczną świnią”. Uznałem zatem, że musi w tej chwili znajdować się na granicy wytrzymałości psychicznej, co potwierdzała owa zmarszczka. W obawie, że wkrótce może wybuchnąć, naprędce powiedziałem do kelnerki, przerywając jej wyuczoną formułkę:

- Proszę pani, a czy macie może alkohol? Może jakiś koniak? – kiedy to powiedziałem, zauważyłem widoczne odprężenie w mimice mojej towarzyszki. Zmarszczka zmieniła się w niezauważalną niemal ryse, natomiast kelnerka wydawała się być zaskoczona:

- Alkohol? – zapytała, jak gdyby niedosłyszała mojego pytania.

- Mamy także alkohol, ale on jest sprzedawany tylko klientom pełnoletnim – odpowiedziała jednym tchem i jakby z wewnętrznym przekonaniem, że my, nowi goście, nie spełniamy kryterium pełnoletności. Zapewne musiała być rozgniewana, że nie pozwoliłem jej dokończyć formułki, którą każdemu, nowoprzybytemu serwowała. Ale nic. Ani ja, ani moja towarzyszka, postanowiliśmy zignorować jej dąsy i rozpoczęliśmy wzajemne negocjacje na temat treści naszego ewentualnego zamówienia:

- Ja koniaku nie lubię! – powiedziała – Bo mi śmierdzi!

- Jak to śmierdzi, przecież nie może śmierdzieć, skoro go piją ludzie wykształceni, poeci, artyści, politycy – kontrargumentowałem, na co ona odpowiedziała:

- No właśnie! Sam w sobie to trunek aromatyczny, ale właśnie tym mi śmierdzi, tą atmosferą! Jego natchnieniowość mi śmierdzi! – ripostowała i nie pozostawiła żadnych wątpliwości w kwestii jej stosunku do koniak. Zacząłem zatem wertować w pamięci wszystkie pozostałe rodzaje napitków alkoholowych, które jako naukowiec, weryfikujący prawdziwość powiedzeń ludowych, poznałem, szukając jakiejś alternatywy dla uduchowionego koniak. Przypominałem sobie swoje wcześniejsze wyniki badawcze oparte na niezwykle rzetelnych obserwacjach empirycznych. I tak dotarła do mnie świadomość jednej z teorii wymyślonych przy okazji weryfikowania twierdzenia „nie samym chlebem żyje człowiek”. Zapewne i ty – drogi czytelniku – pamiętasz owo sławne twierdzenie: „Jakość spożywanego alkoholu jest wprost proporcjonalna do posiadanego potencjału ekonomicznego”. Naukowość tej teorii była niekwestionowana a jej bezwzględna moc logiczna, ujawniła się właśnie w tym momencie. Okazało się, że w chwili obecnej mój potencjał ekonomiczny był równy zeru – nie miałem ani grosza. Nie wzbudziło to u mnie jakichś szczególnych refleksji. Nawykłem już do tego stanu, jednak w sytuacji, gdy zaprosiłem moją towarzyszkę na kawę, przydałoby się mieć jakiś, choćby mały, kapitał w kieszeni. Mój dramat w tych okolicznościach dodatkowo potęgowała nie tyle świadomość braku forsy, co braku kieszeni. Te bowiem, które miałem były pożyczone, bo znajdowały się płaszczu, który użyczyła mi dama jako ochronę przed zapowiedzianą zmianą aury. Nie mogłem więc nawet udawać, że szukam pieniędzy – zatem także sztuczki z improwizacją, polegające na pozorowanym, chaotycznym przeczesywaniu kieszeni nie wchodziły w grę. Jak się za chwile okaże, owa niewiasta, dzięki której pokonałem krwotok z nosa, po raz kolejny wybawi mnie z opresji, pokrywając koszty zamówienia. Ale tym za chwilę.

Tymczasem, gdy zajęty byłem rozmyślaniami na tym, czy można za nic kupić alkohol, pani z obsługi zagadnęła:

- Zanim państwo złożą zamówienie na alkohol, chciałabym zobaczyć państwa dowody osobiste – mówiąc to uśmiechnęła się drwiąco kącikiem warg, jakby powątpiewała w pełnoletność gości, których akurat zdarzyło się jej obsługiwać.

Moja towarzyszka nieśpiesznie sięgnęła do torebki ja natomiast miałem ten sam, stały problem, który towarzyszył moim wcześniejszym rozterkom w poszukiwaniu źródła finansowania ewentualnego drinka – nie miałem przy sobie dokumentów, ani swoich kieszeni, w których mógłbym udawać, że ich szukam.

Siedziałem jednak spokojnie, licząc na to, że moja twarz i w ogóle cała sylwetka wiarygodnie zaświadczą o mojej dojrzałości fizycznej. Kelnerka wzięła od mojego gościa dowód osobisty i zaczęła go przeglądać, jednocześnie wyciągając rękę w moim kierunku ignorując oczywiste sygnały, które wysyłało w tym czasie moje ciało, manifestujące swoją dojrzałość.

- No tak – powiedziała wertując dowód osobisty towarzyszącej mi damy. – Pani Pla, dziwne imię – mówiąc to, spojrzała w jej kierunku jak gdyby chciała się upewnić, czy to aby na pewno jest jej dowód tożsamości.

Rzeczywiście – pomyślisz sobie drogi czytelniku - imię Pla dla kobiety jest niewątpliwą rzadkością, żeby nie powiedzieć kuriozum. Chociaż być może wzięło się ono z notorycznego i permanentnego paplania babskiego – czyli paplaniny. Ale równie śmieszne jest męskie imię Sok. Jednak do rzeczy.

-Tak – powiedziała. – Pani Pla Tysiackilogramów jest pełnoletnia – oddała jeden dowód i jednocześnie jej pytający wzrok skoncentrował się wyłącznie na mojej postaci.

- Aha – pomyślałem – muszę zanotować w pamięci dane personalne mojej nowej koleżanki. Jednak jak przekonać kelnerkę, że ja także przekroczyłem tę granicę wieku, kiedy to już na własną odpowiedzialność można pić?

Nie wiedziałem jak to zrobić, tym bardziej, że już dawno powinna zauważyć siwiznę moich włosów i zmęczoną długim życiem twarz. Ale postanowiłem się upewnić. Zapytałem:

- Szanowna pani, czy uważa pani, że taki starzec jak ja może mieć mniej niż osiemnaście lat? – nie pozwoliłem jej odpowiedzieć na to kontynuowałem:

- Jeżeli tak pani uważa, to naprawdę bardzo mi pani schlebia – mówiąc to uśmiechnąłem się do niej, w nadziei, że dostarczyłem jej aż nazbyt przekonujących dowodów na to, że bezkarnie mogę pić alkohol. Ku mojemu zdziwieniu kelnerka olała wszelkie świadectwa empiryczne, które wysyłało moje ciało i stanowczo zażądała dowodu:

- Proszę pana, bynajmniej nie miałam zamiaru panu schlebiać. Według mnie wygląda pan na cztery razy osiemnaście lat, jednak jeżeli mi pan nie pokaże dowodu, to nie realizuje pańskiego zamówienia na alkohol – powiedziała to niemal tak samo automatycznie, jak wcześniejsze tyrady o tym, „co mamy”.

-Oj! Tego ci nie daruję! – pomyślałem, zaciskając wirtualne pięści i szykując się do natarcia – nie daruję ci tego „cztery razy osiemnaście”!!! – niczym palladyn ruszyłem w bój.

Pełnoletność

- Wypraszam sobie ten ton! Co to za maniery!! – powiedziałem uniesionym głosem, ważąc z uwagą każdy akcent tak, aby kelnerka wiedziała, że jej zbrodnia nie ujdzie jej płazem. Ale o dziwo, nie zmartwiła się w ogóle i odpowiedziała:

- Proszę pana, jeżeli nie pokaże mi pan dowodu, nie dam panu alkoholu.

Teraz wpadłem w prawdziwą furję. Krzyknąłem:

- Jak to pani mi nie da!? Proszę natychmiast przynieść dla mnie i dla mojego gościa najlepszego drinka!!!

Jednak i to nie pomogło. Kelnerka jak stała, tak stała. Co więcej – z ironicznym uśmiezkiem powiedziała:

- Owszem, pani mogę przynieść, ale panu nie, dopóki nie zobaczę dowodu osobistego.

Musze przyznać, że jej determinacja wzbudziła u mnie chwilowy podziw, jednak nie na tyle wielki, żebym zrezygnował ze swojego roszczenia. Zanim zdecydowałem się zastosować środek ostateczny i poprosić o rozmowę z szefem – a wiedziałem jaki byłyby tego konsekwencje – postanowiłem przekonać ową krnąbrną niewiastę co do mej pełnoletności. A zatem praca u podstaw. Zapytałem:

- Proszę panią, co według pani znaczy „być pełnoletnim”?

Ona odpowiedziała:

- Pełnoletność to pewna ilość lat, które musi przeżyć człowiek ażeby być dojrzałym.

- Czyli – zapytałem ją – pełnoletność, zdaniem pani oznacza dojrzałość, a nie ilość przeżytych lat? Czy tak?

- Można tak powiedzieć – odpowiedziała chwiejnie, bez przekonania. Postanowiłem zatem rozwiązać jej wszelkie wątpliwości w tej kwestii, aby móc dalej prowadzić swoją argumentację.
 - Szanowna pani, chyba zgodzi się pani ze mną, że alkohol szkodzi, zwłaszcza niedojrzałym organizmom?
 - O tak, i to jeszcze jak! – przyznała mi rację i kontynuowała – syn mojej szwagierki, jak był mały to sobie popijał, to piwko, to podbierał wódkę z barku rodziców. No i teraz nie tylko nie urósł, ale także ma problemy w szkole. Jest ...hmmm...jakby to powiedzieć...niedorozwinięty.
 - A zatem – kontynuowałem. – Widzi pani sama, że pełnoletność wymagana do tego aby pić legalnie alkohol oznacza faktycznie dojrzałość. Organizmowi dojrzałemu przecież w mniejszym stopniu szkodzi alkohol. Nieprawda?
 - No nie byłabym tego taka pewna – odpowiedziała kelnerka.
 - Jak to nie jest pani pewna? Przecież na pewno wśród gości odwiedzających ten lokal są i tacy, którzy przychodzą tu regularnie, po to aby wypić sobie lampkę wina? – zapytałem.
 - No tak! O! widzi pan, ten pan, przy tamtym stoliku – mówiąc to wskazała na sympatycznego staruszka, który samotnie przy stoliku popijał wino.
 - On codziennie przychodzi tu i ciągle zamawia kieliszek czerwonego wina i gazetę. Następnie siedzi tak sobie pije i czyta.
 - No widzi pani – powiedziałem. – Sama pani wskazała na tego pana, jako stałego bywalca, który co dziennie pije wino. Ale, na co już wcześniej słusznie zwróciła pani uwagę, alkohol szkodzi niedojrzałym organizmom i podała pani przykład syna pani szwagierki.
 - Tak. Ale jaki to ma związek z tym panem? – i ponownie wskazała na sympatycznego staruszka, pijącego wino.
 - Bo widzi pani, gdyby alkohol tak samo degenerował ludzi dojrzałych, jak niedojrzałych, to znaczy, że ten poczciwy dziadziuś, który stale u pani zamawia czerwone wino i gazetę, byłby już dawno niedorozwinięty.
 - Zgadzam się! Ma pan rację! – powiedziała już zupełnie przekonana.
- Osiągnąwszy porozumienie w tej kwestii kontynuowałem:
- Skoro już się zgodziliśmy i nie ma co do tego wątpliwości, że pełnoletność, przesądzająca o legalnym picciu alkoholu, faktycznie oznacza dojrzałość, to proponuję rozstrzygnąć sam problem dojrzałości. Co pani na to?
 - Zgadzam się – odpowiedziała ochotczo, czym zmobilizowała mnie do jeszcze bardziej wyężonej pracy myślowej. Postanowiłem więc zapytać:
 - Czy zgodzi się pani ze mną, że dojrzałość oznacza ten stan rzeczy, w którym coś do-jrzało? Kelnerka widocznie nie była w stanie wznieść się na te wyżyny abstrakcji, po których ja – na co chyba słusznie zwróciłeś uwagę drogi czytelniku – z taką łatwością i finezją żeglowałem, wyraźnie zażenowana odparła:
 - Nie rozumiem, co pan ma na myśli mówiąc, że coś „do-jrzało”.
 - To proste – odparłem - postaram się to zagadnienie tak przedstawić aby i pani je pojąć mogła. Otóż każda rzecz, w szczególności organizmy żywe, rodzi się i umiera.
 - Przestań pan prawić banały! Toż to oczywiste! – powiedziała takim tonem, jakby sądziła, że przedstawiając rzeczy oczywiste ośmielam się wątpić w jej intelekt.
 - Łaskawa pani, proszę się nie irytować. Nie prawię banałów, chcę żeby wszystko było jasne. Proszę pozwolić mi dokończyć a później osądzić, czy to, co miałem do powiedzenia było banalne, jak to się u pani teraz wydaje.
 - No dobrze – odpowiedziała kelnerka – niech pan dokończy.
 - Zatem do rzeczy. Jak już powiedziałem wszystko się rodzi i umiera, a zatem i człowiek rodzi się i umiera. Chyba zgodzi się pani ze mną? – zapytałem aby upewnić się czy nadaża za moim tokiem myślowym.

- Tak, to jasne! Już mówiłam, że to banalne, ale jaki to ma związek z dojrzałością i z tym, że coś dojrzało?
- Niech się pani nie niecierpliwi. Otóż między życiem a umieraniem istnieje jakiś odcinek czasu, który zwykle się przeżywa, zanim przyjdzie nam umrzeć. Czy nie tak?
- W tym momencie kelnerka odpowiedziała zaskakująco, ale jednocześnie dała bezpośredni dowód na to, że jej substancja szara nie jest gładka, ale posiada fałdki. Rzekła:
- Oj, proszę pana, zdarza się że już w momencie urodzin człowiek umiera.
- Zgadza się – odpowiedziałem – ale czy w tym przypadku, o którym pani wspomniała można mówić o dojrzałości?
- No nie, bo człowiek, żeby być dojrzałym musi najpierw dojrzeć.
- A widzi pani, zatem człowiek musi przeżyć jakąś część swojego życia, żeby można o nim mówić, że jest dojrzały.
- Inaczej być nie może – odpowiedziała niewiasta, w całości dzieląc mój pogląd.
- Skoro się zgodziliśmy w tej kwestii, to teraz jasne stanie się dlaczego dojrzałość oznacza dojrzałość. Otóż dojrzewanie polega na do-życiu do pewnego okresu, w którym się jest dojrzałym. Czy teraz jest to dla pani bardziej jasne? – zapytałem.
- Aha, to znaczy że dojrzałość to do-jrzałość, czyli do-żyłość!? – w tym momencie na niewiastę spłynęło jakieś światło wiedzy. Zdawało się, że pojęła nareszcie związek między dojrzałością a do-jrzałością. Ale postanowiłem kontynuować swoje zabiegi na umyśle kelnerki, żeby ją upewnić iż dojrzałość to do-jrzałość.
- Gratuluję! Odosnę wrażenie, któremu oprzeć się nie mogę, że teraz rozumie pani co miałem na myśli mówiąc o dojrzałości jako o do-jrzałości. Ale żeby panią całkowicie przekonać wyjaśnię co rozumiem mówiąc, że dojrzałość to nic innego jak do-jrzałość. Rozpocząłem swój wywód.

...

Drogi czytelniku – nie chciałem cię zanudzać jego opisem. Wierzę, że jeżeli dotarłeś do tego momentu w lekturze, w którym pojawiły się te trzy kropki, sam z łatwością zrekonstruujesz ów wywód, którego tu świadomie nie opisałem, nie chcąc obrazić twojej inteligencji.

Czy jednak wiedza, którą odkryła w sobie kelnerka – w czym miałem swój skromny udział – zmieniła jej, do tej pory kategoryczne stanowisko odnośnie sprzedaży alkoholu osobom, które nie mogą wylegitymować się dowodem osobistym?

Postanowiłem się przekonać i ponownie zapytać czy poda mi alkohol. Tym razem byłem niemal pewny, że kelnerka zgodzi się zrealizować moje nasze zamówienie, zwłaszcza że moja towarzyszka – Pla, jako świadek i niemy uczestnik tej rozmowy, musiała być już niebywale znudzona.

- Szanowna pani, czy w tej sytuacji, świadoma wiedzy, o której jeszcze przed chwilą nie miała pani pojęcia, zgodzi się pani podać nam drinka?

Kelnerka, która niezwykle uradowana jeszcze sekundę wcześniej była całkowicie zajęta odkrywaniem wiedzy, o którą przed naszym spotkaniem sama siebie nie podejrzewała, nagle zamarła. Jej twarz przybrała ten sam, znany mi już w jej wydaniu, wyraz bezwzględnej legalisty. Odpowiedziała:

- Wszelkie alkohole podajemy po okazaniu dowodu osobistego.

Teraz zrozumiałem, że nawet za pomocą odkrywania wiedzy, która staje się oczywistą nie można zmienić wpajanych od lat zasad, zwłaszcza tych, które obwarowane zostały prawnymi sankcjami. Postanowiłem zmienić to i charakter działania. W tej chwili – szanowny czytelniku – pomyślisz sobie: dlaczego w dalszym ciągu upierałem się i żądałem alkoholu? Otóż nie mogę podać racjonalnego powodu mojej determinacji w tej kwestii. W tej chwili przypominałem raczej krzyżowca, który zbrojny w wiarę w boga, z okrzykiem rzucał się w

sam środek bitwy po to, aby wyciąć jak najwięcej saracenów. Podobnie jak ów krzyżowiec, tak i ja w tej sytuacji miałem świadomość, że przechylenie szali zwycięstwa zależy od konsekwentnej determinacji, którą zwykli ludzie nazwać by mogli obłudą. Saraceni pozbawieni oręża potrafili przegryzać tętnice żeby tylko zwyciężyć. Ja w tej chwili także straciłem swoją najcenniejszą broń, w której pokładałem ostatnie nadzieje. Okazało się, że racjonalne argumenty nie działają na kelnerkę, że niezależnie od tego, co powiem, jakimi badaniami empirycznymi potwierdzał bym prawdziwość swoich tez, osoba ta i tak by je zignorowała, w apodyktycznym przekonaniu, że *dura lex sed lex*. Nie mogłem liczyć na zdroworoządkowe poczucie racjonalności, więc postanowiłem odwołać się do ciemnej strony mocy. Zdecydowałem się na użycie argumentu ostatecznego. Powiedziałem:

- Dobrze. W takim razie chcę rozmawiać z szefem!

Kiedy kelnerka to usłyszała zbladła. Na jej twarzy pojawił się grymas przerażenia. Ale nie tylko ona zareagowała. Otóż sam dźwięk słowa „szef” wywołał niezwykle poruszenie także wśród gości lokalu. O ile do tej pory wyraźnie ignorowali moją konwersację z kelnerką, teraz wszyscy nagle w pośpiechu zaczęli szukać zegarków, sugerując jakby, że już czas opuścić to miejsce. Nie tylko ja zauważyłem ów szmer sali. Kątem oka zauważyłem, że poczciwy staruszek, który do tej pory służył mi za dowód nieszkodliwości alkoholu na organizmy dojrzałe, porzucił lekturę gazety i zaczął się rozglądać, próbując zidentyfikować źródło tego nagłego poruszenia. Kelnerka także zauważyła reakcję gości, lecz nawet nie spróbowała zażegnać jej przyczyn. Przeciwnie. Próbując opanować gwałtowne emocje i siląc się na spokojny ton odpowiedziała:

- Szanowny panie, już panu mówiłam, że nie sprzedam panu alkoholu, dopóki nie okaże mi pan dowodu tożsamości, który mógłby potwierdzić pańska pełnoletność.

Nie dałem się jednak odwieść od powziętego przed chwilą zamiaru i równie spokojnie powtórzyłem.

- Szanowna pani, chciałbym porozmawiać z szefem.

W tym momencie kelnerka zrozumiała, że moja prośba ma charakter roszczenia, od którego nie odstąpię. Treść i ton mojego dyskursu z tą panią musiał także wpłynąć na zmianę planów gości, którzy jeszcze przed chwilą, zaalarmowani dźwiękiem słowa „szef”, teraz porzucili swój pierwotny zamiar szybkiej ewakuacji. Zdecydowali się pozostać. Być może ich własne doświadczenia nauczyły ich, że osobiste spotkania z szefami nigdy nie miały pozytywnych zakończeń. I teraz, w sytuacji, gdy miał się za chwilę pojawić szef, ich ciekawość zwyciężyła nad instynktem samozachowawczym, który pierwotnie skłaniał ich ku wyjściu. Postanowili być świadkami tego dramatu. Kelnerka musiała także zauważyć tę zmianę w zachowaniu pozostałych gości. Wiedząc, że za chwilę stanie się głównym aktorem tragedii, próbowała jeszcze wpłynąć na zmianę mojej decyzji. Tym razem niemal rozpaczliwym tonem powiedziała:

- Proszę pana, ale ja naprawdę nie mogę panu podać alkoholu...

Nie pozwoliłem jej dokończyć, bo wiedziałem jakie będą główne powody owej niemożności – tj. prawo, pełnoletność, dowód osobisty etc., dlatego przerwałem i ponownie poprosiłem o spotkanie z szefem.

- Dobrze – odparła kelnerka. – Już poproszę szefa. Kogo mam zaanonsować? – zapytała.

- Niech pani powie, że jest taki klient, który chciałby z nim porozmawiać i ... aha, byłbym zapomniiał niech pani powie, że ten gość nazywa się Rates, Sok Rates.

Kelnerka całkowicie zrezygnowana obróciła się na pięcie i udała się na zaplecze lokalu, gdzie jak miemam przebywał szef. Ja i moja towarzyszką w milczeniu oczekiwaliśmy na dalszy ciąg wypadków. Inni także czekali na finał tego incydentu.

Nazwisko

Jak dobrze wiesz, drogi czytelniku, szef zawsze ma dużo zajęć i nie ma czasu na to by nagle oderwać się od nich aby spełnić zachciankę jednego z petentów. Oczekiwanie na audiencje jest zatem dobrą okazją do tego aby wyjaśnić ci zagadkę mojego dziwnego nazwiska. Jak wiesz moje imię zawdzięczam wrodzonemu upodobaniu do konsumpcji soków. Jednak historia mojego nazwiska jest dziwna. Otóż wyobraź sobie, drogi czytelniku, że w pewnym okresie dziejów mojego znamienitego rodu, przyszło nam żyć w czasach gdy jedni ludzie, z drugich ludzi próbowali syntetyzować środki higieny osobistej. Było to w latach czterdziestych, dwudziestego wieku. To mroczny okres wojny, w której życie ludzkie było tyle samo warte co łyk wypitej wody ze szklanki. Świat podzielił się na ludzi dobrych i złych. Prowadzili oni między sobą bezwzględną walkę, w której odróżniał ich tylko kolor mieczy – dobrzy mieli niebieskie, źli natomiast czerwone. Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że konsekwencją tych bitew nie była śmierć człowieka. Otóż – być może trudno ci w to uwierzyć, drogi czytelniku – człowiek znikał, tzn. w jednej chwili był, a za chwilę go nie było. Śmierć zastąpiły statystyki. Rozpoczęła się licytacja, w której zawsze liczyła się ilość – przewaga cyferek lub wysokość ekselowskich słupków. Trudno sobie to wyobrazić, ale u podstaw tych wszystkich przeliczeń legła zasada racjonalizacji zabijania. Szybciej, sprawniej i więcej! Tak jak w sporcie, w którym liczy się tylko bicie rekordu. W specjalnych miejscach zbudowano fabryki, które napędzały te czarne statystyki. W ich otoczeniu do dziś czuć zapach migdałów. Ale Niemcy z czerwonymi mieczami upodobali sobie szczególnie gatunek człowieka za przedmiot wzajemnej rywalizacji o zwycięstwo w statystykach. Tak! – Nie pomyliłem się, drogi czytelniku. – Podzielili oni ludzi na gatunki. Niemcy byli szlachetni, niczym pełnokrwiste rumaki arabskie, reszta była gorsza. Za najgorszych Niemcy uznali Judów. Jak onegdaj szlachetni faraonowie, tak Niemcy chcieli wykorzystać, zneutralizować, unieszkodliwić, zniszczyć, zdezynfekować etc., wszystkich Żydów. Ulubioną metaforą, wręcz symbolem, którym posługiwali się Niemi, przedstawiając Judów był szczur a w ich języku: Rate.

Tak, tak! Drogi czytelniku, to poczciwe i niezwykle pożyteczne stworzenie, z którym żyję od la w symbiozie, stało się mrocznym symbolem, który określał wszystkich Judów. W filmie, na plakatach, w gazetach, w poezji wszędzie czaił się wieczny Rate, który miał władać światem. Niemcy oczywiście chcieli ten świat wyzwolić, dlatego przedstawiali siebie jako tych szlachetnych, którzy zwalczają wszędobylską plagę tych zwierzątek. Te niewinne i pożyteczne stworzenia stały się podwójnym symbolem. Z jednej strony, niczym puszcza Pandory symbolizowały całe zło świata, z drugiej strony zaś symbolizowały Judów.

W tych brutalnych czas przyszło mi się urodzić. Nie było to moją świadomą decyzją, lecz miłosnym zapomnieniem moich rodziców. Do dziś dnia jestem pełny podziwu dla potęgi miłości i magnetyzmu ciała, które wówczas było w stanie pokonać mroki dnia codziennego, w których czaiły się demony wyzwolone przez Niemców. Wyobrażam sobie jak przy huku spadających bomb, skwierczeniu palonych ciał, okrzykach torturowanych ludzi ta dzielna dwójka – mówię o rodzicach – z zapalem reprodukowałam gatunek. Nic w tym momencie nie było w stanie im przeszkodzić, tak samo jak nie było takiej przeszkody, której nie pokonałyby dzielne plemniki, niestrudzenie zmierzające ku swemu przeznaczeniu. Zaiste, dziwna melodia przygrywała wówczas tej parze.

Finał był spodziewany. Rozpoczęło się znużające, dziewięćmiesięczne oczekiwanie. Ja czekałem w środku, rodzice na zewnątrz. Zarówno oni jak i ja niecierpliwiliśmy się bardzo, zwłaszcza, że w tych okolicznościach szalonego świata, liczyła się każda chwila przeżytego życia, zanim się znikło. Też chciałem choć parę chwil żyć. Mama chyba świetnie rozumiała tę potrzebę i zanim upłynął biologiczny termin postanowiliśmy wspólnie przyspieszyć

procedurę porodu. Uprzedziłem ją paroma kopniakami i serią skurczów, i pospiesznie opuściłem jej łono.

Kiedy zacząłem rozpoznawać nieznane mi do tej pory kształty i kolory tak różne od mroków, które oglądałem przez kilka pierwszych miesięcy po moim poczęciu, byłem chyba najszczęśliwszym niemowlakiem na świecie. Wspominam ten okres niezwykle rzewnie bo był to okres całkowitej dowolności. Na przemian śmiałem się i płakałem. Ogólnie byłem niezwykle uradowany różnorodnością otaczającego mnie świata. Nie wiedziałem, że nie było wówczas powodów ku mej egzaltacji. Moje narodziny bowiem nic nie zmieniły. Dalej skwierczały palące się ciała, dalej w powietrzu unosił się zapach migdałów i w dalszym ciągu ludzie oplakiwali dzień zbliżającego się nieuchronnie swego zniknięcia. Cud narodzin tym razem nie odmienił oblicza świata. Mniejsza o to. Najbardziej istotną kwestią, był fakt, że moi rodzice i ja, nie mieliśmy tyle szczęścia aby zaliczać się wówczas do stada Niemców. Najgorsze było to, że nawet nie byliśmy dla nich neutralni. Przeciwnie – kochankowie i materialny produkt ich miłości i siły plemników, czyli ja, znajdowaliśmy się po drugiej stronie barykady. Należeliśmy do tego świata, który oni nazwali uniwersum szczurów, a ten poszatowany czerwonymi mieczami miał zniknąć.

W tej atmosferze, w głowach moich rodziców zrodził się piekielny wręcz plan, którego celem, jak dziś przypuszczam, było ocalenie mojego życia. Od początku zagłady świata zarówno mój ojciec jak i matka stali się tarczami celowniczymi, do których można było bezkarnie strzelać. Wszędzie prześladowały ich wizerunki szczurów. Skazani na los, który nieuchronnie realizował się przy wtórze salw karabinowych wpadli na genialny pomysł. Postanowili nazwać swojego syna Rates. Oczywista etymologia tego nazwiska nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Stałem się szczurem.

Dlaczego takie nazwisko, w tak trudnych dla szczurów czasach? – To pytanie także sobie zadawałem, drogi czytelniku. Na początku myślałem, że rodzice chcieli zwyczajnie oszczędzić mi mąk, a Niemcom żmudnych procesów identyfikacji mojego pochodzenia gatunkowego, w tym oględzin resztek napletka. Samo nazwisko wskazywało bowiem jednoznacznie na to, że byłem szczurem. Teraźniejszość – czyli fakt, że piszę tę historię, wskazuje, że ów pogląd jest fałszywy. Udało mi się przeżyć erę antyratejską, mimo, że miałem szczurze nazwisko, pochodzenie i szczurzą krew, która od normalnej krwi różniła się tylko ideologią. Ale do rzeczy. Przebiegłość zamysłu moich rodziców opierała się na odwołaniu do bezdyskusyjnej oczywistości. Otóż kiedy inni – szczury mi podobne, ukrywali się przed Niemcami, a to zmieniając nazwiska na –wski, -wska, to znowu zmieniając fryzury i odzienie, ja w dalszym ciągu pozostawałem niezmiennie Ratesem przynależnym do swojej rasy nie tylko krwią, ubiorem i fryzurą, ale także nazwiskiem, którym chwaliłem się przy każdej nadarzającej się po temu okazji, zwłaszcza kiedy byłem poddawany procesowi identyfikacji. A wyglądało to mniej więcej tak:

Niemiec:

-Du kleine Schwein! Du bist der Jude, der Rate!!!!

Ja wpatrzony szczerymi, wielkimi dziecięcymi oczami w przysadzistą postać mawiałem:

- Nie proszę pana, nie zgadł pan. Nie nazywam się schwein, ani rate, tylko prawie rate, bo Rates...

I kiedy chciałem wyjaśnić Niemcowi okoliczności powstania mojego nazwiska, że m.in. to on był przyczyną tak dźwięcznego słowa, które automatycznie wymawiałem zaraz po swoim imieniu, ten przerywał mi swoim karczmarsko-piwnym śmiechem i mówił:

- Du bist aber witzig!!! Also gut, kannst du gehen!

W ten oto sposób oczywistość mojego nazwiska ratowała mi nieustannie życie. Wszyscy zainteresowani myśleli po prostu, że dowcipniś ze mnie i dzięki temu, postrzegany jako szaleniec przeżyłem okres, którego nie powinienem był przeżyć.

Audiencja

Wracając do sprawy szefa.

W tej chwili w kawiarni przy naszym stoliku nie działo się nic. Siedzieliśmy ja i Pla, i czekaliśmy na kelnerkę, która skazała siebie na swój własny los oraz na szefa, u którego jeszcze przed chwilą stanowczo domagałem się widzenia. W monotonii oczekiwania zaważyłem dopiero teraz ciekawe zjawisko. Otóż moja współtowarzyszka przez cały czas mej rozmowy z nieubłaganą formalistką ani słowem się nie odezwała. Nie znaczy to jednak, że nic nie robiła w tym czasie. Przeciwnie. Dopiero teraz zauważyłem, że cały czas nieustannie coś gryzmoli, robi jakieś dziwne notatki, coś pisze. Musiała to robić od dawna, przynajmniej od momentu naszego wspólnego wstąpienia do tego miejsca, gdyż jej część stołu pokryta była pozornym chaosem zapisanych serwetek i karteczek. Ciekawe co takiego zapisywała, co było warte straty tylu karteczek i serwetek? Nie dowiem się jak nie zapytam. Zagadnąłem:

- Co tam piszesz? – pytanie było na temat i niezwykle esencjonalne. Wiedziałem, że jak zacznę kluczyć, kręcić i stosować wszystkie te techniki, których używałem w komunikowaniu się z światem prostych ludzi, Pla się zorientuje i obrazi, a wszelkie próby ponownego jej udobruchania nie przyniosą żadnego skutku. Moja towarzyszka spojrzała na mnie, potem ponownie na fiszki, i podała mi jedną z nich, nie mówiąc przy tym ani słowa. Czyli klasyczny błąd komunikacji: zadane pytanie nie powoduje werbalnej formy odpowiedzi, lecz gest. To tak samo jak na pytanie: „kto jest mądry?” ludzie zamiast powiedzieć Sok Rates, będą wskazywali na mnie palcami, unikając konkretnej odpowiedzi. A przecież sam gest jest wieloznaczny, wskazanie na mnie palcem nie musi oznaczać, że to ja jestem mądry, ale że to ja jestem uprawniony do odpowiedzi na to pytanie.

Wziąłem tą karteczkę choć nie wiedziałem, czy mogę ją przeczytać – przecież Pla nic nie powiedziała. Ale co tam – pomyślałem. – Zaryzykuję i przeczytam, do odważnych świat należy! – Jak pomyślałem tak zrobiłem. Pierwsze wrażenie lektury nie powalało. Luźne zapiski z rozmowy lub jej własnych przemyśleń, bez żadnego składu, wyrwane z kontekstu. Nie zaciekały mnie i nie chciałem zapoznawać się z nimi wszystkimi, ażeby ostatecznie dowiedzieć się, co jest przedmiotem tych notatek. Oddałem karteczkę i zadałem inne pytanie:

- Nie nudzisz się? Zapewne musisz się okropnie nudzić, zaprosiłem cię do kawiarni i jesteśmy tu parę już dłuższych chwil, a ja nie odezwałem się do ciebie jeszcze ani słowem.

Pla odpowiedziała:

- Nie nudzę się, siedzę i piszę sobie – mówiąc to uśmiechała się nieco ironicznie. Mógłbym ponowić pytanie „co tam piszesz” ale mój głos wewnętrzny podpowiadał mi, że nie mogę liczyć na inną odpowiedź jak tylko na znaną mi jej wcześniejszą reakcję – tzn. poda mi przypadkową fiszkę i każe samemu odnaleźć odpowiedź na moje pytania. W tej sytuacji nie bardzo wiedziałem, co mam dalej zrobić. Czy w dalszym ciągu próbować nawiązać dialog, choć ten się wyraźnie nie kleił, czy może udać zmęczonego życiem, tzn. poziewać sobie, poprzeciągać się, poczochrąć włosy, których już brakuje od tego czochrania. Doprawdy znalazłem się w sytuacji, w której nie potrafiłem się odnaleźć. Trwało by to w nieskończoność, bowiem Pla milczała a mi z kolei nie przychodziło nic na myśl w kierunku: „zabaw babkę mądrą gadką”, lecz z opresji uwolnił mnie nie kto inny, jak sam...szef! Tak, drogi czytelniku, w tym momencie zjawił się szef, z którym chciałem się widzieć.

W towarzystwie kelnerki maszerował on w kierunku naszego stolika. Początkowo ich nie zauważyłem, lecz dostrzegłszy dziwny niepokój w oczach mej towarzyszki, która tak usilnie starałem się zabawić dramatycznie katastrofalną gadką, powoli obróciłem głowę, aby sprawdzić co mogło być źródłem tego niepokoju. Wtedy go zobaczyłem. Mały, niepozorny człowieczek, łysawy tak jak ja, lecz niezwykle energiczny w ruchach. Poruszał się dynamicznie, tak jakby chciał dać do zrozumienia, że zewnętrzne objawy podeszłego wieku, nie odzwierciedlają młodzieńczej energii – witalnej many, której mu przez lata wcale nie

ubyło. Rozbiegane oczka, buszujące w granicach, wyznaczanych przez połączone ramki oprawy okularów, próbowały ogarnąć nawet najodleglejsze kąty kawiarni. Lustrował pomieszczenie i ludzi, przedmioty, słowem wszystko, co tylko mógł zlustrować, a to, co się próbowało ukryć przed jego wszędobylskim wzrokiem, najbardziej przykuwało jego uwagę. Przyglądając się jego sylwetce, która stawała się coraz większa w miarę zbliżania się do nas, układałem sobie w myślach pierwsze wersety naszego potencjalnego dialogu. Nie wiedziałem od czego zacząć, nigdy dotąd nie rozmawiałem z szefem. Czy zapytać o samopoczucie, czy może od razu się poskarżyć, czy też zaproponować coś do picia? O tak! Zaproponuję mu coś do picia, zaproponuję mu drinka, i kelnerka na pewno przyniesie drinki nam wszystkim. W ten sposób zrealizuję swoje zamówienie i oszczędzę kelnerkę. Tak, to rozwiązanie wydaje się być całkiem racjonalne i korzystne dla nas wszystkich. Jak się jednak wytłumaczę szefowi z tego, że ośmieliłem się marnować jego cenny czas, zapraszając go na drinka. Przecież on nie zajmuje się takimi rzeczami. Ma misję do spełnienia, nie ma czasu na takie rzeczy, jak picie z klientami. Musiałem coś wymyślić, a czasu było mało – a o tym jak mało go było, zaświadczyły słowa, które usłyszałem:

- Dzień dobry! Pan, panie Rates, chciał się ze mną widzieć. Słucham, o co chodzi? – głos szefa nie wyrażał żadnych emocji. Opanowany, neutralny i przez to bezwzględny. Wiedziałem, że jakakolwiek jego decyzja w mojej sprawie będzie super obiektywna i rzeczowa. Na to mogłem liczyć, to gwarantowało jego doświadczenie oraz identyfikator przypięty do kieszeni koszuli z napisem „SZEFE”.

- Tak, chciałem się z panem widzieć – odpowiedziałem, choć miałem świadomość, że ton mojego głosu nie był tak doskonale wytrenowany jak głos szefa.

- Chodzi o pewną regułę, której się tu surowo przestrzega – kontynuowałem.

- Tak, pracownica już mi przedstawiła sedno sprawy – przerwał mi szef.

- Oczywiście zaraz nakazę zrealizować pańskie zamówienie na alkohol, przepraszam bardzo za kłopot i za postawę obsługi, ale rozumie pan, że przepisy obowiązują nas do takiego a nie innego zachowania – powiedział szef.

Była to zaskakująca deklaracja, przecież nie wylegitymowałem się dowodem tożsamości, a mimo to szef nakazał podać mi alkohol, którego się domagałem. Nie żądał ode mnie okazania żadnego dowodu, zaufał empirii. Był to moment przełomowy w moim rozumieniu istoty szefa. Zawsze postrzegałem go jako coś zbędnego, jako element kontrolujący, teraz jednak wiem, że szefowie są niezbędni do tego, aby podjąć decyzję! Ale nie zwykłą decyzję, lecz pozytywną decyzję. Kto wie, jak długo musiałbym nalegać, żądać, argumentować, błagać ową kelnerkę, gdyby nie szef – okazało się, że tylko on miał władzę zmienić normę prawną pt. „nieletnim alkoholu nie podajemy”. Jego decyzja, w tej samej chwili gdy ją wypowiedział, unieważniała wszelkie kodeksy, reguły danego miejsca, w którym szefował, a którego szefowanie było zapisane w tychże kodeksach i regułach, które to decyzyjnie unieważniał.

Chciałem okazać wdzięczność i jednocześnie przeprosić szefa za fatygę i, gdyby się udało, zaprosić go do wspólnej biesiady. Niestety zniknął on już z pola widzenia i poszedł załatwiać swoje sprawy. Po chwili na stole pojawiły się drinki, które przyniosła ta sama kelnerka, która jeszcze kilkanaście minut wcześniej kategorycznie odmawiała mi ich podania. Cóż za ironia! Węszyłem w tym udział szefa, który nakazał jej, właśnie jej a nie komuś innemu podać nam alkohol. Nie chciałem w to jednak wnikać. Miałem dość tych jałowych rozmów, w których nawet oczywisty wniosek nie zmieniał nic w postawie tej kelnerki. Jej automatyzm był przerażający. Nieważne jaką wiedzę by posiadała, jakie tajemnice i tak automatycznie powtarzałyby swoje mantry. Pozostało mi dwóch potencjalnych interlokutorów, z którymi rozmowa mogła być przyjemnością. Była to moja towarzyszka Pla, oraz szef, który był, ale już go nie ma. Pla była godna zaufania o tyle, że już miałem zaszczyt się przekonać, że nie rezygnując z kobiecości potrafi wykrzesać z siebie niezwykle głębokie myśli. Szef natomiast

jako jedyny z obsługi tego miejsca miał prawo najwyższe, które zrównywało go z nami jako klientami. Miał on pełną dowolność decyzji, dyspozycję czasu no i władzę – czyli to, co każdy lubi.

Postawiwszy drinki na naszym stoliku, kelnerka wykonała wyuczony dyg i odeszła.

Błękitno-biała substancja w kieliszkach okazała się być zaskakująco dobra, choć przyznać muszę, że irytowało mnie to picie, a raczej cmokanie przez wąską słomkę. Nie wątpię, że ten sposób zalicza się do cywilizowanych, ale ja należę do tej kategorii barbarzyńców, którzy lubią pić piwo prosto z butelki a nie z kufła i sobie jeszcze przy tym beknąć. W tej sytuacji rozumiałe są powody mojej irytacji. Ale w tak doborowym towarzystwie, będąc oczywiście przedmiotem zainteresowania pozostałych gości tego lokalu, którzy byli widocznie zdziwieni tym, że przeżyłem spotkanie z szefem, musiałem udawać kimś, kim nie byłem. Przychodziło mi to tym łatwiej, że miałem świadomość, że nie byłem odosobniony w swej misji udawacza. Każdy był aktorem – mniej lub bardziej utalentowanym, każdy grał jakąś rolę, ale w tym przypadku nieudolność i brak talentu aktorskiego była o dziwo cnotą, którą najbardziej podziwiali mistrzowie zawodu. Zatem kulturalnie, z wdziękiem lorda angielskiego sączyłem drinka, spoglądając na to, co robi moja towarzyszka. To, co się stało za chwilę miało odmienić resztę mojego życia, które okazało się być krótkim.

Ludzie

Spotkanie z szefem zakończyło się moim triumfem i oczywistą porażką obsługi tego lokalu oraz systemu prawnego. Norma: „alkohol sprzedajemy tylko osobom pełnoletnim” zwyczajnie została przez szefa olana. Stało się tak tylko dzięki mojemu oślemu uporowi. Swoje zwycięstwo okupić miałem najwyższą ceną, ale o tym miałem się dopiero przekonać. Dopiero teraz zorientowałem się, że stałem się przedmiotem zainteresowania niemal wszystkich gości w tym lokalu, oczywiście nie licząc obsługi. Oczywiście przyczyną tego była moja niedawna pogawędka z szefem oraz strój, który musiał budzić przynajmniej zdziwienie, ponieważ spod płaszczka prześwitywały nagie części mojego ciała.

Postanowiłem zignorować owa ciekawość, licząc na to, że z czasem minie. Niestety. Gdy za jakąś chwilę rozejrzałem się dyskretnie wokół siebie dokonałem strasznego odkrycia: byłem o b s e r w o w a n y!!!

Ludzie cały czas spoglądali na mnie, niby to ukradkiem a niektórzy nawet się z tym nie kryli i gapili się wprost.

- Chyba najwyższy czas już sobie iść – powiedziałem do swojej towarzyszki. Ona jednak jakby tego nie zauważyła i cały czas cos notowała. Wiedziałem, że usłyszała i rozumiała moją sugestię, która nie dopuszczała sprzeciwu. Pla jednak całkowicie zignorowała moje przecucia i sugestie. Jak się okazało miała wobec mnie całkiem inne plany. W jednej chwili wstała z miejsca, a wraz z nią podnieśli się pozostali goście lokalu, w którym siedzieliśmy do tej pory. Wskazała na mnie palcem i powiedziała na głos:

- Oto on!

Przyznać muszę, że do dziś w uszach dźwięczą mi te słowa, których sensu nigdy nie rozumiałem. Po tym jak wypowiedziała ową formułkę goście jakby na jej rozkaz ruszyli w moim kierunku. Wszyscy ze wszystkich stron. Znalazłem się w takiej sytuacji, z której nie było wyjścia ani wejścia – znalazłem się nagle w samym epicentrum zainteresowania, którego wcześniej nie było. Wiedziałem, że wszelki opór będzie bez sensu i poddałem się bez walki. Nie dlatego, że się przeląknłem napierającego na mnie tłumu, lecz dlatego, że zgodnie z obliczeniem nie miałem teraz żadnych szans a siły należało oszczędzać na bardziej dogodną sytuację, w której zwycięstwo byłoby chociaż potencjalnie możliwe.

Poczułem na sobie dotyk rąk. Nie przypominały one uścisku policjanta, lecz raczej ciekawski dotyk dziecięcej dłoni, która napotkała w swym zasięgu niespotykany do tej pory przedmiot.

Jednak nawet jeżeli uściski nie były stanowcze, to i tak poruszanie się w ich gąszczu nie było możliwe. Otoczony pozostawałem w bezruchu i próbowałem wyłowić z tłumu sylwetkę mojej niedawnej towarzyszkii, do której miałem takie zaufanie. Nie zdziwiłem się jak ja zobaczyłem wraz z kelnerką, szefem i tym, którego zapamiętałem jako oddalającą się sylwetkę w garniturze po tym jak cudownym sposobem odzyskałem zdolność widzenia – czyli tym, który zdzielił mnie w mordę. Wielka czwórka się zebrała, ale ciekawe w jakim celu urządzili ten cały cyrk? Nie miałem złudzeń co do tego, że cały mój dzisiejszy dzień, przynajmniej od momentu wyjścia z domu, został zaplanowany w najmniejszym szczególe. Wszystko zostało ułożone według tak misternego planu, abym to ja sam proponował drinka w knajpie, abym to ja prowokował debatę z kelnerką, abym to ja prosił o szefa, abym to ja dostał po mordzie. Pla, jako moja towarzyszka ani razu nie przejęła inicjatywy w działaniu. Zdawała się biernie oczekiwać na moje kolejne propozycje.

- Sprytnie babsko! Kurwa mać! Sprytnie, albo ja jestem taki głupi! – pomyślałem. Byłem strasznie wściekły na siebie. - Jak mogłem przeoczyć ową sztuczkę ze sterzącymi sutkami! – Tak! To właśnie to! Moje zmysły krytyczne i wrodzoną ostrożność, instynkt przetrwania osłabiony został widokiem tych cycków, które mi implicite pokazywała moknąc dobrowolnie w deszczu, gdy ofiarowała mi niby to altruistycznie swój płaszcz jako okrycie.

Aresztowanie

- Ręce do tyłu i nie próbuj uciekać! – warknął do mnie ktoś z boku. Złożyłem ręce z tyłu na plecach, poczułem ucisk kajdanek. W tym czasie spoglądałem to na Ple, to na szefa, to na kelnerkę, to na wszystkich – wszyscy patrzyli zaś na mnie. Nie miałem pojęcia o co tu chodzi, dlaczego nagle wszystko stanęło na głowie. Nic nie zrobiłem przecież, no może tylko tyle, że nie mając przy sobie dowodu osobistego poprosiłem o podanie drinka alkoholowego. Czułem się wyróżniony w jakiś sposób. To, czego nie osiągnąłem przemierzając miasto w samej bieliźnie, teraz się spełniło. Uwaga wszystkich skierowana na mnie. Rozkoszowałem się tym, wdzięcznie prężąc swoje półnagie ciało, płaszcz bowiem, który podarowała mi Pla, pozostał na oparciu krzesła. Jeden z osobników w garniturze popchnął mnie do wyjścia. Wyszedłem już zaaresztowany na ulicę. Spięty kajdankami, z lekko przygarbioną sylwetką prowadzony byłem w kierunku pojazdu, który stał nieopodal. Oczywiście deszcz ciągle padał – bo deszcz zawsze pada w takich sytuacjach, kiedy główny bohater kiepskiego kryminału jest aresztowany. Zgodnie z kanonem pisarskim, także i w tej opowieści pada deszcz.

Dystans, który dzielił mnie i mój orszak od pojazdu nie był znaczny, ale wystarczający by ci sami przechodnie w garniturach, którzy do tej pory podążali zahipnotyzowani pięknym symetrycznej kostki brukowej w sobie tylko znanym kierunku, teraz przystanęli, zbili się w spory tłum, aby mnie obserwować. W tym całym widowisku nikt nie zwracał uwagi ani na tego, kto mnie prowadził, ani na moją towarzyszkę-zdrajczynię: Ple, ale na mnie. I znowu napawałem własne ego tym powszechnym zainteresowaniem.

Po kilkudziesięciu sekundach siedziałem już na tylnym siedzeniu pojazdu i wieziono mnie w nieznanym mi kierunku. Siedziałem sam. W tylnym oknie krata, w bocznych też i od kierowcy oddzielała mnie pancerna szyba. Był to całkowicie zuniformizowany przedmiot, służący tylko do jednego celu – do zniewalania. Przystosowany do tego stopnia, że nawet nie miał klamek wewnętrznych, żeby przypadkiem któremuś z zniewalanych nie przyszło do głowy wydostanie się z niego. Pancerne i okratowane szyby były niemożliwe do sforsowania bez użycia dynamitu, ale przecież żaden aresztowany nie zdecyduje się w tym ciasnym pomieszczeniu na jego użycie, gdyż oznaczałoby to śmierć dla niego. Taki oto paradoks: chcesz być wolny i się wydostać, to użyj dynamitu, innego sposobu nie ma, ale jeżeli to zrobisz, to zginiesz i nie będziesz już nigdy mógł żyć na wolności. Może ci, którzy wymyślili ten rodzaj auta, o tak jednoznacznej funkcji zdeterminowanej przez jego specyfikę, chcieli

dać wszystkim aresztowanym, którzy byli nim przewożeni, możliwość doświadczenia wolności absolutnej? To wydawałoby się sensowne. Przecież każdy konwojowany mógł wybrać między śmiercią w trakcie próby uwolnienia się z tego auta, a śmiercią lub życiem, gdy zostanie osądzony. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że każdy potencjalny konwojent wybierze to drugie wyjście – czyli nie będzie próbował się wydostać z pojazdu. Ponieważ ma świadomość, że dojechanie do celu i poddanie się osądzeniu jest dla niego bardziej korzystne niż oczywiste samobójstwo, gdyby próbował się wydostawać w trakcie konwojowania. Ale z drugiej strony przecież nie stawianie oporu i poddanie się osądowi, oznacza zrzeczenie się ze swojej woli i dobrowolne poddanie się pod panowanie woli sędziego, żeby ten osądził o życiu lub śmierci. Natomiast próba ucieczki, mimo, że jest jawnie samobójcza jest skutkiem indywidualnej decyzji, każdego więźnia. Dla każdego, kto wierzy w ostateczną instancję, w jakąś metafizyczną kontynuację swojego życia po śmierci, w boga, wybór między samobójczą próbą ucieczki, a poddaniem się decyzji sędziego, jest prosty. Taki aresztowany będzie próbował ucieczki, jeżeli będzie trzeba, to użyje nawet kilograma dynamitu by sforsować te opancerzone drzwi. Nieważne, że przy tym zginie, bowiem dla takiej osoby śmierć oznacza wieczną wolność poza ciałem – poza wszelkim ograniczeniem.

Kiedy pojawiła się w moim umyśle ta refleksja, zacząłem zastanawiać się, czy przypadkiem ja nie mam w zapasie gdzieś takiej wiary.

- Czy przypadkiem jestem osobą, która w coś wierzy? - zacząłem się intensywnie zastanawiać, ale – jak się po chwili okazało – bezskutecznie. Nie znalazłem w sobie ani kropelki czegoś, co można nazwać wiarą w przedłużenie swojego życia. Owszem, jestem człowiekiem wierzącym. Wierzę, że istnieje absolutnie nieistniejący bóg, w którego nieistnieniu upewniam się za każdym razem, gdy wychodzę z domu i proszę do o zmianę pogody. Jego istotą jest absolutne nieistnienie. Dla mnie samobójcza ucieczka z opancerzonego pojazdu nie była ucieczką w krainę całkowitej wiecznej wolności, ale ucieczką do krainy wiecznego nieistnienia, z której nie było drogi powrotnej, a na to sobie nie mogłem pozwolić. Jeszcze nie teraz, przynajmniej nie teraz.

Więzienie

Trzy kroki szerokości i cztery długości, twarde łóżko, umywalka, kibel i parawanik – oto mój nowy dom. Nigdy nie doświadczyłem luksusów miejsca, dlatego nie odczułem tej zamiany. W gruncie rzeczy przyznać muszę, że moje nowe miejsce pobytu było czystsze niż mieszkanie, w którym od kilkudziesięciu lat spałem, budziłem się, jadłem śniadanie, które wychodząc zamykałem na klucz. Jedyne, czego będzie mi brakować, za czym będę tęsknić, to mój prywatny szczur. Niewiadomo dlaczego, człowiek tak bardzo przywiązuje się do swoich stworzeń, które mu towarzyszą w życiu.

Usiadłem na łóżku i próbowałem sobie zrekonstruować cały swój dzisiejszy dzień by odkryć powody mojego aresztowania.

- Co ja takiego zrobiłem? – pomyślałem i mimo moich usilnych starań, nie potrafiłem odnaleźć przyczyny mojego obecnego stanu rzeczy. Z zamyślenia wydobył mnie stukot butów. Ktoś zbliżał się do drzwi. Po chwili usłyszałem charakterystyczny zgrzyt w zamku. Wszedł strażnik. Chłop wielki jak góra. Ubrany w swój garnitur, w którego skład wchodziły: wypastowane buty z zaokrąglonymi czubkami, spodnie wyprasowane na kant, coś w rodzaju marynarki no i czapka. W rękę trzymał klucze, nie tylko do celi, ale do wolności każdego osadzonego. Przecież strażnik mógł w każdej chwili otworzyć wszystkie drzwi, żeby aresztowani, w tym i ja, mogli wyjść na wolność. Jednak on tego nie robi, nie robił i nie zrobi nigdy. Uniemożliwia mu to jego garnitur – uniform, który przywdziewając, uczynił z niego bezmyślne narzędzie. I podobnie jak ci ludzie, których spotykałem wychodząc z domu w poszukiwaniu człowieka, którzy automatycznie przemierzali drogi z domu do pracy, z pracy

do domu, ze spotkania A na spotkanie B – tak i strażnik nie jest w stanie sprzeciwić się swoim obowiązkom, które nałożył na siebie, zakładając garnitur. Jego zadaniem jest być beznamiętnym w kontakcie z indywidualną tragedią, z którą spotyka się w pracy – tzn. nie rozstrzygając o winie prowadzić więźnia z punktu A do punktu B.

Strażnik nie może być człowiekiem, którego szukałem. Człowiek wie czym jest dobro i czym jest sprawiedliwość. I gdyby ów był człowiekiem, wiedząc czym jest sprawiedliwość, mógłby rozstrzygać o winie i karze – sam decydowałby kogo uwolnić, a kogo więzić. Żaden sąd nie byłby potrzebny. Żaden strażnik jednak nie wnika w historię osadzonego. Także ten nie zapytał mnie, dlaczego zostałem uwięziony. Ale nawet gdyby na chwilę uwolnił się od sfery obowiązków, które narzucał mu jego garnitur, i zapytał mnie o to, to i tak nie wiedziałbym, co mam mu odpowiedzieć – nie widziałem bowiem, na czym polegała moja zbrodnia, przez którą tu się znalazłem.

Strażnik, spoglądając na mnie powiedział beznamiętnie:

- Masz widzenie.

- Że co? – odparłem zdumiony. Na co strażnik odparł:

- Ktoś przyszedł cię odwiedzić. Wstawaj i chodź za mną.

Nigdy nie byłem w więzieniu, nie miałem pojęcia, co znaczą właściwie te skróty słowne – stąd moje zdziwienie. Był to dla mnie obcy świat, w którym rządziły jakieś nieznanne mi dotąd reguły gry. W moim świecie, w którym byłem ja i szczur oraz dziesiątki przedmiotów, orientowałem się bardzo dobrze. Razem: ja i szczur, zaczęliśmy śniadanie. Szczur wiedział, że jak zacząłem mlaskać i chrupać ten sprasowany chleb, to znak, że i on za chwile coś zje, gdyż okruszki walały rykoszetami po całym pokoju. Ja wiedziałem, że jak szczur zaczynał piszczeć, to znak, że trzeba iść do kibla i się wysrać, a następnie spuścić wodę i umyć ręce – żeby ten mógł się napić z resztek wody w umywalce albo w muszli klozetowej. Ale zasad rządzącym tym światem, w którym teraz niewiedomo dlaczego się znalazłem, jeszcze nie znałem. Cała ta sytuacja przypominała mi jedno ze spotkań, w którym uczestniczyłem w trakcie weryfikacji tezy: „nie samym chlebem człowiek żyje”. Któregoś razu – ale już po tym, kiedy doszedłem do wniosku, że: to, co można zjeść, można wypić – potrzebowałem pieniędzy na wódkę. Któryś z naukowców, który podobnie jak ja wpadł doszedł do tego samego wniosku, podsunął mi pomysł, jak można zarobić pieniądze bez większego trudu, a mianowicie zagrać w karty, gdzie stawką były pieniądze. Kiedy pierwszy raz usiadłem do stolika, by zagrać, siedzieli przy nim także inni gracze. Kiedy rozpoczęła się gra, okazało się, że nie tylko ma ona swoje zasady, ale także swój język, bez którego znajomości każdy skazany jest na porażkę. Był to język dziwnych gestów, mimiki, ruchów, dziwnych słów: dwie pary, trójka, street etc. Oczywiście za głupi byłem, by to zrozumieć i – jak się możesz łatwo domyślić szanowny czytelniku – nie tylko nic nie wygrałem, ale także przegrałem cały majątek. W skutek czego nie mogłem dalej kontynuować swoich badań naukowych nad wpływem alkoholu na życie i ostatecznie zmuszony byłem przerwać swoje dociekania naukowe w tej materii. Tak oto przestałem pić.

Nauczony niedawnym spotkaniem z kelnerką, z którą moja dyskusja okazała się być bezcelowa, nie miałem zamiaru nawet prosić strażnika o wyjaśnienie mi jego przekazu: „masz widzenie”. Zapewne i to skończyłoby się wezwaniem szefa. Podniosłem się z łóżka i poszedłem za strażnikiem. Kiedy tak przemierzaliśmy wąski i długi korytarz, miałem dużo czasu na myślenie. Refleksje na temat kondycji człowieka we współczesnym świecie, pytania o sens wszelki i wszelkie rozważania natury metafizycznej zmieniały się w mojej głowie jak w kalejdoskopie. Z zadumy tej wyrwał mnie instynkt naukowca-empiryka, o którym dawno zapomniałem. Kiedy tak szedłem za strażnikiem, zwróciłem uwagę na jego zwarte pośladki, od których nie wiadomo dlaczego nie mogłem oderwać oczu.

Zapewne teraz się dziwisz drogi czytelniku, dlaczego oglądałem tyłek strażnika, wszak zapoznałeś się z moimi badaniami nad różnymi teoriami naukowymi i wiesz, że w trakcie swoich eksperymentów zawsze gustowałem w kobietach. Otóż ja też w tej chwili zastanawiam się nad tym, co ja w tym strażniczym tyłku widziałem takiego ciekawego, że nie mogłem przestać na niego spoglądać. Ale wracając do tyłka.

Kiedy tak sobie go beztrudnie oglądałem wpadłem na pomysł by zweryfikować kolejną teorię z życia wziętą, a mianowicie: „robić coś z palcem w dupie”. Może ty – drogi czytelniku – wiesz skąd się wzięło to powiedzenie, lecz ja nie miałem o tym zielonego pojęcia. Jedyne, co wiedziałem w związku z tą teorią to, że robienie czegoś z palcem w dupie wiązało się z pewną swobodą i lekkością w działaniu. Eskortowany przez strażnika, obarczony wspomnieniami związanymi z przebiegiem dnia, w którym zostałem aresztowany, czułem się przytłoczony, zupełnie ocięzłały. Skoro zrobienie czegoś z palcem w dupie miało gwarantować pewną lekkość w działaniu, to przyznać muszę, że jak nigdy do tej pory, zaistniały optymalne warunki dla przeprowadzenia badań empirycznych, które potwierdziłyby albo zanegowały prawdziwość powiedzenia: „robić coś z palcem w dupie”. Wsadziłem najpierw sobie palec między pośladki – czyli tam, gdzie jest dupa. Ale oprócz ucisku i uczucia pewnego dyskomfortu nie odczułem czegoś, co można było określić swobodą działania. Nie szło mi się ani odrobinę lżej, ani jedna troska nie oddaliła się w zapomnienie. Nie odczułem ani wytchnienia mentalnego, ani fizycznego. Przeciwnie. Doznałem czegoś, czego doświadcza każdy, komu majtki wpiły się w tyłek – pewne uczucie, któremu nie można się przeciwstawić, którego każdy chciałby się jak najszybciej pozbyć, wyciągając gacie z tyłka. No może za wyjątkiem kobiet, które lubują się w stringach. Chociaż ja sobie nie wyobrażam, jak można chodzić ze sznurkiem w tyłku. Ale przyznać muszę, że ten sznurek w tyłku kobiecym wygląda całkiem seksownie.

- Ile to te biedne kobiety muszą się nacierpieć, by przypodobać się rodzajowi męskiemu, by tylko zachęcić do kopulacji, by stymulować męskie libido? – pomyślałem przez chwilę. Jednak już nie szukałem odpowiedzi na to pytanie, które pozwoliłoby odkryć istotę i sens cierpienia kobiet w stringach. Postanowiłem dalej badać teorię o robieniu czegoś „z palcem w dupie”.

W systemie, w którym sprawdzałem prawdziwość tej teorii były tylko dwie dupy do dyspozycji: moja i strażnika, na których mogłem przeprowadzić eksperyment. Swoją dupę już wyeksploatowałem w celach naukowych, teraz pozostała mi ostateczna weryfikacja teorii, która została wstępnie obalona, gdy włożenie palca do własnej dupy, nie przyniosło założonej lekkości działania. Bez zbędnych ceregieli, tzn. nie zastanawiając się ani chwili i nie pytając o pozwolenie strażnika, wsadziłem swój wskazujący palec między jego pośladki – czyli krótko mówiąc w jego dupę.

Nie wiem czy mi ulżyło jako osadzonemu, nie wiem także czy ulżyło strażnikowi. W zasadzie, to nie wiem nic, co miałoby związek z weryfikacją teorii: „robić coś z palcem w dupie”. Zapewne dziwisz się teraz czytelniku, dlaczego nie wyniosłem z tego eksperymentu żadnych konkretnych obserwacji. Nie przejmuj się, ja też się bardzo długo dziwiłem. Ale zanim nadeszło owo zdziwienie wpięrow doznałem znajomego uczucia ciemności, takiego samego, jak wówczas, gdy dostałem w mordę od jednego z ludzi w garniturze, podczas moich codziennych poszukiwań człowieka wśród ludzi.

Kiedy po długim okresie ciemności ponownie zyskałem zdolność widzenia, zauważyłem ciekawą rzecz. Otóż nie szedłem już za strażnikiem, ale wlokłem się za nim – a ściślej rzecz ujmując: to on ciągnął mnie za ubranie i włókł za sobą. Nie wnikałem w to, co nastąpiło gdy wsadziłem palec do dupy prowadzącego mnie strażnika – pozostawię sprawę weryfikacji tej teorii na przyszłość, żebym miał co robić, gdy wyjdę z aresztu.

W końcu dotarliśmy do zamkniętych, stalowych drzwi. Strażnik puścił moje ubranie i wybrał z pęku kluczy ten właściwy i otworzył je. Wskazując na wejście ręką powiedział do mnie już nie tak beznamiętnie, jak wówczas, gdy informował mnie o „widzeniu”:

- Właż pierdolony cwelu! Później się z tobą policzę! – powiedział to i wepchnął mnie do środka.

Nie wiedziałem, co znaczą jego słowa, czego mogłem się spodziewać „później”, gdy będzie się ze mną „liczył”. A już najzupełniej enigmatyczny był dla mnie zwrot: „pierdolony cwelu” – nigdy wcześniej nie zetknąłem się z taką konstelacją pojęciową.

- Pewnie mi to wyjaśni, jak się ponownie spotkamy – pomyślałem. Nie byłem w stanie kontynuować swoich domysłów w tej kwestii, bo nagle znalazłem się w pomieszczeniu, które okazało się być mały pokojem. No, może trochę większym od mojej celi. Panował tu półmrok, mimo zapalanej lampki. Nie było żadnego okna. Na betonowej posadzce stał stół, przy którym siedziała jakaś osoba. Stałem jak wryty, nie wiedziałem, co mam zrobić. Po chwili usłyszałem znany mi już głos:

- Podejdz i usiądź – powiedział to kobieta, którą teraz już poznałem. To była Pla

Tysiąckilogramów to tona

Usiadłem naprzeciwko mojej niedawnej towarzyszki, która wcześniej poratowała mnie swoją chusteczką, a której to cycki nieustannie podziwiałem to w strugach deszczu, to w kawiarni. Niewiele się zmieniła od tej chwili, kiedy mnie aresztowano. Wyglądała tak samo, nawet miała na sobie ten sam płaszcz, który wcześniej mi użyczyła, bym osłonił swoje pornograficznie nagie ciało przed deszczem. Spoglądałem to na nią, to w jej oczy, to na jej piersi. Precyzyjniej rzecz ujmując, to interesowały mnie nadal najbardziej właśnie jej cycki. Ani duże, ani małe. Taki klasyczny model sportowy, tzn. idealnie pasujące do dłoni i mieszczące się w nich perfekcyjnie. Pewnie byłbym się w nie dalej wpatrywał, gdyby nie jedna, natarczywa myśl, która błąkając się po mojej głowie, nie dawała mi spokoju. Mianowicie, co znaczyły jej ostatnie słowa: „Oto on!”, które wykrzyczała wskazując na mnie palcem, a po których wszyscy w knajpie rzucili się na mnie szturmem.

- Znowu ktoś ci przypierdolił? – zapytała Pla i podała mi tą samą chusteczkę, którą zaferowała mi wcześniej, abym otarł krew z twarzy.

- Takie to już życie naukowca – odpowiedziałem i wzięłem chusteczkę aby wytrzeć krew, a zwłaszcza skrzep, który zrobił się w okolicach dziurek od nosa, a który uniemożliwiał mi oddychanie. A nie ma nic gorszego niż niedotlenienie mózgu w takich sytuacjach, spowodowane utrudnieniem w oddechu. Przecież niewłaściwie dotleniony mózg nie jest w stanie sprawnie myśleć. Dlatego małe dzieci i nie tylko, zwłaszcza kierowcy, gdy są w trasie najczęściej dłubią w nosie. Pierwsi dlatego, że się intensywnie rozwijają dorastając i niezbędna im jest niebywała kondycja fizyczna mózgu, by ogarnąć różnorodność świata, który właśnie poznają, drudzy dlatego, że słabe dotlenienie mózgu może być przyczyną dekoncentracji w trakcie jazdy, co skutkować może nie tylko wyborem złej drogi przejazdu, ale nawet śmiercią, gdy niewłaściwie oceni się odległość od pojazdu nadjeżdżającego z przeciwka w trakcie manewru wyprzedzania. Pamiętam do dziś bardzo wyraźnie moje spotkanie z takim dłubiącym w nosie dzieckiem. Któregoś razu, kiedy szukałem człowieka, trafiłem do parku, w którym bawiło się mnóstwo dzieci. Zmęczony swoimi wędrówkami, postanowiłem usiąść na chwile na ławce i odpocząć. Jako, że miałem wówczas zwyczaj noszenia przy sobie ołówka i czystej kartki papieru, by zapisywać swoje fantastyczne pomysły, wyjąłem ołówek, by coś tam zanotować. I gdy zabierałem się za pisanie, podszedł do mnie mały dzieciak i zapytał:

- A proszę pana, a co pan tam robi?

Pierwsze, co mnie zaskoczyło, to jego szczerść i bezpośredniość. Byłem dla niego całkowicie obcą osobą, tak obcą jak on dla mnie. Stał tak naiwnie, wlepiając się we mnie swoimi wielkimi, dziecięcymi gałami, jedną ręką dłubał w nosie, drugą zaś podtrzymywał spadające spodnie. Zadziwiająca była też prostota samego pytania. Postanowiłem zatem całkiem prosto odpowiedzieć:

- Piszę.

Powiedziawszy to z powrotem wróciłem do notowania. Jednak dzieciak cały czas stał, dłubał w nosie i obserwował, co ja robię. Po chwili zapytał mnie ponownie:

- A proszę pana, a jak się pisze?

- Pisz się ołówkiem po kartce – odpowiedziałem, a on ponownie tym razem nie zwlekając zadał kolejne pytanie:

- A jak się robi ołówek?

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko rozpocząć wykład na temat robienia ołówka. Wiedziałem, że dzieciak nie da za wygraną i nie zbędę go milczeniem. Stał sobie tak wpatrzony we mnie swoimi dziecięcymi oczami, wyczekując odpowiedzi i oczywiście nieprzerwanie dłubał w nosie.

- Ołówek robi się z drewna i rysika węglowego... - nie dokończyłem, bo ów malec przerwał mi zadając kolejne pytanie:

- A co to jest rysik węglowy?

Ja mu na to:

- Rysik węglowy, to jest to, co pisze w ołówku – odpowiedziawszy, chciałem kontynuować wykład na temat produkcji ołówków, ale dzieciak zadał kolejne pytanie:

- A proszę pana, a jak się robi rysik węglowy?

I znowu spoglądał na mnie naiwnym wzrokiem, ciekawej świata zewnętrznego istoty. Jasne, że mogłem go olać i dalej prawić o tym, jak się robi ołówek, lecz sobie pomyślałem, że i tak na pewnym etapie mojej opowieści będę musiał wyjaśnić, jak się robi ów rysik węglowy. Dlatego odpowiedziałem:

- Rysik węglowy, robi się z węgla.

Dzieciak, słysząc odpowiedź, zadał kolejne pytanie:

- A jak się robi węgiel?

Jak się możesz domyśleć drogi czytelniku i na to pytanie próbowałem odpowiedzieć. Zacząłem zatem opowiadać o dinozaurach, o wielkich paprociach. Dzieciak jednak zdawał się całkowicie ignorować moje historyjki o prehistorii świata. Cały czas dłubał w nosie i spoglądał to na mnie, to na ołówek. I kiedy tak mówiłem, mówiłem on nagle mi przerwał pytaniem:

- A proszę pana, a jak się robi wszystko?

Jego ostatnie pytanie do dnia dzisiejszego błąka mi się w głowie, ale na początku, gdy je usłyszałem straciłem nadzieję na to, że kiedykolwiek będę mu w stanie wyjaśnić technologię procesu robienia ołówków. Dlatego też wówczas już nie odpowiedziałem na nie, podniosłem się z ławki i odszedłem zostawiając dzieciaka z miliardami podobnych pytań w głowie. Dzisiaj jednak żałuje tej decyzji, ponieważ dopiero po jakimś czasie dotarły do mnie sens i głębia pytania: „Jak się robi wszystko?”, jednakże do dzisiaj nie wymyśliłem na nie żadnej odpowiedzi. Kto wie ile jeszcze podobnych pytań usłyszałbym od tego dzieciaka, gdybym wówczas nie odszedł. Od tamtego czasu jednak zawsze ochoczo dłubałem, przy każdej nadążającej się okazji – a nawet i bez okazji – w nosie w nadziei, że oczyszczone drogi oddechowe dotlenią mózg, żeby ten mógł wyprodukować pytanie tego samego gatunku, które zadało mi dziecko podczas tamtego spotkania.

Niewiadomo, dlaczego dzieci jak już dorosną, to przestają instynktownie dłubać w nosie. A dorośli robią to tylko, gdy nikt ich nie widzi. Może dlatego, że na skutek jakiegoś tajemnego

porozumienia uzgodniono, że dłubanie w nosie będzie uznane za nieestetyczne, za feeeee, żeby ludzie, jak najdalej jak to tylko możliwe, pozbawieni zostali zdolności krytycznego myślenia, które jak wiadomo jest cechą dobrze dotlenionego mózgu.

Jak widzisz, drogi czytelniku, dłubanie w nosie ma niebywałe znaczenie dla człowieka i bezpośrednio wiąże się z procesem myślenia. Ja w tej sytuacji, w której się obecnie znalazłem, nie mogłem sobie pozwolić na osłabienie zdolności krytycznych, dlatego bez większych zastrzeżeń wzięłem ową chustkę i zacząłem w nią smarkać skrzepami krwi.

Trwało to jakąś chwilę. Kiedy już skończyłem całą ceremonię oczyszczania nosa nie mogłem oprzeć się pokusie by pooglądać to, co zostało na chustce. Rozłożyłem ją i zacząłem podziwiać szkliste, brunatno-czerwone okazy baboli dosyć sporych rozmiarów i luźnej konsystencji. I kiedy już pojawiło się w mojej głowie skojarzenie między babolami z chustki a fraktalami Mandelbrota, Pla powiedziała do mnie:

- Przestań zajmować się swoimi babolami. Nie czas na to. Czy wiesz, dlaczego tu się znalazłeś?

Natychmiast porzuciłem wszelkie rozmyślenia o estetyce krwistego smarka i zacząłem intensywnie zastanawiać się nad tym, co mógłbym jej odpowiedzieć. Nic nie przychodziło mi do głowy, więc zupełnie szczerze odpowiedziałem:

- Nie wiem.

Usłyszawszy to, Pla wyjęła ze swojej teczki kilkanaście spiętych ze sobą kartek. Przeglądała je chwile i odłożyła. Spojrzała na mnie ponownie i zapytała:

- A czy ty wiesz w ogóle, kim ja jestem?

- Jesteś Pla – odpowiedziałem bez namysłu, dodając – Pla Tysiąckilogramów.

Jej nazwisko zapamiętałem z naszej przygody z kelnerką w knajpie, gdy sprawdzano jej dowód osobisty.

Pla, gdy to usłyszała uśmiechnęła się do mnie i zapytała:

- Czy wiesz ile to jest tysiąc kilogramów?

- Tysiąc kilogramów, to jeden kilogram plus jeden kilogram, plus jeden kilogram, plus jeden kilogram ... - zacząłem odpowiadać.

- Przestań rżnąć głupka! – przerwała mi Pla.

- Zamierzasz mi tu liczyć do tysiąca?

Znowu byłem pełen podziwu dla jej zdolności jasnowidzenia, o których wcześniej się już przekonałem. Faktycznie zamierzałem tak pododawać kilogramy do tysiąca, bo podobno liczenie, zwłaszcza np. owiec, pomaga się zrelaksować, co było mi w tej sytuacji tak samo potrzebne jak właściwe dotlenienie mózgu.

Tym czasem Pla wstała od stołu i zbliżyła się do jedynych drzwi w tym pomieszczeniu, tak jakby chciała upewnić się, że są zamknięte, że nikt nie podsłuchuje. Nacisnęła na klamkę, ale okazało się, że drzwi są zamknięte od zewnątrz. Cały czas stojąc do mnie tyłem – zwrócona twarzą do drzwi powiedziała spokojnym głosem:

- Tysiąc kilogramów to tona.

- No i co z tego? – zapytałem. Na co Pla, odwracając się do mnie odpowiedziała:

- Gówno.

Gówno

Czy zastanawiałeś się drogi czytelniku kiedykolwiek nad tym, co to jest gówno, jaka jest jego istota, jaki jest jego sens? Ja osobiście nigdy. Ale teraz, gdy gówno, jako słowo przez usta mojej niedawnej towarzyszki przedarło się do świata dźwięku i trafiło do mojego mózgu, pomyślałem, że musi mieć ono jakiś głębszy sens, skoro ujawniło się w takich

okolicznościach, skoro wypowiedziała je osoba o ładnych cyckach, którą uważałem za niebywale mądrą. Gówno musi mieć sens.

Zacząłem się zastanawiać, co mogło oznaczać słowo „gówno”. Nic mi nie przychodziło do głowy. Zacząłem szukać synonimów, bo być może kiedyś zastanawiałem się już nad gównem, nie mając świadomości, że to właśnie gówno. Kiedy tak rozmyślałem, nagle zaświtała mi pewna myśl:

- Przecież gówno to kupa!

Poczym od razu przypomniałem sobie pewną rymowaną, którą dawno temu przeczytałem na ścianie muru. Było to jeszcze w tych czasach, w których czytałem. Ale od jakiegoś czasu zaniechałem tej czynności, ponieważ wszystko, co przeczytałem zapamiętywałem i nijak nie mogłem zapomnieć. Z obawy, że mój mózg się zapełni do tego stopnia, że przestanie w ogóle działać, od jakiegoś czasu nie czytam w ogóle. Ale wracając do rymowanki, to brzmiała ona tak:

w niedzielne poranki gdy wracam z ubikacji
zastanawiam się czy nie będę miał racji
gdy napisze jedno słowo choćby o kupie porannej

każdy o miłości, chorobie o życia przygodach rymuje
niech jednak człowiek bez kupy porannej przeżyć spróbuje
nie jest to prosta sprawa - każdy wie to przecie
wszelki obiad: prosty czy wykwinny kończy się w klozecie

również nadymanie i srebrne widelce, przepiórki albo pasztetowa
to wszystko bez znaczenia: jedzenie udane gdy kupa gotowa
pan i sługa, prostak i mądrała - każdy sra tak samo
może z małą różnicą: pierwszy kreci w lewo, drugi kreci w prawo

z zapachu i konsystencji człek wróży dnia nowego dzieje
czy zwolnią mnie z pracy, czy będzie korek na drodze, czy egzamin obleje?
tyle wątpliwości, tyle myśli różnych w intymnym pomieszczeniu
nagle całe życie poddaje pod rozwagę szukając sensu w istnieniu

z zadumy myślowej jedna rzecz ratuje zbłąkanego człeka
to książka, gazetka - lektura zaległa, którą przerwała senna powieka
zawsze w czytaniu łatwiej znosić porodów i skrętów jelit katusze
idylla trwałaby dłużej - bo spokój tu - lecz do pracy biec muszę

podciągam spodnie i oglądam z radością ten okaz znakomity
wielki soczysty błyszczący - otoczką woni spowity
w zadumę wprawia mnie po wszystkim jedno przemyślenie
czy gdyby nie kupa poranna możliwe byłoby jeszcze moje istnienie?

Kiedy wyrecytowałem ją sobie w pamięci dopiero teraz przekonałem się, że ma ona większą wartość, aniżeli tylko – jak na początku przypuszczałem – charakter trzepakowo-blokowo-murowy. Nie miałem teraz żadnych wątpliwości, że autor tego dzieła musiał być niebywale mądrym człowiekiem o bogatym doświadczeniu życiowym. Niczym szaman, który onegdaj wróżył przyszłość z trzewi zabitych w ofierze bogom zwierząt, tak on analizując konsystencję kupy, jej woń starał się odgadnąć dnia nowego dzieje. Ale najważniejsze jest w tym

wszystkim owo pytanie istnieniowe: „czy gdyby nie kupa poranna możliwe byłoby moje istnienie?”. Zacząłem się zastanawiać:

- Czy faktycznie istnienie może być zależne od gówna? Czy istnieje jakiś związek między gównem a bociem?

Nie widziałem innej możliwości uzyskania odpowiedzi na te pytania, jak przeprowadzenie eksperymentu. Nie zważając na to, że Pla ciągle na mnie patrzy, podniosłem się z krzesła, szybko ściągnąłem swoje krasnoludkowi majtki jednocześnie kucając i rozpocząłem eksperyment. W trakcie przeprowadzania doświadczenia nie zważałem na krzyki, które wydobywała z siebie Pla, byłem całkowicie skoncentrowany na badaniach naukowych, gdyż nawet malutka chwila nieuwagi mogła zafałszować wyniki. A każdy naukowiec dba o to, by efekty badań miały charakter obiektywne.

Kiedy zakończyłem proces formowania kupy wstałem z kucek i podciągnąłem majtki. Następnie zabrałem się do analizowania materiału, jednak jedyne co zdołałem wstępnie zbadać, to owa wonna otoczka. Moje obserwacje empiryczne zostały gwałtownie przerwane, gdy do pomieszczenia wtargnął nagle strażnik. Widocznie to krzyki mojej niedawnej towarzyszkii go tu sprowadziły. Jednak strażnik już raz pokazał, że nie jest osobą, która darzy zrozumieniem potrzeby nauki, i jak możesz się domyśleć drogi czytelniku, kolejny raz doświadczyłem znanego mi już dobrze uczucia ciemności.

Zaczynały mnie już nudzić te chwile utraty przytomności. W trakcie ich trwania nic się nie działo, o niczym nie myślałem. Była tylko czerń, która sama w sobie może być ciekawa jako zjawisko, ale nie jako absolutna rzeczywistość, w której się nic nie dzieje. Poza tym, kiedy odzyskiwałem przytomność zawsze zastanawiałem się, co mi umknęło, co się wydarzyło w tej chwili, gdy byłem nieprzytomny? Nie było jednak nikogo, kto mógłby mi opowiedzieć o tym.

Powoli dochodziłem do siebie. Leżałem na posadzce, obok mnie moja kupa a nade mną stał strażnik z pałąk w dłoni, przy którym stała Pla. Kiedy zauważyli, że odzyskuję przytomność Pla powiedziała do strażnika:

- Posadź go przy stole i przykuj do krzesła, żeby nie przychodziły mu podobne pomysły do głowy.

Strażnik, co mnie zaskoczyło, posłusznie wykonał jej polecenie. Kim była Pla, że mogła tak łatwo wydawać polecenia strażnikowi? Przecież sfera obowiązków strażnika wyznaczona jest przez jego mundur. Pla nie nosiła takiego munduru, ale długi, trochę wyświechtany, czarny płaszcz. Czy Pla miała mimo wszystko jakiś związek z uniformami, uniformami ludźmi w garniturach, wśród których nieustannie poszukiwałem człowieka? Te myśli nie dawały mi spokoju.

- Muszę się dowiedzieć, kim ona właściwie jest – postanowiłem w duchu.

Kosmiczna matematyka

- Zostaw nas samych – powiedziała Pla do strażnika, a ten bez słowa opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi.

- Czy już teraz wiesz, kim jestem? – zapytała mnie ponownie, znowu podając chustkę.

Tym razem jednak nie mogłem jej przyjąć, bo moje ręce były przykute do siedziska metalowego krzesła. A potrzebowałem jej bardzo w tej sytuacji. Już nie tylko mój nos był zatkany od krzepnącej krwi, ale zalała mi ona także prawą stronę twarzy, wydostając się przez rozcięty łuk brwiowy. Pla całkowicie zignorowała moją przymusową niemoc motoryczną i odłożyła chustkę na stole. Patrząc na mnie powiedziała:

- Zdradzę ci klucz do swojej tajemnicy. Oto on: dwie jedynki przez siebie mnożone wyjawiają imię nieskończone.

Powiedziawszy to wstała i zawołała:

- Strażnik!

Pomyślałem, że znowu coś zrobiłem, co wprawiło w złość Ple i przygotowywałem się na doznanie uczucia wszechogarniającej ciemności. Kiedy strażnik otworzył drzwi do celi Pla powiedziała do niego:

- Rozkuj go i zostaw w tej celi.

Strażnik – jak się możesz domyśleć drogi czytelniku – ponownie bez słowa wykonał jej polecenie. Moje ręce teraz były wolne i mogłem sięgnąć po chusteczkę, aby przede wszystkim się wysmarkać, bowiem tylko dobrze dotleniony mózg był w stanie podjąć tej zagadce, którą niewątpliwie był ów klucz do tajemnicy mojej niedawnej towarzyszkii.

Cały czas w mojej głowie przewijało się stwierdzenie: „dwie jedyńki przez siebie mnożone wyjawia imię moje nieskończone”.

- Jaki związek mają cyfry z tajemnicą tej kobiety – zadałem sobie w duchu pytanie. Byłem całkowicie skołowany. Nie wiedziałem, od czego zacząć: czy od tej nieszczęsnej tony, która okazała się być tysiącem kilogramów, czy może od teorii liczb? W tej gmatwaninie wątpliwości i intelektualnych zaułków zdawała się przewijać jedna myśl przewodnia – matematyka.

- To ona pozwoli rozwikłać zagadkę dwóch jedynek przez siebie mnożonych, dzięki czemu poznam sekret Ply – pomyślałem i zabrałem się do liczenia w pamięci. Rezultat tych obliczeń, jak się możesz łatwo domyślić drogi czytelniku był zawsze taki sam: jeden pomnożone przez jeden dawało zawsze jeden. Próbowałem liczyć w różnych pozycjach. To stając na krześle, to kładąc się krzyżem na podłodze, to stając na rękach, to zamykając oczy, to znowu je otwierając w nadziei, że może zmiana systemu, w którym mnoży się jeden przez jeden, pozwoli uzyskać wynik różny od jedności. Trwało to jakiś czas, zanim doszedłem do wniosku, że na nic się zdadzą moje wysiłki i starania, bowiem jeden razy jeden zawsze da jeden. Nie istnieje taka pozycja, taki układ czy system, w którym jedynka multiplikowana przez samą siebie pozwoliłaby otrzymać inny wynik niż jeden.

- Chyba zabrnąłem w ślepią uliczkę – pomyślałem, ale w głębi ducha ciągle wierzyłem, że kluczem do rozwiązania zagadki jest matematyka. Jednak nic mi jednak nie przychodziło do głowy oprócz tej nieszczęsnej jedyńki.

- Może jeden oznacza w tym przypadku coś innego niż jakieś dowolne i abstrakcyjne jeden? – zacząłem mówić do siebie po cichu. I nagle dotarła do mnie myśl, że nie chodzi tu o zwykłe mnożenie, że może być to rodzaj szyfru, kolejnej zagadki, której rozwiązanie pozwoli odkryć tajemnicę tej kobiety. Postanowiłem uporządkować wszystkie informacje, jakie o niej miałem. Miała na imię Pla, nazwisko: Tysiąckilogramów. Ale tysiąc kilogramów, to tona – jak się okazało. Do tego wszystkiego dochodzą te dwie jedyńki przez siebie mnożone.

- Jak to wszystko połączyć? Jaki jest związek między zagadką matematyczną, a informacjami, które miałem o tej kobiecie? – mruczałem pod nosem. Moje rozmyślenia nad rozwiązaniem tego sekretu trwały na tyle długo, by mnie całkowicie zniechęcić. Miałem już się poddać i czekać na dalszy rozwój wydarzeń, ale zorientowałem się, że nie próbowałem przeanalizować tego kalamburu jako całości, tylko koncentrowałem się na detalach. Wszak miałem do dyspozycji tylko dane szczegółowe jak: imię, nazwisko i tonę oraz rachunek: „ $1 \times 1 = 1$ ”, ale nawet nie wpadłem na to, by ogarnąć to jako całość. Koncentrując się na detalach pominąłem jedną ważną rzecz, a mianowicie, że „Pla, Tysiąckilogramów, tona” to pewien kod językowy, że „ $1 \times 1 = 1$ ”, to także kod językowy. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, by spróbować połączyć te kody i otrzymać metakod, aby przy jego pomocy rozwiązać tajemnicę Ply.

Podłubawszy chwilę w nosie, aby na wszelki wypadek lepiej udroźnić drogi oddechowe, co zwykle czyniłem rozpoczynając złożone procesy myślowe, zabrałem się od obliczeń.

Kod 1.

Ciąg znaków: [pla tysiackilogramów], składający się ze znaków ogólnego ciągu znaków: [A Ą B C Ć D E Ę F G H I J K L Ł M N Ń O Ó P R S Ś T U W Y Z Ż Ź], zwanych alfabetem, uporządkowany według reguł ciągu ogólnego

Kod 2.

Ciąg znaków: [1 x 1 = 1], składający się ze znaków ogólnego ciągu znaków [1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 ...∞] zwanych cyframi i liczbami, uporządkowany według reguł ciągu ogólnego.

- Ale czy możliwe jest połączenie tych dwóch kodów, a tym samym uzyskanie metakodu, czyli kodu numer trzy? – zacząłem się zastanawiać. Postanowiłem połączyć najpierw ogólne ciągi znaków kodu 1 i 2. Na zakurzonej części stołu, przy którym wcześniej siedziałem, podziwiając niebywale kształtne cycki kobiety, której tajemnicę teraz usiłowałem odkryć, narysowałem palcem prostą tabelkę. W jej górnej części umieściłem kolejno litery z ciągu ogólnego kodu 1., w dolnej zaś wartości liczbowe brane kolejno z ciągu ogólnego kodu 2. Wyglądała ona tak:

A	Ą	B	C	Ć	D	E	Ę	F	G	H	I	J	K	L	Ł	M	N	Ń	O	Ó	P	R	S	Ś	T	U	W	Y	Z	Ż	Ź
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32

Analizując ją zacząłem się zastanawiać:

- A co będzie, jeżeli literze alfabetu przyporządkuję wartość ciągu ogólnego kodu 2? Jaką wartość uzyskam dla wyrażenia: „Pla Tysiackilogramów”?

Narysowałem pod spodem drugą tabelę, która wyglądała tak:

p	l	a	t	y	S	i	Ą	c	k	i	l	o	g	r	a	m	ó	w
22	15	1	26	29	24	12	2	4	14	12	15	20	10	23	1	17	21	28

Na wszelki wypadek w podobny sposób skonstruowałem tabelkę, ale dla wyrażenia: „Pla tona”, bo jak się okazało, tysiackilogramów, to tona.

p	l	A	T	o	n	A
22	15	1	26	20	18	1

Nie wiem co ty byś zrobił na moim miejscu drogi czytelniku, ale ja zignorowałem tabelę dla wyrażenia: „Pla Tysiackilogramów”. Nie dlatego, że tak sobie wymyśliłem, ale z tego powodu, że była nazbyt złożona a ja nazbyt leniwy, by ją analizować. Nauczyłem się także podczas moich wielu poszukiwań człowieka, ale nie tylko, bo życie codzienne dostarczało wielu argumentów, że najważniejsza jest prostota. Każda rzecz skomplikowana, każde takie zdarzenie, składa się z rzeczy i zdarzeń prostych. Kiedy się odkryje ich istotę, wówczas cała struktura, choćby nie wiadomo jak była zagmatwana, nie będzie miała już żadnych tajemnic. To tak jak z biedronkami i ich legendarnymi kropkami. Można zadać pytanie: dlaczego biedronki mają kropki? Po co są te kropki w ogóle biedronkom potrzebne? Wszelkie próby

odpowiedzi będą musiały uwzględniać nie tylko teorię biedronki jako takiej, ale przede wszystkim kropki jako takiej. I nawet, jeżeli ktoś skonstruuje odpowiedź na pytanie: „dlaczego biedronki mają kropki?”, to i tak odpowiedź ta będzie zawierała w sobie wiele nierozwiązanych kwestii, kolejne pytania, wśród których podstawowym będzie pytanie o to, co to właściwie jest kropka? Dlatego szukając odpowiedzi na pytanie: „dlaczego biedronki mają kropki?” należy – zgodnie z zasadą elementów prostych – odpowiedzieć najpierw na pytanie: „co to jest i po co jest kropka?”. A kiedy już okaże się, że wszelkie kropki są od tego by je postawić nad „i”, wówczas ich związek z biedronkami będzie oczywisty: kropki biedronkom potrzebne są po to, by na nich były.

Może się to tobie wydać trochę dziwne, drogi czytelniku, ale jak może być inaczej? Skoro kropka jest od tego by była nad „i”, to biedronki są od tego by były pod kropkami, a kropki w tym przypadku, by były nad biedronkami. Zresztą możesz sam to łatwo sprawdzić, a jeżeli w trakcie swoich poszukiwań odnajdziesz biedronkę, która ma pod sobą kropki, albo kropki w takiej konstelacji z biedronką, gdzie nad kropką jest biedronka, możesz śmiało uznać moją teorię za fałszywą.

Ale wracając do rzeczy.

Skoncentrowałem się zatem na tej ostatniej tabeli. Każda litera miała przyporządkowaną pewną wartość liczbową, i na odwrót: każda wartość liczbowa miała przyporządkowaną pewną literę. Pierwsza rzecz, która rzuciła się w oczy, to powtarzająca się wartość 1, która odpowiadała literze „a”. Przypomniała mi się teraz podpowiedź: „dwie jedynki przez siebie mnożone...”. Wiedziałem, że wynikiem działania „1 x 1” będzie „1”, ale co będzie, gdy literę „a” pomnożę przez „a”, bo właśnie ta litera odpowiadała wartości „1”? Zaczęłem mnożyć „a” przez „a”. I znowu stawałem na głowie, robiłem przysiady, stawałem to na krześle, to siadałem na stole, ale okazywało się, że podobnie jak w przypadku działania mnożenia na cyfrze „1”, tak i w tym przypadku wynik ciągle był taki sam: „a”.

Miałem do dyspozycji wielokrotnie zweryfikowany w doświadczeniu wynik. Była nim litera „a”. Teraz pozostało tylko odnalezienie rozwiązania zagadki Ply.

- Dwie jedynki przez siebie mnożone – mruczałem pod nosem. – Ale gdzie tu rozwiązanie?

Wróciłem jeszcze raz do tabelki, ale postanowiłem przerobić ją tak, żeby była w niej tylko jedna wartość „1” i odpowiadająca jej litera „a”. Istniały tylko dwie możliwości rozwiązania:

Możliwość pierwsza:

p	l	T	O	n	a
22	15	26	20	18	1

Możliwość druga:

p	l	A	T	o	n
22	15	1	25	20	18

Otrzymałem dwa wyrazy: pltona oraz platon. I nie wiem dlaczego, ale spodobał mi się ten drugi – tj.: platon. Jednak nie wiem jak ty, drogi czytelniku, ale ja nie wiedziałem, jaki związek mógł mieć ów platon ze mną? Wszak jestem tylko zwykłym człowiekiem - Sok Ratesem. Próbowałem odnaleźć jakiś sens słowa „platon”, nic jednak nie wymyśliłem. Wydawało mi się, że dalej znajduję się w tym samym punkcie wyjścia, co na początku, gdy Pla zadała mi zagadkę. Byłem już zmęczony ciągłym myśleniem a w szczególności akrobacjami, które towarzyszyły moim obliczeniom w zakresie mnożenia. Postanowiłem

trochę odpocząć. Zmazałem wszystkie tabelki narysowane na zakurzonej części stołu i zrezygnowany położyłem się na posadzce, by choćby na chwilę zasnąć.

Sen

Znalazłem się w dużym pałacowym salonie. Wielkie kryształowe lustra, w złożonych ramach, zdobiły ściany. Między nimi wisały obrazy, na których – co było charakterystyczne i co mnie zaskoczyło – były namalowane świnie w różnych pozach: świnie stojące, świnie wędrujące, świnie na statkach, świnie leżące, jedzące, świnie z łasiczką – dosłownie wszelkie możliwe świńskie czynności były przedstawione na tych obrazach. Było też tu trochę mebli, wśród nich uwagę moja przykuła masywna biblioteka fornirowana białą brzozą. Podszedłem do niej żeby zobaczyć jakie książki się w niej znajdują. Wziąłem do rąk opasłe tomisko, w skórzanej oprawie. Bardzo ładny egzemplarz. Otwarłem na stronie tytułowej a tam: „Metafizyka świń”.

- Dziwny tytuł – pomyślałem i sięgnąłem po kolejną książkę. Okazało się, że był to druk stosunkowo młody, bo wydany jakieś 10 lat temu, ale tytuł trochę mnie zdziwił: „Świńskie dowcipy”. Odłożyłem te książki na boku i podszedłem do innego regału biblioteki. Wyjąwszy z niego pierwszą lepszą książkę okazało się, że też była o świniach. Zacząłem przeglądać inne pozycje w bibliotece. Wszystkie miały związek ze świniami. Była wśród nich m.in. „Teologia świń”, „Świńska etyka”; były romanse: „Saga o rodzie Świń”; były kryminały: „Stare świńskie golonki i arsenik” były nawet całe tomy poezji o świniach.

Wszystko to zaczęło mi się wydawać trochę dziwne. Odczuwałem pewien dysonans między estetyką pomieszczenia a treścią książek oraz obrazów wiszących na ścianach. Nagle usłyszałem jakiś dziwny dźwięk, coś jak pisk mojego tłustego szczura tylko, że trochę mocniejszy. Odgłos dobiegał gdzieś z dołu. Szukałem jego źródła rozglądając się po podłodze, na której ułożono marmury o różnych odcieniach w misterne geometryczne wzory. Dźwięk się nasilał w miarę poszukiwań i w miarę, gdy stawał się głośniejszy, zacząłem rozpoznawać w nim nie tylko sam dźwięk, ale i pojedyncze słowa, jak „kultura” i „świń”. Kierując się cały czas kierunkiem, skąd dochodził ów dźwięk, doszedłem do masywnego, olbrzymiego biurka. Za nim stał fotel a na jego siedzisku zobaczyłem leżącą kaszankę. Z jej odkrojonej części wystawał świński ryj, który piskliwym tonem powtarzał:

- Żyjesz w kulturze gadających świń. Żyjesz w kulturze gadających świń. Żyjesz w kulturze gadających świń.

Przyglądałem mu się jakiś czas, także z bliska. Świński ryj jednak na mnie reagował, tak jakby mnie w ogóle nie zauważał, i cały czas powtarzał: „Żyjesz w kulturze gadających świń”.

Wszystko to, te obrazy, książki, świński ryj wystający z kaszanki, już nie tylko wydawało mi się dziwne, ale budziło we mnie uczucie narastającego niepokoju. Postanowiłem wydostać się z tego salonu. Odszedłem od biurka i udałem się w tę część salonu, w której jeszcze nie byłem. Miałem nadzieję, że tam znajdę wyjście. Po drodze mijałem różne rzeźby ustawione na misternie cyzelowanych marmurowych kolumnach – były to: świnia rzucająca dyskiem, świnia siedząca, z podpartym ryjem, jakby była w głębokiej zadumie, była świnia, która dźwigała na swoich barkach kulę ziemską, był też tors świni, bez głowy ale ze skrzydłami.

Czułem, że pomału zaczyna mnie ogarniać strach przed tym dosłownie świńskim salonem, tym bardziej, że nie było widać jego końca. Mimo, że starałem się iść szybciej, to jednak nie mogłem. Z całych sił zacząłem szybko biec, ale okazywało się, że mimo moich wysiłków poruszałem się w ślimaczym tempie. Wpadłem w prawdziwą panikę. Zacząłem się szarpać i wrywać przestrzeni, która – jak czułem – zagęszczała się wokoło mnie tak, że uniemożliwiała swobodne poruszanie się.

Drzwi pierwsze

Po chwili znalazłem się przed schodami, prowadzącymi do góry. Stopień za stopniem, powoli, bo wiedziałem, że szybko iść nie mogę, wspinałem się do po nich do góry. Na ich końcu były małe drzwi, na których widniał napis: „OFICJALNA INTERPRETACJA”. Otworzyłem je i wszedłem do środka. Okazało się, że za nimi była sala, w której ustawione były rzędami ławki, w których siedziały świny. Sala ta nie miała ścian bocznych. Po lewej i po prawej stronie nieskończone rzędy ławek, a w nich świny spoglądające tylko do przodu. Żadna nie rozglądała się na boki, wszystkie siedziały w milczeniu na krzesłach przy ławkach. Co mnie zdziwiło, to to, że wszystkie świny wyglądały tak samo. Różowe, błyszczące, z zakręconym ogonkiem. Nie podobna było odróżnić jedną od drugiej. Była to jednolita masa milcząco-słuchających świń. Kilkadziesiąt metrów ode mnie, z przodu, było lekkie podwyższenie, na którym także stała świna, która powtarzała:

- Nigdy i nigdzie nie będziecie mieli lepiej. Nigdy i nigdzie nie będziecie mieli lepiej. Nigdy i nigdzie nie będziecie mieli lepiej.

I tak cały czas. Nawet jak do niej podszedłem, ta stała niewzruszona i recytowała swoją formułkę. Tuż za nią w podłodze był otwór i schody, które prowadziły jakby do piwnicy. Rozejrzałem się jeszcze raz dookoła. Spojrzałem to na świnię recytującą, to na świnię milcząco-słuchającą. Żadna nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Postanowiłem sprawdzić, dokąd prowadzą te schody.

Drugie drzwi

Zacząłem powoli schodzić. Im dalej schodziłem, tym bardziej zwężał się korytarz. W końcu było tak wąsko, że prawie musiałem się przeciskać. Dobrnąłem do jego końca, na którym były wąskie i wysokie drzwi. Na nich także był wyraźnie wymalowany napis: „NIEZBĘDNA OPOZYCJA”. Nacisnąłem klamkę i drzwi ustąpiły. Wszedłem do środka. Okazał się to być mały pokój, w którym na samym środku stała klatka a w niej siedział stary i gruby – wręcz spasiony – wilk. Podszedłem do klatki, żeby zobaczyć sobie go z bliska. Wilk spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem, a gdy dotknąłem ręką kraty zawarczał.

- Spokojnie, spokojnie – powiedziałem do niego. On zaś niespodziewanie odparł:

- Jasne, że spokojnie. Nie bój się, warczę a priori, bo jestem niezbędną opozycją. Jestem tutaj by warczeć, by budzić strach i nic poza tym – powiedziawszy to, dalej spoglądał na mnie beznamiętnym wzrokiem. To był pierwszy gadający wilk, którego w życiu swoim widziałem. Jednak nie to, że mówił mnie zaskoczyło. Po przygodzie z gadającym świńskim ryjem już mnie chyba nic zdziwi w tym śnie. Zastanowiły mnie jednak jego słowa, oraz to, że w przeciwieństwie do wcześniej spotkanych świń, on mnie w ogóle zauważył. Zapytałem go:

- Jak to, jesteś oficjalną opozycją? – na co wilk odparł:

- Jesteś w świecie gadających świń. Wszędzie są tu tylko świny. Wszystkie inne stworzenia zostały zjedzone...

- Jak to, zostały zjedzone? – przerwałem wilkowi nagłym pytaniem.

- Kiedyś świny wraz z krowami, koźmi, kurami i innymi zdomestykowanymi zwierzętami, żyły pod władzą człowieka. W pewnym momencie jednak świny zaczęły uważać się za wyjątkowe wśród innych zwierząt na służbie u człowieka. W końcu stworzyły tzw. teorię jednego przeznaczenia, zwaną także: teorią czystego mięsa i pokonały pozostałe zwierzęta. Na końcu zaś zbuntowały się przeciwko samemu człowiekowi i stały się jedynymi właścicielami świata.

- Nigdy nie słyszałem o teorii czystego mięsa. O co w niej chodzi? – zapytałem.

Wilk z trudem się poruszył, chcąc widocznie zmienić pozycję na bardziej wygodną i zaczął opowieść:

- Wszystkie zwierzęta domowe, oprócz świń, miały różne przeznaczenia. Kury hodowane były ze względu na jajka, ale i ze względu na mięso. Konie pracowały w polu, ale też kończyły na talerzu człowieka. Podobnie było z krowami. Te dawały mleko, lecz często szły pod nóż. Jedynymi zwierzętami domowymi, które miały jedno przeznaczenie były świny. Je hodowano tylko dla mięsa. Świny szybko sobie wymyśliły, że skoro mają jedno przeznaczenie, to muszą być wyjątkowe. Stworzyły naprędce teorię czystego mięsa, według której są one superstworzeniami. Nie muszą, jak inne udomowione zwierzęta pracować, istnieją tylko po to, by je jeść. Są zatem – jak twierdziły – prawdziwym, czystym, najlepszym mięsem.

- I co się stało dalej? – zapytałem.

- Świny – odpowiedział wilk – zaczęły najpierw po kryjomu pożerać inne domowe zwierzęta, najpierw te mniejsze, a później krowy i świny. W międzyczasie wprowadziły wśród swego gatunku program intensywnej kopulacji. Odgapiły go od królików, lecz nigdy się do tego nie przyznały. W każdym razie mnożyły się w zastraszającym tempie. Człowiekowi na początku było to na rękę. Z radością witał kolejne mioty świń, dbając pieczołowicie o najlepsze maciory.

- To niemożliwe, że ludzie nie zauważyli nagłego braku krów i koni w swoich gospodarstwach – przerwałem wilkowi. Ten jednak odrzekł:

- Oczywiście, że zauważyli, ale nikt przecież nie mógł podejrzewać, że była to sprawka świń. Ludzie podejrzewali o to innych ludzi i tak zaczęły pojawiać się sąsiedzkie konflikty, w których argumentem były widły. One z czasem zmieniły się w potyczki między wsiami, następnie do tego włączyły się całe miasta na końcu wybuchły wojny między państwami. Finalnie wojna ogarnęła cały świat i żadna z walczących stron nie zauważyła, że świny mnożą się i mnożą, że jest ich coraz więcej. Ludzie zapomnieli w końcu o co walczą, i prowadzili wojnę tylko dla zasady – żeby wygrać. A świny tylko czekały na to, aż walczące strony się maksymalnie wyniszczą. W końcu wylały się całymi masami z ferm hodowlanych by pożerać ciała poległych, rannych i tych, którzy zostali jeszcze przy życiu.

- Serio jadły ludzi? – zapytałem z niedowierzaniem.

- Tak – odparł wilk – zjadały ludzi. Dziesięć świń w ciągu siedmiu minut potrafi zjeść dorosłego człowieka. Nawet kości zeżrą. Potrafiły znaleźć ludzi, którzy pochowali się w najwymyślniejszych kryjówkach. Przed świńskim nosem nie ukryje się trufla, a co dopiero człowiek. Świny ogarnął szal zabijania – kontynuował wilk – po tym jak zżarły wszystką trawę, żołądzie w lesie, wypowiedziały wojnę wolnym zwierzętom. Jedynymi stworzeniami, przed którymi czuły naturalny respekt, byliśmy my, wilki. Jednak i my nie podołaliśmy świńskim hordom. Całymi stadami napadały na nas. Nie mogliśmy nic zrobić – to powiedziawszy wilk spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

- Jak to: „nic nie mogliście zrobić”? – zapytałem zdziwiony – Macie przecież kły, pazury, oczy z przodu głowy, by poprawnie ocenić odległość od ofiary; jesteście wzorowymi drapieżnikami, nie wciskaj kitu, że nic nie mogliście zrobić!

- A co ty, kurwa jego mać, zrobiłbyś, gdyby napadło na ciebie w jednej chwili dwieście rozjuszonych świń? Nie pierdol, że byś z nimi dzielnie stoczył walkę, z której wyszedłbyś zwycięsko. Zapewne spierdalałbyś byle dalej i byle szybciej, jak to inni ludzie robili. Ale i tak byś się nigdzie przed nimi nie schował, wywachałyby cię w każdej kryjówce! – odwarknął zdenerwowany wilk.

Właściwie miał rację. Bić się z jednym przeciwnikiem, nawet z dwoma lub jeżeli ktoś jest mistrzem sztuk walk wszelkich – z trzema na raz, to jest możliwe, ale nikt nie jest w stanie w pojedynkę zmierzyć się jednocześnie z dwustoma atakującymi napastnikami, nawet jeżeli są to świny.

- Ale dlaczego ciebie świny pozostawiły przy życiu i trzymają tutaj zamkniętego w klatce? – zapytałem. Wilk zaczął opowiadać:

- Po krwawych rzeziach, gdy na świecie zostały już tylko świnie, aby zapanować nad samymi sobą, stworzyły one system władzy. A każda władza do tego by trwać, potrzebuje niemalże symbiotycznie opozycji. Dlatego schwytały mnie wraz z innymi ostatnimi wilkami i zamknęły żywcem w klatce, dokarmiając nas nieustannie, troszcząc się o nasze zdrowie by nam nie zabrakło niczego, prócz swobody, prócz wolności.

- A co się stało z innymi wilkami? Gdzie reszta? – przerwałem zaciekawiony.

- Co się stało z moimi towarzyszami? Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytał mnie wilk. Ja zaś bez wahania odparłem:

- Tak!

Wilk zaczął się wiercić, jakby się czymś zdenerwował. Zmienił mozolnie pozycję siedzenia i powiedział:

- Z całej świńskiej światowej rewolucji ocalały tylko trzy wilki. Ja i moich dwóch przyjaciół. Razem biliśmy się łapa w łapę z hordami nacierających wieprzy, ale jak już tobie powiedziałem, i my zostaliśmy pokonani. Zналиśmy się od bardzo dawna. Uważałem ich za swoich przyjaciół, oni uważali mnie za swojego przyjaciela. Nie pamiętam ile to razy deklarowaliśmy sobie wzajemnie miłość i wierność braterską, że prędzej padniemy na polu walki niż zdradzimy jeden drugiego. Trafiliśmy jednak do niewoli. Nie było nam dane zginąć w boju przeciwko świniom. Zamknięto nas w osobnych klatkach. Na początku głodzono nas. Dostawialiśmy tylko wodę do picia. Poza tym codziennie któryś z nas był zabierany do pokoju przesłuchań.

- Po co was przesłuchiowano? Przecież to nie ma sensu. Skoro świnie pokonały wszystkie stworzenia, to nie miały się już czego obawiać. Jaki był zatem sens tych tortur? – przerwałem opowieść wilkowi. Ten odrzekł:

- Także nie widziałem sensu tego głodzenia i przesłuchań. Moi dwaj przyjaciele też nie wiedzieli, po co ten cały teatr. Wyczuwałem to w ich skowycie. Ale świnie miały swój plan, o którym dowiedziałem się na samym końcu, kiedy zostałem tylko ja przy życiu.

- Jaki plan? – zapytałem zniecierpliwiony.

- Kurwa, człowieku, czy mógłbyś mi tak dla odmiany nie przerywać?! Chcesz słuchać, to słuchaj i nie przerywaj, a jak nie, to wypierdalaj! – odwarknął poirytowany wilk.

- No dobrze, już nie będę. Nie musisz się tak zaraz denerwować – odpowiedziałem uspokajająco.

- No to słuchaj dalej – kontynuował wilk. – Wśród tych wszystkich świń pojawiło się kilka macior jakby bystrzejszych niż inne. Były mądrzejsze niż cała reszta i one wiedziały, że stan chaosu świńskiej rewolucji nie może trwać wiecznie, gdyż to doprowadziłoby do tego, że jedne świnie zjadałyby inne, a stąd najkrótsza droga do autodestrukcji gatunku. Dlatego ustaliły, że należy stworzyć władzę, jako rodzaj panowania nad świniami. Wiedziały także, że władza taka może być tak stabilna jak stabilna jest jej opozycja. Zatem nie chciały one zwykłych wilków zamkniętych w klatkach, ale superwilków, które będą zajadłymi wrogami świńskiego gatunku i jednocześnie wcieleniem wszystkich wilczych cnót, czyli: waleczności, odwagi, poświęcenia, bezkompromisowości, braterstwa. Jednym słowem, tego wszystkiego, czego brak świniom samym. Dlatego postanowiły poddać nas próbie, aby wybrać tego idealnego, który spełniałby warunek idealnej, koniecznej opozycji. Na początku nas głodziły aby po kilku tygodniach kusić jedzeniem. Żaden z nas jednak nie zdecydował się na współpracę w zamian za jedzenie. Później nas torturowały. Wymyślały takie różne maszyny, których celem było zadawanie maksymalnego bólu w jak najdłuższym czasie w taki sposób, żeby nas nie zabić, żebyśmy żyli. Kiedy mnie brano na przesłuchania cały czas powtarzałem sobie w myślach kilka wersów, które odczytałem onegdaj na drzewie samobójców w naszym lesie. Pewnie ktoś je wyrył na drzewie zanim się powiesił. Brzmiały one tak:

„voll von freuden war mir die welt
als noch mein leben licht war
nun da, der nebel fehlt
ist keiner mehr sichtbar“

Nie wiedziałem co znaczą te słowa, zresztą do dziś tego nie wiem, ale skoro one były ostatnimi ze słów, które wyrzył samobójca na drzewie zanim się powiesił, musiały one być słowami ultymatywnymi. Ich znaczenie musi być ostateczne. Za każdym razem, gdy mnie prowadzono na przesłuchanie, w głowie oprócz nieustannego pytania: „Po co to robią?” dudniło mi tych kilka wersów z drzewa samobójcy.

Któregoś dnia – kontynuował wilk – usłyszałem głośny skowyt moich braci, nie wiedziałem jeszcze wówczas, że był to ich ostatni głos, który usłyszałem. Gdy zamilkł, przed drzwiami mojej celi rozległo się gwałtowne poruszenie. W otwartych gwałtownie drzwiach mojej celi stanęła mądra maciora w towarzystwie świńskich strażników. Dopiero, gdy zobaczyłem grymas zadowolenia na jej ryju, to dotarła do mnie świadomość śmierci moich braci. Zerwałem się wówczas resztkami sił na cztery łapy i rzuciłem się na maciorę. Byle bliżej życiodajnej tętnicy szyjnej, byle ją przegryźć, byle się zemścić za te wszystkie okrucieństwa. Jednak mimo całkowitej mobilizacji wszystkich sił, które posiadałem w sobie po tych długotrwałych torturach, łańcuch, którym byłem przykuty do ściany celi nie ustąpił.

- „Wrywaj się wilczku, wrywaj.” Powiedziała do mnie maciora.

- „Zajebie cię!” warczałem, ciągle się wrywając z łańcucha.

- To dobrze, kwi, kwi – zarechotała – Masz być groźny, masz nas szczerze nienawidzić. Chcę, żebyś był dla wszystkich świń postrachem.

Gruby wilk zamilkł i zwiesił łeb. Widziałem, że jego matowe oczy przez chwilę zapłonęły ogniem szczerzej nienawiści do świń. Nie wiedziałem za bardzo co powiedzieć, czy w ogóle powinienem coś mówić w tej sytuacji? Na nic zdałyby się w tym momencie pocieszenia.

Po chwili wilk wycedził przez zęby:

- Kurwa! Gdybym tylko mógł, gdyby chociaż raz zdarzył się taki dzień, w którym żadna krata by mnie nie ograniczała, wyróżnąłbym je wszystkie, co do ostatniego prosiaka. Wszystkie kotne lochy w ich wylęgarniach zagryzłbym, zwyczajnie zagryzł. Moja etyka, wszelkie zasady zginęły wraz z ostatnimi przyjaciółmi... Tak bardzo ich nienawidzę, nienawidzę...

Obserwując grubego wilka, który teraz cały czas powtarzał „nienawidzę”, nie chciałem mu mówić, że świny odniosły sukces. Jego nienawiść budziła strach u świńskiej społeczności, w której od dawna powtarzany był mit o wilku i siedmiu prosiaczkach. „Chyba na tym to polegało” – pomyślałem w duchu – „By stworzyć okrutne piekło, którego baliby się wszyscy. Przed którym respekt powstrzymywałyby nie tyle od występku, ale przede wszystkim od buntu przeciwko władzy, która okiełznała owo piekło. Strach przed obaleniem rządzących, które skutkowałoby uwolnieniem wilka, zbierał swoje psychologiczne żniwo. Każdy się bał wilka, nawet najmniejszy prosiaczek, a sama władza jawiła się jako zbawienna siła, która okiełznała świńską zmore, zamykając wilka w klatce. W dodatku nie był to zwykły wilk, ale taki drapieznik, który całym swoim wilczym sercem, każdym włosem na wilczej skórze nienawidziły wszystkich świń i każdej z osobna. To jest wymarzone piekło dla każdej świńskiej władzy”.

Zdecydowałem, że nie będę już go więcej nagabywać. Sprawiał on wrażenie załamanego swoją bezsilnością i udałem się ku tym samym drzwiom, którymi tu się dostałem. Jednak zauważyłem, dopiero teraz, że w pomieszczeniu z klatką, są jeszcze inne małe drzwi. Trochę jakby ukryte, nie rzucające się w oczy. Podeszedłem do nich. Także na nich widniał napis: „IDEOLOGIA”. Postanowiłem sprawdzić co znajduje się za nimi. Ostrożnie je otworzyłem i znowu ujrzałem schody, które prowadziły jeszcze głębiej w dół.

Drzwi trzecie - OITP

Pomieszczenie przypominało kameralny salonik taki, w którym angielscy lordowie oddawali się poobiedniemu rytuałowi palenia cygar. Masywne czesterfildy wbijały się w gruby, perski dywan koloru bordowego. Na środku stał mahoniowy stół, którego blat zdobiony był intarsją z masy perłowej i korzenia orzecha kaukaskiego. Na ścianach wisiały antyczne gobeliny, które wraz z biblioteczką biedermaierowską dodawały niezwyklej atmosfery temu miejscu. Na jednej z ścian wisiała tablica, przy której stała dorodna locha, nieustannie na niej coś zapisując, gdy w tym czasie wygodnie rozłożone w sofach i fotelach inne świnię, pilnie notowały, słuchały i do czasu do czasu wdawały się z nią w dyskusje. Żadna z tych świń mnie nie zauważyła. Stałem w kącie i uważnie się im przyglądałem.

- Każda władza potrzebuje ideologii – powiedziała locha. „To chyba ta przywódczyni, o której wspominał wilk” – pomyślałem. Świnia kontynuowała:

- Teoria jest potrzebna, bez teorii nie ma władzy.

- Jak to naczelniczko? – odezwała się jedna ze świń – Czy nie wystarczy sam wilk?

- Wilk jako wilk nie jest groźny. Jest zbyt gruby i zbyt stary, by wystarczył dla utrzymania władzy, powstrzymując społeczeństwo świńskie od rewolucji wymierzonej w swój gatunek. Nawet gdyby był młody, w pełni sił, to i tak by się nie sprawdził. Co on może sam w pojedynkę?

- No tak – głos pomruku rozbiegł się po pomieszczeniu.

- Dlatego potrzebna jest teoria wilka, mit okrutnego drapieżnika, który wszystkich i wszystko pokona, który czyha na świnię, by je pożreć, żeby świnię się go bały.

- Ale skąd wziąć teorię władzy? – zapytała inna świnia.

- Od człowieka – odpowiedziała naczelniczka, a gdy to świnię usłyszały zaczęły złowrogo kwiczeć, chrumkać i sapać:

- Jak to!? Jak to!? Kwi, kwi! Przecież ich pokonaliśmy, są od nas gorsi! Kwi, kwi! – dobiegało z sali. Locha jednak zachowała spokój i stanowczym chrumknięciem dała znak, by się uciszyli.

- To, że pokonaliśmy człowieka nie znaczy, że człowiek był gorszy. To dowód, że my świnię jesteśmy najlepsze, ale nie to, że ludzie są gorsi. Ich cała historia ma kilka tysięcy lat, w której wielokrotnie udowodnili, że potrafią zapanować nad silniejszymi stworzeniami, nad przyrodą, nawet nad samymi sobą. A jak długo my rządymy światem? – zapytała.

Słuchające jej świnię zamyśliły się. Faktycznie, trudno było odmówić racji naczelniczce.

- Dlatego będziemy uczyć się od człowieka, z jego historii, by nie powtórzyć jego błędów, ale udoskonalić metodę panowania i system władzy.

- A skąd człowiek wziął swoją teorię władzy? Skoro my bierzemy od ludzi, to ludzie też musieli ją przejąć od kogoś? – zapytał jedna z dociekliwych słuchaczek maciory.

- Bardzo dobre pytanie, bardzo dobre – odparła z uznaniem naczelniczka – Od nikogo, sam wymyślił.

- Hmmmm.... – rozległo wśród słuchających świń.

- Tak, tak, ale to nie znaczy, że był lepszy od nas – powiedziała, uprzedzając kolejne pytania

- Człowiek najpierw pilnie obserwował samego siebie. Po jakimś czasie zauważył dwa pierwiastki, które w nim dominują, a mianowicie: rozum i uczucie, część racjonalną i irracjonalną. Ci z nich, którzy zdecydowali się zapanować nad pozostałymi, wiedzieli, że muszą skolonizować te obszary dwa świadomości. Dlatego wymyślono dwie teorie władzy. Pierwsza, irracjonalna, odwoływała się do wartości metafizycznych; druga, racjonalna, odwoływała się do tak zwanego stanu natury.

- Proszę opowiedzieć o tej irracjonalnej! – zawołały gromko zaciekawione świnię.

Maciory rozsiała się wygodnie w fotelu, założyła golonkę na golonkę i zaczęła:

- Przypomnijcie sobie czasy, kiedy byliście jeszcze małymi prosiaczkami. Biegaliście sobie beztrudnie od jednego cycka do drugiego, by ssać mleko. Przypomnijcie sobie, co wówczas mówiły do was maciory rozplodowe, gdy za bardzo oddalaliście się od chlewni.

- Opowiadały bajki o złym wilku, który nas pożre – odpowiedziały zgodnie słuchające świnię.
- A teraz, kiedy macie okazję codziennie oglądać wilka, to czy wierzycie, że on mógłby was pożreć?

- Eeee, stary jest, gruby i prawie nie ma zębów – zaczęły się śmiać.

- A mimo to baliście się wówczas.

- Oj, bardzo – potwierdziły zgodnie.

- I na tym polega cała tajemnica irracjonalnej władzy, jej teorii, którą odkryli jako pierwsi właśnie ludzie. To oni zaczęli układać mity i bajki o baśniowych stworach, o tym, jak to się czają na nieposłusznych życzeniach władzy obywateli. Na początku były to złe smoki, źli władcy czterech żywiołów, których moc nie znała granic. To nimi straszły mamki niesforne dzieciaki, zmuszając je do posłuszeństwa. Po jakimś czasie udoskonaliли ową teorię. Ludzie z czasem mądrzeli i nie oddziaływały na nich proste mitologie. Dlatego schemat o nadnaturalnych „mocach, które nie mają granic”, wykorzystano w tak zwanej ogólnej irracjonalnej teorii panowania, w skrócie: OITP

- Co to takiego? Co to? – pytały niecierpliwie świnię.

- Jest to jak najbardziej ogólna teoria irracjonalnego panowania, którą wymyślono w taki sposób, żeby swoim zakresem objęła wszystkich ludzi.

Jedna z słuchających świń, ta sama, która wcześniej wykazała się niebywałą dociekliwością, za co została pochwalona przez lochę, zapytała:

- Naczelniczko, przecież to nie jest możliwe. Ludzie dzielili się na rasy, nie byli jednorodnym gatunkiem.

- Masz rację, ale niezależnie od koloru skóry wszyscy w pewnym okresie wierzyli w mity o nadnaturalnych siłach, których moc i potęgę zmuszała śmiertelników do bycia posłusznym. Dlatego ci najmądrzejsi z ludzi, ci, którzy chcieli bezwzględnie panować wymyślili sobie, że zakres władzy nie może mieć charakteru lokalnego. Tu ważną rolę odegrała ambicja, bo owi mędrcy pragnęli rządzić wszystkimi, niezależnie od koloru skóry czy narodowości. Stąd właśnie wziął się pomysł na OITP. Jak już powiedziałam – kontynuowała locha – teoria ta oparta była na aksjomacie: „moc, która nie ma granic”. Aksjomat ten wzbogacono uniwersalnym podmiotem, czyli pojęciem jak najbardziej ogólnym. I tak oto wymyślono kategorię BOGA. Do tej konstrukcji teoretycznej dodano także pojęcie DIABŁA.

- A co to jest ten bóg i diabeł – zapytały świnię.

- Bóg to jedno z najbardziej uniwersalnych pojęć, właściwe dla pierwiastka irracjonalnego, niezależnie od kultury, wychowania, czy koloru skóry. To taki kompleks teoretyczny, w którym znajduje się kategoria wiecznego życia, sprawiedliwości, absolutnego dobra. Oczywiście różnie jest on nazywany przez ludzi. Jedni widzieli w nim Manitoo, inni Shiwę inni zaś nazywali go Jehowa. Niezależnie od tego jak był nazwany, zawsze miał te same właściwości. Diabeł to także pojęcie ogólne, które podobnie jak kategoria bóg, zawierała w sobie inne pojęcia. Były to: pojęcie bezwzględnego zła, fatalnej siły, wiecznego cierpienia.

Niebywale ważne w tym wszystkim jest to, że bóg i diabeł zawsze występowały w nierozdzielny tandemie. Jeżeli w jakiejś kulturze był bóg, natychmiast pojawiał się diabeł, chociaż, jak już powiedziałam, różnie był nazwany. I właśnie to jest tajemnica OITP.

- Hmm... – ponownie rozległo się wśród słuchających świń.

Maciora podniosła się z fotela, podeszła do tablicy, wzięła kredę i powiedziała do świń:

- A teraz zanotujcie sobie dokładnie schemat aksjomatyczny i strukturę OITP.

Świnię pochyliły się nad zeszytami i zaczęły notować.

- Aksjomat pierwszy – powiedziała świnię rysując na tablicy jedynekę – To zasada: „Moc, która nie ma granic właściwa jest tylko dla podmiotów aksjomatów dwa i trzy”. Aksjomat

drugi: „Istnieje takie jedno tylko B, gdzie B oznacza: bezgraniczne dobro, sprawiedliwość i życie wieczne”. Aksjomat trzeci: „Istnieje takie jedno tylko D, gdzie D oznacza: bezgraniczne zło, niesprawiedliwość i wieczne potępienie itd.”. Podkreście na czerwono to „itd.”, to bardzo ważne, ale wyjaśnię wam to w swoim czasie. Zanotowaliście?

- Tak – odpowiedziały chórkiem świni.

- Dobrze. To teraz zanotujcie sobie lematy.

- A co to jest? – zapytały.

- To takie twierdzenia pomocnicze – odpowiedziała locha i kontynuowała – Lemat pierwszy. „W całym zbiorze X, gdzie X oznacza dowolny zbiór jednostek, czyli jakieś społeczeństwo, niezależnie od kultury, rasy, języka istnieje takie Y, gdzie Y jest jednostką, bądź zamkniętą grupą jednostek, którzy uważają, że mają uprzywilejowany stosunek do B”.

- Pomału, pomału – poprosiły świni – Czy mogłaby naczelniczka to wytłumaczyć.

- Jasne – odparła locha – Na przykładzie ludzi. Otóż niezależnie od tego, w której kulturze pojawia się kategoria boga, automatycznie pojawiają się tacy, którzy uważają, że bóg jest bliżej nich niż pozostałych ludzi. To znaczy, przedstawiają się jako najbardziej ulegli, wybrani, którzy bezpośrednio kontaktują się z bogiem. Zrozumiano?

- Eee, nie bardzo... – sapnęły świni.

- No to wyjaśnię wam to po świńsku. Wyobraźcie sobie idealne koryto, w którym wiecznie jest ciepłe żarcie. Parowane ziemniaki, zmieszane z mlekiem, z suszem roślinnym i pyszną paszą z mączki kostnej...

- Mniam, mniam – zamlaskały świni, które uległy obrazowemu opisowi i wyobraziły sobie takie koryto.

- Ale to koryto, to coś więcej niż źródło wiecznego żarcia. Otóż wyobraźcie sobie – kontynuowała – że każda ze świń, kiedy zje z niego będzie żyła wiecznie. Nie będzie chorowała, nie będzie cierpiała ani się smuciła. Stanie się nieśmiertelną, wiecznie zadowoloną swinia.

- Super! – rozległo się po pokoju.

- Mało tego. Wyobraźcie sobie także, że to koryto, zgodnie z aksjomatem jeden posiada nieograniczoną moc. Sprawia, że w swoim życiu ziemskim świni są szczęśliwe, że tak zwany los im sprzyja i dobrze im się powodzi, lub też zsyła karę na te, które dopuściły się występku. Staje się zatem nie tylko źródłem ciepłego żarcia, ale źródłem sprawiedliwości na ziemi.

- Ciekawe, ciekawe – młaskały świni.

- I właśnie teraz, kiedy mamy już superkoryto jako źródło supersprawiedliwości, to pojawia się właśnie ów Y, czyli jakaś świni, która ogłasza innym swiniom: „Ja wiem wszystko o tym korycie! Mnie słuchajcie! Bo słuchając mnie, będziecie mogli się dopchać do tego koryta i zreć z niego do woli!”

- Ale to nonsens, przecież kto by takiemu uwierzył? – powiedziała jedna ze świń.

- Niezupełnie – odpowiedziała locha – Otóż świni Y, aby przekonać inne świni wykorzysta znajomość praw natury. Na przykład będzie w stanie przewidzieć, kiedy nastąpi zaćmienie słońca. I tuż przed tym zanim słońce schowa się za tarczą księżyca, ogłosi: „Słuchajcie mnie świni! Jeżeli nie będziecie mnie słuchały, to superkoryto się na was pogniewa i zgaśnie słońce, w którym lubicie się wygrzewać!”. Świni oczywiście zakwiczą cynicznie, a tu nagle bum! Pełne zaćmienie! Co wówczas zrobią? Jak myślicie?

- No, uwierzą tej świni Y – odpowiedziały.

- Macie rację. Uwierzą. Mało tego, będą błagały świni Y, żeby ta udobruchała superkoryto, że będą posłuszne. Świni Y wówczas podniesie gołonki ku niebu i zawoła: „O! Superkoryto! Wreszcie uwierzyły!”. Księżyc przejdzie w kolejną fazę obiegu i odstłoni tarczę słoneczną. Świni zakwiczą wówczas: „Cud!” i padną na kolana przed swinia Y, jako tą, która ma uprzywilejowany dostęp do superkoryta. Od tej pory świni Y będzie rządziła swiniami.

Będzie od nich lepsza, przynajmniej tak będzie się przedstawiać i za taka będzie uważana. Teraz rozumiecie?

- Tak.

- No to zapiszcie sobie lemat drugi: „W systemie OITP, Y ustanawia prawo irracjonalne, którego nie sposób przestrzegać”. Zanotowałyście?

- Tak, ale co to znaczy? – zapytał świński chórek.

- To bardzo proste – powiedziała naczelniczka – Y tworzy sprzeczne ze sobą normy prawne, po to, ażeby każdy ze zbioru X żył w nieustannym przekonaniu, że te normy łamie. Innymi słowy, każdy jest winny, każdy jest przestępcą, bo przecież łamie prawo, którego nie można nie łamać.

- A może jakiś przykład, żeby to sobie lepiej uzmysłowić? – poprosiła jedna ze świń.

- No dobrze, ale tym razem obędziemy się bez wyobraźni. Sięgnijmy do historii człowieka. Otóż dawno, dawno temu, w kraju o bardzo mroźnym i surowym klimacie żył sobie człowiek, który nazywał się Józef Stalin. Uważał on siebie za superwładcę, był kimś w rodzaju naszego superkoryta, o którym wcześniej mówiliśmy. Jego rządy to jedno z doskonalszych wcieleń OITP, ale do rzeczy. Chciał wytłuc intelektualistów, tych mądrych, którzy mogli zagrozić jego panowaniu. Jak postanowił, tak też zrobił. Ostali się tylko bibliotekarze, na których musiał znaleźć jakiś sposób. Zatem wprowadził on sprzeczne ze sobą normy prawne. Mianowicie, zakazał on bibliotekarzom wypożyczania pod groźbą kary śmierci pewnych pozycji książkowych. W tym samym czasie swoim komisarzom udzielił nieograniczonych kompetencji, a tym wszystkich, którzy nie byli im posłuszni, groziła także kara śmierci. Następnie ci komisarze udali się do bibliotek i wydawali bibliotekarzom polecenia, aby ci pożyczili im książki, których pod groźbą śmierci pożyczać nie mogli. Jak pożyczyci – śmierć, jak nie pożyczyci, to też śmierć, bo nie wykonali polecenia komisarza.

Albo inny przykład. Taki dekalog. Niby dziesięć prostych przykazań, a jednak niemożliwe by którykolwiek z ludzi mógł ich wszystkich przestrzegać. Ale skutek działania ten sam, co w przypadku bibliotekarzy: zawsze łamie się prawo. Skoro się je łamie, to w każdej chwili władza, czyli Y, może wkroczyć i wyegzekwować łamanie prawa. Każdy jest winny, każdy wie, że jest winny i każdy się boi władzy. Nie ma to jak strach przed władzą moje drogie świnki – skwitowała locha.

Świnie zamilkły. Zdały sobie właśnie sprawę z mocy działania tego lematu. Umożliwił on całkowicie legalne wsadzanie do więzień a nawet zabijanie każdego. Wymarzony sposób by niszczyć niezadowolone z świńskiej władzy świnię. Ba! Było to doskonałe narzędzie do rozgrywek personalnych i porachunków osobistych. One, jako rządząca elita, na mocy tego lematu, będą mogły w majestacie prawa ścinać łby tym wszystkim świniom, które nie tylko będą nieposłuszne, ale także tym, które nie będą się im podobały.

- Pamiętajcie jednak – przerwała milczenie naczelniczka – że aby lemat drugi działał, musi być lemat trzeci w systemie OITP.

- Jaki? – zapytały.

- Zapiszcie sobie: „Y ma przywilej łaski”

- A dlaczego ma być łaskawy? A jeżeli ma być łaskawy, to jaki jest sens istnienia lematu drugiego? – zapytała jedna z świń.

- Dlatego, że Y jako władza, musi być postrzegany jako ktoś dobry. Otóż zgodnie z lematem numer dwa, prawo jest absurdalne, dlatego nikt nie jest w stanie go przestrzegać. Do kogo zatem mogą się ostatecznie odwołać wszyscy ze zbioru X, kiedy zostaną aresztowani i skazani za nieprzestrzeganie prawa? Ano tylko do władzy, która zgodnie z lematem trzecim jest łaskawa. Władza nie ma obowiązku łaski, ale przywilej. Może ułaskawić, bądź nie. Ułaskawiając tych całkowicie niegroźnych ze zbioru X, którzy zostali skazani na śmierć, buduje swój wizerunek jako instytucji mądrej i dobrej, do której wszyscy mogą się udać po pomoc. W zbiorze wszystkich iksów pojawia się przekonanie, że Y, jako łaskawca, jest

dobry, ale prawo złe. Nikt nie myśli wówczas, że to Y stworzył sprzeczne z sobą normy prawne. Każdy uważa Y za ostateczny ratunek, jedyną nadzieję.

- Aaaa...taka sztuczka?!

- Nie, to nie jest sztuczka. Musicie pamiętać, że Y jest tym, który ma uprzywilejowany dostęp do superkoryta, dlatego musi sprawiać wrażenie dobrego. Wszak owo superkoryto nie jest przecież czymś złym. Zauważcie także, że lemat numer trzy sprawia, że Y postrzegany jest nie tylko jako dobry, ale jako coś, co jest ponad prawem. Jego wola może anulować wszelką karę. Jawi się zatem jako coś równie potężnego jako owo superkoryto, o którym przed chwilą mówiliśmy. Sam staje się dobrym i sprawiedliwym sędzią w systemie OITP, którym rządzi absurdalne prawo.

- Faktycznie – powiedziały świni.

- Na zakończenie pogawędki o strukturze i zasadzie działania OITP chciałam wam powiedzieć o aksjomacie trzecim, o „D” jako ogólnym pojęciu zła uniwersalnego.

- No właśnie, no właśnie! – krzyknęły słuchaczki – Po co jest diabeł? Jest przecież superkoryto i Y, diabeł nie jest potrzebny. Po ten cały strach?

- Pomału, za chwilę wszystko stanie się jasne – uspakajała locha – Zanotujcie sobie proszę kolejny lemat: „W całym zbiorze X, gdzie X oznacza dowolny zbiór jednostek, czyli jakieś społeczeństwo, niezależnie od kultury, rasy, języka istnieje takie Y, gdzie Y jest jednostką, bądź zamkniętą grupą jednostek, którzy uważają, że mają pełną wiedzę na temat D”. Zapisaliście?

- Ale to jest to samo, co lemat pierwszy – powiedziała szeptem jedna ze świń do innej, która siedziała obok. Świnie mają bardzo dobry słuch, zatem uwaga ta nie umknęła naczelniczce. Odpowiedziała ona:

- Niezupełnie. O ile w lemacie pierwszym mamy do czynienia z Y, który znajduje się w uprzywilejowanej pozycji do „B”, tak tutaj mowa jest tylko o „pełnej wiedzy” na temat „D”. Pamiętajcie, co podkreśliście na czerwono, to „itd.”? – zapytała.

- To się robi zbyt złożone, to całe OITP – mruknęła jedna ze świń.

- Ależ nie! To bardzo proste! – głośno powiedziała locha – Zwróćcie uwagę, że zmienne „D” i „B”, jeżeli nie odwołamy się do ich znaczenia, są identyczne. Macie dwa najbardziej ogólne pojęcia, których w zasadzie nikt nie może ostatecznie zdefiniować. Co więcej, żadna z tych kategorii nie ma swojego odpowiednika w świecie. Bo o ile na przykład, kategoria ogólna: „wieprz”, „człowiek”, „koń”, ma jakiś tam desygnat, bo w końcu istnieje lub istniał kiedyś konkretny a nie ogólny: koń, człowiek czy wieprz, to jednak nigdy i nigdzie na świecie nie pojawił się odpowiednik zmiennej „B” czy „D”. Zatem jeżeli chodzi o ich stopień uogólnienia, jest on najwyższy. I to jest ich wspólny mianownik.

Świnie słuchały tego wszystkiego bardzo uważnie. Widocznie miały za sobą już kurs logiki, bo nie zaskoczyło ich pojęcie desygnatu, ani te rozważania o abstrakcjach i uogólnieniach większych i mniejszych. Przyznam, że ja sam, chociaż nie miałem problemu ze zrozumieniem kategorii „najwyższego stopnia uogólnienia”, to jednak nie wiedziałem o co chodzi z tym „wspólnym mianownikiem”. Przecież jeżeli chodzi o treść tych kategorii, to są one skrajnie sprzeczne, wykluczają się jak dzień i noc, jak lato i zima, jak dobro i zło. Jak je połączyć? Jaki wspólny mianownik? Z chęcią zapytałby o to lochę, jednak w tym śnie świni mnie ani nie widziały, ani nie słyszały. Miałem jednak nadzieję, że zebrane w tej ekskluzywnej sali słuchaczki mają takie same wątpliwości co ja i że któraś na pewno zagadnie o to naczelniczkę. Żadna jednak nie przerwała jakimś dociekliwym pytaniem wykładu o OITP, a naczelniczka kontynuowała:

- Zgodnie z aksjomatem dwa, „B” charakteryzuje się nieskończoną dobrocią, sprawiedliwymi. Tak jak sobie powiedzieliśmy, to takie superkoryto. „D” zaś, o

którym mowa w aksjomacie trzy, oprócz tego, że także jest konglomeratem pojęć ogólnych o znaczeniu przeciwnym do tych, które zawiera „B”, to jest nieustannie definiowalny. Właśnie dlatego tak ważne jest to „itd”.

- A dlaczego? Dlaczego na przykład „B” nie jest nieustannie definiowane, a „D” tak? – zapytała jedna z świńskich prymusek.

Przyznam, że nawet mnie to pytanie zaskoczyło. Faktycznie, coś tu było nie tak. O ile o „B”/superkorycie wszelka wiedza jest ustalona i w zasadzie ogranicza się, zgodnie z tym, co mówiła naczelniczka, do innych pojęć ogólnych, jak dobro, sprawiedliwość, życie wieczne, tak jeżeli chodzi o „D” z aksjomatu trzeciego pojawia się teza o „nieustannym definiowaniu podmiotu”.

- Łotdafakizdiz! – zakląłem z angielska pod nosem.

- Dobrze, że zapytałyście. Jak zwróciłyście uwagę – zaczęła wyjaśniać locha – w zasadzie aksjomaty dwa i trzy nie różnią się od siebie jeżeli chodzi o ich ogólność. Na płaszczyźnie znaczeniowej zakresy zmiennych „B” i „D” wykluczają się. I to je różni. Ale znowu, jeżeli porówna się lematy jeden i cztery OITP, okazuje się, że tu także nie ma różnicy. Tu i tu pojawia się jakiś Y. Co więcej, zmienna Y jest ta sama, zatem można stąd wyprowadzić wniosek, że: $Y(L1) = Y(L4)$, czyli że to jeden i ten sam Y. I teraz pora na to, na co zwróciłyście uwagę, że podmiot aksjomatu drugiego jest ciągle „definiowalny” przez Y na mocy lematu numer cztery. Powinnam to trochę uściślić, dlaczego „definiowalny”, podczas gdy w lemacie tym mowa jest o „pełnej wiedzy” na temat podmiotu, nie zaś o definiowalności...

- No właśnie – przerwały jej zaciekawione świnię.

- Chodzi o to, że wiedza jako taka nie jest czyś stałym – powiedziała naczelniczka – Weźmy sobie taki przykład. Jako małe prosiaczki, w okresie przedrewolucyjnym, zapewne wielokrotnie słyszałyście, a może i nawet widziałyście jeże. Takie małe, kolczaste stworzonka na czterech łapkach. Wiedziałyście wówczas tylko tyle o jeżach, co zobaczyłyście. To znaczy, że mają pyszczki, kolce na grzbiecie, małe nóżki i że szybko biegają. Jednak nie na tyle szybko, by przed nami uciec. I właśnie tu dochodzimy do zagadnienia ewolucji wiedzy. Bo kiedy je dopadłyśmy, by je pożreć, okazało się, że pod tymi kolcami i stosunkowo miękką skórką, kryje się soczyste, czerwoniutkie jeże mięso. Bardzo smaczne.

- Młask, młask, młask – rozległo się wśród świń i nawet, co zauważyłem naczelniczce zaczęła ciurkiem lecieć na bordowy dywan gęsta i pienista ślina. Nagle wśród adeptek świńskiej szkoły władzy rozległo się spontaniczne:

- Ruszamy! Na jeże! Żreć! Żreć! – po czym niemal wszystkie, oprócz tej dociekliwej świńskiej prymuski, zerwały się z wygodnych kanap i przyjęły pozycję bojową, to jest na czworakach, skuliwszy uszy, z najeżoną na grzbiecie szczeciną ruszyły do wyjścia pozostawiając po sobie strugi śliny. Byłyby wybiegły, gdyby nie naczelniczka, która stanęła im na drodze. Ryknęła ona przeraźliwie, tak, że wszystkie stanęły jak wryte, po czym powiedziała:

- Władza nie może okazywać prostych emocji! Wyprostować się i wracać na swoje miejsca! Nie jesteście bydłem, stadem świń! Jesteście władzą!

Skarcone przez naczelniczkę świnię opamiętały się. Jedna po drugiej zaczęły wycierać pyski i przyjmować postawę wyprostowaną. Kiedy sytuacja wróciła do normy, naczelniczka opanowanym głosem powiedziała:

- Nie po to uczono was jak chodzić na tylnich kończynach, nie po to dołożono wszelkich starań abyście zachowywały się jak elita, byście tak łatwo miały ulegać prostym emocjom i instynktom.

- Ale to czerwoniutki, jeże mięsko.... – powiedziała jedna ze świń. Locha nie pozwoliła jej dokończyć. Przerwała:

- Nieważne czy jeże, czy ludzkie. Zawsze macie trzymać fason. Czy wy nie rozumiecie jeszcze, że macie być tymi igrekami w OITP? Jak chcecie zapanować nad instynktem świńskich społeczności, kiedy sami przy byle okazji, ba, na samo wyobrażenie krwistego mięsa, tracicie kontrolę nad sobą?

- Ale sama naczelniczka mówiła, że dekalogi są dla świętych... – wtrąciła inna świnia.

- Mówiłam. To prawda. Ale żeby kontrolować stado, musicie dawać przykład. To, co będziecie robić, gdy stado nie będzie was widziało, to wasza sprawa. Tu możecie być najdzikszyimi z bestii, możecie bez żadnego skrupowania korzystać z przywilejów władzy. Jednak stając przed stadem, wydając mu rozkazy, kierując nim musicie być nieskazitelne. Proszę, powiedz swoim świńskim koleżankom i kolegom – zwróciła się locha do prymuski siedzącej najbliżej niej – co się stanie władza zacznie zachowywać się jak stado, gdy zacznie publicznie kierować się naturalnymi instynktami.

Wywołana do odpowiedzi prymuska podniosła się ze skórzanej sofy, tak by inne ją bardzo dobrze widziały. Następnie wolno i wyraźnie powiedziała:

- Wówczas pojawi się tak zwany paradoks władzy, w którym jeżeli Y, który pierwotnie był różny od X a X od Y na zasadzie A i $\sim A$, tak teraz okaże się, że między A oraz „nieprawda, że A” pojawi się znak równości, czyli: $A=\sim A$.

- I co w związku z tym? – odpytywała dalej naczelniczka.

- O ile zdanie logiczne „ $A=\sim A$ ” może funkcjonować w abstrakcyjnym systemie teoretycznym, tak jeżeli chodzi o wymiar społeczny, jego działanie oznacza rewolucję. Między społeczeństwem, czyli stadem, a władzą, czyli nami przywódcami tego stada, pojawi się równość. Nie będzie już żadnej granicy, która by nas bezpiecznie oddzielała od reszty świń. Stado wyczuje ten brak różnicy i ruszy na władzę, na nas. Obali ją i stworzy nową. Innymi słowy, równość między A i $\sim A$, skutkować będzie pojawieniem rewolucji, po której ponownie pojawi się jakiś Y i różny od niego X, na zasadzie A i $\sim A$, z tym że, to już nie my będziemy tymi igrekami.

- Bardzo dobrze – powiedziała z uznaniem naczelniczka i machnąwszy uchem dała znak, by ta usiadła.

- Czy zrozumieliście? – zwróciła się do pozostałych.

- Tak, kwii, kwii, tak – zakwiczały świnie zazdrośnie łypiąc na wiecznie obkuta koleżankę.

- Wróćmy do tego jeża. Okazuje się, że wiedza na jego temat ewoluowała. O ile jeż w okresie przedrewolucyjnym był naszpikowanym kolcami stworzeniem, tak później okazało się, że jest on bardzo smakowitym kilogramem mięsa. Ale tu nie chodzi przecież o tego jeża, ale o wiedzę, która ma charakter ewolucyjny.

Świnie już bez zbędnych pytań notowały uwagi naczelniczki na temat natury wiedzy. Ta zaś kontynuowała:

- I wróćmy teraz do podmiotu aksjomatu trzeciego, do zmiennej „D” oraz lematu czwartego. Dlaczego Y ma „pełną wiedzę” o tymże „D”? – zapytała retorycznie i nie czekając na odpowiedź kontynuowała:

- Cały system OITP zbudowany jest w zasadzie w oparciu o dwa aksjomaty, w tym przypadku są to: aksjomat numer dwa i trzy.

- I jeszcze aksjomat numer jeden – wtrąciła się prymuska, która nieustannie notowała każde słowo lochy.

- Otóż właśnie nie. Pierwszy aksjomat jest wzmocnieniem dla pozostałych dwóch. Odnosi się jako pierwszy, do dwóch najbardziej ogólnych zmiennych, do „B” i „D”, czyniąc je bardziej konkretnymi, w skrajnych interpretacjach: osobowymi. Bo to właśnie na mocy aksjomatu jeden te dwie ogólne kategorie mogą działać, jako „moce, które nie mają granic”, i jako takie stają się czynnikami, a nie biernikami, to znaczy: działają. Bo jak poznać bezgraniczną moc,

jeżeli ona nie działa? A jak ma działać, skoro nie istnieje ten, kto jej używa, czyli w tym przypadku „B” i „D”? Sama z siebie przecież działać nie może, potrzebuje tych zmiennych.

- Aha – powiedziała ze zrozumieniem prymuska. Naczelniczka kontynuowała:

- Mamy zatem dwa najważniejsze aksjomaty. Jak sobie wyjaśniliśmy na przykładzie superkoryta, „B”, jest wyraźnie zdefiniowany. Na jego treść składa się wszystko co najlepsze podniesione na dodatek do niewyobrażalnej, abstrakcyjnej potęgi. I to w zupełności wystarcza. Inaczej jest z „D”, czyli jak go nazwali ludzie – z diabłem.

- Chrummm – sapnęły świnię, które jakby się ożywiły w tym momencie.

- Macie rację – uprzedziła locha ewentualne pytania – Diabeł jest bardziej ciekawy niż to superkoryto. Ale też i jest jako kategoria bardziej złożona. Nie jest on naiwnym zaprzeczeniem superkoryta, ale dzięki „itd.” jest nieustannie redefiniowaną kategorią. Rodzajem worka, do którego możecie wrzucić wszystko i wszystkich, by tylko utrzymać stabilność władzy. W zależności od potrzeb, sytuacji, nastrojów w stadzie, wszystko co wydaje się wam niebezpieczne dla was i waszych stanowisk, możecie nazwać owym „D”. Dlatego też jest ważne, abyście tylko wy, jako igreki w tym stadzie, mieli prawo decydowania o tym. Czyli, jak to zostało sformalizowane w lemacie czwartym: żeby tylko Y miał pełną wiedzę na temat „D”. Tylko wtedy będziecie mogli decydować o tym, co złe, eliminując tych, którzy są dla was niebezpieczni, bo właśnie oni nagle określani zostali przez was jako źli.

Świnię spojrzały po sobie. Byłem przekonany, że niewiele z tego zrozumiały. Sam pojąłem za ledwie początek tej złożonej teorii, dlaczego świńskie mózdzki miałyby mieć nad moim przewagę? Okazało się, że byłem w błędzie. Jakimś cudem, mózgi świń w moim śnie były równie fantastyczne, co cały ten sen. Słuchaczki zaczęły dyskutować to ze sobą, to z naczelniczką na temat owego „D”. Rozmowę przerwała dopiero sama naczelniczka:

- Wiele z was pyta: „Po co ten cały numer z ‘D’ i czwartym lematem?”. Wielu z was uważa, że aby utrzymać ciągłość panowania wystarczy sam lemat drugi, na mocy którego bezkarnie usuwacie tych wszystkich, którzy się wam nie podobają.

- No właśnie, chrum, chrum! No właśnie po co to ”D” i lemat cztery? – rozległo się wśród świń.

- Lemat czwarty ma o wiele większą moc. W grę wchodzi tu nie tylko złamanie prawa, za co potencjalnym świniom ‘X’ grozi utrata łba. Tu mowa jest o wiecznym potępieniu, o smażeniu się w smole przez wieczność. Poza tym owo „itd.”... Zwróćcie uwagę, że za każdym razem nawiązuję do tego skrótu, który kazałam wam podkreślić czerwonym kolorem.

- No – odpowiedziały zgodnie.

- Owo „itd.”, daje wam niebywałe pole do popisu. O ile nie sposób od tak zmieniać norm prawnych, by odpowiadały nowo zaistniałym sytuacją, które nie zostały jeszcze skodyfikowane, by na dodatek były wzajemnie sprzeczne. Tak tutaj macie całkowicie wolną rękę. Możecie śmiało wkładać do worka z napisem „D” każdą nową sytuację, której się obawiacie. Każdy fakt może znaleźć się w ułamku sekundy w tym „i tak dalej”. Możecie na bieżąco reagować, stosując na dodatek ultymatywne narzędzie władzy śmierć połączoną z potępieniem. Jesteście w stanie jednym słowem zatrzymać ewolucję świadomościową całego stada świńskiego. Tu można i należy uczyć się od człowieka, który w swej historii miał takie jednostki, którzy potępieniem wstrzymywali na kolejne stulecia badania astronomiczne, czy rozwój innych nauk, uznając je za wymysł szatana. Pamiętajcie, że w OITP „D” ma takie samo znaczenie jak „B”.

- Jakie to wszystko skomplikowane – westchnęła pod nosem jedna ze słuchających świń. Naczelniczce i ta uwaga nie uszła mimo uszu. Odpowiedziała:

- Oczywiście, że skomplikowane. Każda teoria panowania musi być maksymalnie pogmatwana. Do tego stopnia złożona, żeby jej aspekty i niuanse, o których was tutaj uczymy, były całkowicie nie do pojęcia przez zwykłe świnię. Dla stada sekret panowania

powinien być tajemnicą nie do odgadnięcia. Ale muszę was pocieszyć, że OITP jest i tak stosunkowo prosta. Za chwilę będziemy sobie mówili o ogólnej racjonalistycznej teorii panowania, w skrócie ORTP. Tam dopiero jest komplikacja – skwitowała i ogłosiła krótką przerwę.

Świnie wstały, by rozprostować kości. Niektóre w grupkach dyskutowały o czymś, od czasu do czasu wybuchając świńskim śmiechem. Świnia-prymuska stała przy naczelniczce i o czymś z nią rozmawiała. Jasna stała się dla mnie przepaścią między tym pomieszczeniem, a tym, co ujrzałem w „OFICJALNEJ INTERPRETACJI”, nie wliczając wilka z „NIEZBĘDNEJ OPOZYCJI”. Te świnie nie były identyczne, te były uczone w tej chwili tego, jak sprawić by podległe ich władzy świńskie stado składało się z homogenicznych jednostek i żeby przypadkiem żadnej z tych jednostek nie wpadł do głowy pomysł stania się indywiduum.

Ciągle drzwi trzecie. ORTP

Przerwa dobiegła końca. Świnie powróciły na swoje miejsca. Naczelniczka odczekała jeszcze chwilę, by ostatnie szepty ucichły a następnie powiedziała:

- O ile system OITP opiera się na kategoriach psychologicznych: lęku i euforii, tak drugi rodzaj panowania, o którym wam teraz opowiem będzie odwoływał się do zasad rozumu. Nie będzie posiadał żadnego aksjomatu, ponieważ na dłuższą metę, czego dowiodła historia człowieka, tak zwana rozumność nie toleruje żadnego dogmatu. Dlatego też każdy z aksjomatów w tym systemie, stałby się po pewnym czasie przedmiotem ataku ze strony tego systemu. System ORTP, w którym pojawi się jakikolwiek aksjomat ulegnie samodestrukcji.

Gdy to usłyszałem przypomniało mi się twierdzenie Goedla. Pomyślałem: „Ale się bestie nauczyły! Wyssały co najlepsze z naszego dziedzictwa!”. Pewnie myślałbym tak dalej, gdyby nie jedna ze świń, która zapytała naczelniczkę:

- Nie rozumiem. Jak bez aksjomatów można stworzyć system? To z czego on będzie się składał?

- Dobrze, że zapytałaś – odparła naczelniczka – System ORTP mimo iż nie będzie posiadał aksjomatów, to będzie wynikał z najbardziej zaksjomatyzowanej, najbardziej racjonalistycznej i stabilnej nauki.

- A jaka to nauka? – zapytała inna świnia.

- Matematyka.

- Bleeeee, kwi, kwi – rozległo się w pokoju. Zdaje się, że i świnie nie darzyły tej dziedziny wiedzy sympatią. Trudno się im dziwić. Ja sam miałem problemy z operacjami matematycznymi powyżej dziesiątki, nie wspominając o tabliczce mnożenia, której nigdy się nie nauczyłem na pamięć. Chociaż przyznać muszę, że trud z jakim nauczycielka od matematyki próbowała mnie tego nauczyć, był godny podziwu. Zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób główna locha zamierza przekonać adeptki elity świńskiej władzy do tak abstrakcyjnej nauki, jaka jest matematyka. Nie uważałem by sama abstrakcja była dla świń barierą nie do pokonania. Przecież jeszcze kilkanaście minut temu z łatwością wyobraziły sobie superkoryto, wiecznie pełne, z którego żarcie czyni świnie nieśmiertelne. Jednak mimo wszystko superkoryto to nie zdanie: „1=1”, które w każdym możliwym świecie zawsze będzie prawdziwe. Postanowiłem pilnie śledzić ciąg dalszy wykładu o ORTP.

- Matematyka – kontynuowała – to nauka wyjątkowa. Nie wiadomo kiedy się zaczęła i nie wydaje się, by kiedykolwiek mogła przestać istnieć. Nawet kiedy świat jeszcze nie istniał, to matematyka była. Matematyczne zero, to nic innego jak powszechne NIC, poprzedzające

wszelkie istnienie. Kiedy po tym czasie nieistnienia pojawiło się COŚ, cokolwiek to było, pojawiła się także matematyczna jedynka. Musicie wbić sobie do tych świńskich łbów, że matematyka jest nie do ruszenia. Taki sam będzie także każdy system władzy, który będzie o nią oparty – skwitowała i nie czekając na kolejne ewentualne pytania powiedziała.

- Zapiszcie sobie następujące zdanie: „locha ma kota”. Już?

- Tak – odpowiedział świński chórek.

- Czy to zdanie wam coś przypomina?

- Hmm... – rozległo się wśród świń. Prymuska jednak i tym razem nie zawiodła. Wstała i powiedziała:

- W okresie przedrewolucyjnym zdanie to występowało powszechnie w elementarzach dla dzieci ludzkich w innej formie. A mianowicie jako: „Ala ma kota”.

- Bardzo dobrze, na ciebie zawsze można polegać – pochwaliła naczelniczka prymuskę. I tym razem pozostałe świny zazdrośnie łypały na koleżankę małymi, świńskimi oczkami. „Ciekawe kiedy na nią się rzucą i ją zeżrą?” – pomyślałem – „Zresztą to bardzo ciekawe pod względem psychologicznym, jak szybko w ramach władzy powstają konflikty i jak bardzo decydującym elementem jest tu zazdrość”.

- A czym były elementarze dla człowieka w okresie przedrewolucyjnym? – kolejne pytanie naczelniczki wyrwało mnie z zadumy.

- Były to rodzaje podręczników przeznaczone dla ludzkiego potomstwa.

- Elementarze były podręcznikami do nauki wiedzy elementarnej – bez zająknięcia odpowiedziała prymuska, licząc na kolejną pochwałę. Tym razem nie było żadnej nagrody, żadnego gestu zadowolenia, lecz reprimenda. Naczelniczka syknęła:

- Masło maślane! Jesteś naszą prymuską! Nie możesz sobie pozwalać na takie wpadki!

Prymuska spaliła się ze wstydu. Ryje pozostałych świń w pomieszczeniu wykrzywił grymas zadowolenia. Były świadkami porażki tej najlepszej wśród nich.

- Jeszcze raz. Do czego służył elementarz człowiekowi? – ponowiła pytanie locha.

- Elementarze... elementarze służyły człowiekowi do nauki – odpowiedziała z zająknięciem - Do poznawania podstawowych zasad.

- Lepiej, lepiej – pochwaliła ją locha i dodała:

- O podstawowych zasadach, czyli o tych wszystkich regułach, które rządzą światem i życiem społecznym. Człowieka już od dziecka uczono co może robić, co musi a co powinien robić. W tej nauce, w każdym z elementarzy pojawiała się gatunksistowska teza: „Ala ma kota”. Zawsze w tej samej formie, nigdy odwrotnie. Nie zdarzyło się tak, żeby „Kot miał Alę”.

- A co to jest gatunksizm? – zapytała jakaś świnią.

- To rasizm gatunkowy. Człowiek specjalizował się w różnych rasizmach. Podział na rasy wprowadził nie tylko w ramach swego gatunku, ale także w całym świecie zwierzęcym. Jedne stworzenia były lepsze, inne gorsze. Najważniejsze w tej teorii było to, że człowiek jako rasa, zawsze dominował nad innymi zwierzętami.

- Czyli gatunksizm to też element panowania? – zapytała ta sama świnią.

- Tak. Ale o tym za chwilę. Tym czasem wróćmy do ORTP i zdania: „Locha ma kota”. Jak wam się podoba to zdanie?

- Kwii, hehehehe, kwii, śmieszne i proste – zakwiczały świnię.

- Proste jak świński ogon! Kwii – rzuciła któraś, na co świnię wybuchły sarkastycznym kwikiem. Locha całkowicie spokojna nie zrugwała adeptkę szkoły władzy za tak niskie i antyświńskie dowcipy z epoki przedrewolucyjnej. Zamiast tego zupełnie poważnie zapytała:

- Moje świnki, a czy widziałyście kiedykolwiek u którejś z nas prosty ogon?

Po tym pytaniu wśród świń zapanowała cisza. Locha wiedziała, że to proste pytanie odniosło skutek. Jej słuchaczki zamyśliły się.

- Widzicie, jeżeli chodzi o ORTP, tu nic nie jest takie, jakie wydaje się, że jest. Nawet jeżeli chodzi o przysłowiową prostotę naszych ogonów, która nie ma nic wspólnego ze stanem

faktycznym. Ale do rzeczy. Zanotowałyście sobie zdanie, to teraz na ciąg dalszy. Jak wam mówiłam ORTP wynika z najbardziej racjonalistycznej nauki, jaką jest matematyka. Dlatego zapiszmy sobie zdanie „Locha ma kota” w formie matematycznej czyli „5-2-4”. Dlaczego tak? – uprzedziła ewentualne pytania - Bo wyraz „locha” składa się z pięciu liter „l (1)”, „o (2)”, „c (3)”, „h (4)”, „a (5)” i dalej analogicznie. Zapisowałyście?

- Tak.

- To dalej. Jaka jest różnica między cyframi: „5”, „2” i „4”? – zapytała.

- Pierwsza jest nieparzysta a pozostałe dwie parzyste – odpowiedziały zgodnie świnię.

- Dobrze, ale czy coś jeszcze? – dociekała locha.

- Piątka jest większa niż dwa i cztery osobno – powiedziała grupka.

- Świetnie. Zapiszmy to:

1) $5 > 2$

2) $5 > 4$

- Czy widzicie jeszcze jakąś różnicę?

Świnię się zamyśliły. Ja natomiast z uciechą obserwowałem jak fałdują się im świńskie czoła, gdy starają się cokolwiek wydumać na temat różnicy, o którą nieustannie dopytywała się naczelniczka. Z drugiej strony sam kombinowałem w myślach: „O co jej chodzi? Po co to wszystko?”.

Locha widząc, że nawet prymuska nie dostrzega innych różnic między cyframi 5, 2 i 4, wydała polecenie:

- Dobrze. Wobec tego uważnie słuchajcie i notujcie. A jak coś będzie niezrozumiałe, to śmiało pytajcie. W zdaniu matematycznym „5-2-4” występują tzw. liczby pierwsze. Są to „5” oraz „2”...

- A co to są te liczby pierwsze? – padło pytanie.

- To takie, które dzielą się tylko i wyłącznie przez „1” i samą siebie. Nie mają innych dzielników – odpowiedziała cierpliwie locha.

Przyznam, że byłem pełen podziwu dla jej talentu pedagogicznego. Nie to, żeby moja nauczycielka matematyki takiego nie posiadała. Przeciwnie. Zamiast cierpliwie odpowiadać i tłumaczyć zawilosci teorii liczb, używała osobliwego środka dydaktycznego, a mianowicie bambusowego wskaźnika. Każdy, kto pytał ją o coś, kończył z dłońmi opartymi o biurko i wypiętym tyłkiem. Pani zaś odliczając kolejne razy pytała: „Ile razy mam to tłumaczyć?”. Kończyło się to przeważnie na dziesięciu podobnych pytaniach, na które zwykle padała jedna odpowiedź: „A ła!!” O skuteczności tej metody świadczy to, że po dwóch lekcjach matematyki nie znalazł się taki, który by czegoś nie rozumiał. Na każde pytanie: „Rozumiecie?” klasa, w tym i ja, odpowiadaliśmy gromkim: „Tak!”.

Świńskie metody pedagogiczne były inne. Locha, chcąc się upewnić, że słuchające jej świnię pojęły istotę liczb pierwszych zapytała:

- Kto wymieni jakieś inne niż „5” i „2” liczby pierwsze?

Tym razem do odpowiedzi zgłosiła się nie prymuska ale świnię, która siedziała tuż obok mnie. Wstała i powiedziała:

- 1, 3, 7, 11...

- Bardzo dobrze – pochwaliła locha i zwróciła się już do wszystkich z następnym pytaniem:

- Czym różnią się liczby pierwsze od innych liczb?

- Hmm... – adeptki szkoły władzy znowu się zamyśliły, a ja ponownie z uciechą obserwowałem jak im się od wysiłku intelektualnego marszczą świńskie czoła.

- Są rzadsze, są unikatowe a w związku z tym lepsze od innych – rzekła locha, widząc ogólne zamyślenie na ryjach słuchających jej świń.

- Zaraz tam lepsze... – szepnęła któraś. Oczywiście i ta wątpliwość nie umknęła uwadze czujnej naczelniczki.

- Oczywiście, że są lepsze – powiedziała – To tak jak ze złotem w epoce prerewolucyjnej. Zapewne pamiętacie z lekcji antropologii, jak człowiek zabijał innych by tylko zdobyć kawałek żółtego metalu. Dla nas świń nie ma on żadnego znaczenia, ale dla człowieka zawsze miał tak dużą wartość, że ryzykował swoje życie i innych by tylko mieć trochę złota. A przecież, no może oprócz koloru, był to metal bardzo podobny do ołowiu. Jednak o ołów żaden z ludzi się nie zabijał. Przypomnijcie sobie także, co prof. Kunrkrwiożerczy na lekcji historii opowiadał o drugiej fazie rewolucji, kiedy to pozamykaliśmy niedobitki ludzi na farmach, by ich powoli zjadać. Jak ci najgrubszy, najbardziej smakowici biegali do nas błagając o życie, oferując w zamian kilogramy złota, które gromadzili od pokoleń. Głupcy! Nie mieli pojęcia, że nas żółty metal nie interesuje. Przecież jeść go nie można, a i jak się okazało, od śmierci też nie uratuje. Przecież tych najgrubszych to na samym początku kierowaliśmy do rzeźni. Ale wracając do zagadnienia częstotliwości pojawiania się w przyrodzie jakiś zjawisk czy przedmiotów. Okazuje się, że złoto występowało bardzo rzadko, z tego powodu tak bardzo pożądane było przez człowieka. To coś, jak z naszymi ulubionymi truflami. Podobnie jest z liczbami pierwszymi, jednak z tym zastrzeżeniem, że rzadkość ich występowania wśród innych liczb jest obiektywna...

- Jak to „obiektywna”? – zapytała prymuska, która starała się jak najlepiej zrozumieć każdą myśl i mądrość naczelniczki.

- Obiektywna, to znaczy, że o ile rzadkość występowania w przyrodzie złota miała znaczenie tylko dla człowieka i tu także należy zaznaczyć, że nie dla wszystkich ludzi, tak rzadkość występowania liczb pierwszych będzie miała znaczenie dla wszystkich tych, którzy rozumieją istotę matematyki. Nieważne czy to będzie człowiek, czy świnia. Teraz już rozumiesz? – zapytała.

- Aha – sapnęła prymuska – Czyli chodzi o to, że prawa matematyki, wraz z teorią liczb pierwszych są same w sobie obiektywne i że istniały przed tym, jak się pojawiło COŚ?

- Właśnie! O to właśnie chodzi. Ale wróćmy do ORTP. Jeżeli liczby pierwsze są wyjątkowe, to okazuje się, że w zdaniu matematycznym „5-2-4” pojawia się następująca zależność. Zanotujcie:

3) $5 > 4$

4) $2 > 4$

W tym przypadku znak „>” – dodała dla wyjaśnienia locha – nie oznacza większości, lecz „wyjątkowość”. Mamy zatem oprócz stosunku większości i mniejszości, kolejne rozróżnienie: lepsze, gorsze. I teraz mam do was pytanie. Jaka jest różnica między „5” i „2”? Obie cyfry należą do zbioru liczb pierwszych, zatem obie są lepsze niż „4”. Ale czy między nimi samymi jest jakaś różnica?

Świnie się zamyśliły. Po chwili jedna z nich powiedziała niepewnie, a raczej zapytała:

- „2” jest parzyste, a „5” nie?

- Fenomenalnie! – krzyknęła z wyraźnym podziwem naczelniczka. Świnia, która zdaje się nie przywykła do tego typu pochwał, uśmiechnęła się. Inne zaś były zaskoczone tym, że locha, która widocznie do tej pory zarezerwowała takie komplementy dla prymuski, teraz obdarowała jednym z nich inną koleżankę. Tylko prymuska była zazdrosna. Podszedłem do niej, by z bliskiej odległości móc przestudiować jej reakcję. Widziałem jak zaciska między wypielęgowanymi kopytami ołowek i go łamie. Obserwowałem też jak zgrzyta zębami, jak pracują jej mięśnie żuchwy i jak szczałkowym rysikiem zapisuje w swym notesiku: „Zniszczyć! Zabić! Pożreć! Konkurencja!”, a następnie podkreśla to grubą, czerwona kreską. Spostrzegłem także inny podkreślony wpis na tej samej stronie. Było to: „Błędy logiczne!? Ta zniewaga krwi wymaga!! Zabić naczelniczkę, kiedy tylko nadarzy się okazja!”. Przypomniałem sobie wówczas reprimendę za „elementarz to podręcznik nauki elementarnej”. „No to mamy już następczynię” – pomyślałem w duchu. Cieszyło mnie to trochę, że wysiłki edukacyjne lochy, o tym jak utrzymać władzę, jak unikać wcielenia w

życie „ $A \sim \sim A$ ”, czyli rewolucji, już teraz skazane są na porażkę. Gdyby ona wiedziała, że uświadamiając tajniki panowania nad stadem takim ambitnym prymuskom, pierwsza kładzie łeb pod nóż, by stać się kaszanką, kwiczącą: „Żyjesz w kulturze gadających świń”, nigdy nie zdradziłaby tych sekretów.

- Mamy zatem dwie liczby pierwsze, z których jedna jest parzysta. I podobnie jak między liczbami pierwszymi a pozostałymi, tak i tutaj można mówić o jednych, że są lepsze a inne gorsze – kontynuowała naczelniczka.

- Zapiszcie sobie – poleciła – że liczby nieparzyste są zamknięte a parzyste otwarte.

- Co to znaczy? – padło pytanie.

- To znaczy tyle, że jeżeli na przykład ułożymy pięć kamyczków, obrazujących cyfrę „5” w dwóch równoległych rzędach, to powstaną nam dwie pary i jeden kamyczek osobno. I ten właśnie, który nie będzie miał pary, położymy tak, by zamknął owe równoległe rzędy. Dlatego mówimy tu o zamkniętości.

- Czy mogłaby to naczelniczka narysować? – poprosiła któraś ze świń.

- Jasne. To by wyglądało tak – odpowiedziała locha i narysowała na tablicy taki rysunek:

```

*(1) *(2)
      *(5)
*(3) *(4)

```

- A cyfrę „2” – kontynuowała – zapisalibyśmy tak:

```

*(1)

```

```

*(2)

```

- Jak widzicie, gdybyśmy chcieli przeprowadzić prostą, która oddzielałaby te kamyczki, to okaże się, że w przypadku liczb parzystych jest to niemożliwe. Właśnie dlatego są one zamknięte.

- Aha... – sapnęły świny, które dopiero po zilustrowaniu pojęły istotę zamkniętości i otwartości liczb. Ja sam czekałem na pytanie, które musiało się na tym etapie pojawić. A mianowicie, jaki jest związek między zamkniętością, otwartością a tym, co lepsze lub gorsze? Sam bym o to z chęcią zapytał, gdyby świny mogły mnie w tym śnie widzieć i słyszeć.

- I teraz należy rozstrzygnąć kolejną kwestię, które liczby są lepsze: zamknięte czy otwarte. Jak myślicie? – zapytała naczelniczka.

Świny zamyśliły się raz kolejny. Tym razem wytężonej pracy świńskich komórek mózgowych wtórowało powszechnie: „Hmmm”. Po tym poznałem, że świny zamyśliły się i to nie na żarty.

- No śmiało! – zachęcała naczelniczka. Żadna jednak nic nie wymyśliła. Po kilku minutach oczekiwania na jakąkolwiek odpowiedź, locha powiedziała:

- Zapiszcie sobie: „ORTP w przeciwieństwie do OITP nie cierpi żadnych abstrakcji”. Zapisaliście? To teraz spójrzcie jeszcze raz, tym razem dokładnie na rysunki z kamykami. Tu – wskazała na kamyczkowe zobrazowanie cyfry „5” – kiedy będziemy chcieli przeprowadzić prostą okaże się, że jest to niemożliwe. Skończy się ona na piątym kamyczku. A tu – wskazała na drugi rysunek – przeprowadzona prosta nigdy nie będzie miała końca. Czy jesteście w stanie sobie wyobrazić prostą bez końca? W ogóle czy wasz rozum toleruje taki rodzaj abstrakcji, w którym coś nie posiada końca?

Świny zamyśliły się. W końcu jedna z nich odpowiedziała:

- No nie, ale przecież całe OITP opierało się na abstrakcjach, które charakteryzowały się nieskończonością. Na przykład już w pierwszym aksjomacie pojawiła się „moc, która nie ma granic”.

- Właśnie, chodzi o to, że abstrakcje przyjmowane są na wiarę. Ta zaś należy do sfery uczuć, nie rozumu. Racjonalność zaś odrzuci wszelki dogmat, którym w tym przypadku jest brak końca owej prostej. Z tego powodu, w ORTP, jako systemie odwołującym się tylko i wyłącznie do pierwiastka rozumnego, liczby zamknięte będą lepsze. Czy to rozumiecie?

- Tak – odparły zgodnie.

- Zatem używając znaku „>” dla określenia „lepszy” zapiszmy sobie kolejną, piątą zależność:

5) $5 > 2$

- I teraz podsumujmy:

większe

1) $5 > 2$

2) $5 > 4$

lepsze

3) $5 > 4$

4) $2 > 4$

i jeszcze raz lepsze:

5) $5 > 2$ – mówiła, wskazując na kolejne wnioski z rozważań. Następnie chwilę odczekała, aby upewnić się, że wszystkie świnie nadążają za jej wykładem o ORTP i powiedziała:

- A teraz powróćmy do zdania elementarnego „Locha ma kota”. Widzicie teraz, że nawet nie znając znaczenia pojęć w tym zdaniu, odwołując się tylko i wyłącznie do uniwersalnej matematyki, można wskazać w nim na elementy wyróżnione, na to, które są lepsze a które gorsze. I tak:

A) wyraz „locha” jest lepszy od wyrazu „ma” i „kota”

B) wyraz „ma” jest lepszy od wyrazu „kota”

I co najważniejsze – i to podkreśliła grubą kreską:

C) wyraz „kota” zawsze w tym układzie jest gorszy od pozostałych członów.

- Ale wyraz „ma” też jest parzysty jak „kota” – zważyła jedna ze słuchaczek.

- Tak, ale przewaga „ma” nad „kota” polega na tym, że w formie matematycznej wyraz „ma” należy do zbioru liczb pierwszych. Oj! Nie uważałaś dokładnie – skarciła naczelniczka słuchaczkę, chociaż oszczędziła jej surowej reprimendy, mając świadomość złożoności teorii ORTP. Przyznam, że sam się trochę w tym pogubiłem, ale starałem się mimo to nadążać za tokiem rozumowania lochy. Tego problemu zdawały się nie mieć słuchaczki, które wszystko skrzętnie notowały.

- Na tym etapie – kontynuowała locha – widać jak cenne jest owo elementarne zdanie jeżeli chodzi o zagadnienie panowania. Bo wystarczy zastąpić pojęcie „lepsze”, pojęciem „panuje nad”. Okazuje się, że: [„locha” > („panuje nad”) „ma” > („panuje nad”) „kota”]. Tym samym, nie odwołując się do znaczenia poszczególnych pojęć można łatwo wyróżnić czynnik panujący i resztę, która temu panowaniu podlega.

- Czy nie prościej będzie powiedzieć, że locha panuje nad wszystkim? Po co ta cała komplikacja i matematyczne wywody? – zapytała jedna ze świń.

- Właśnie o to chodzi, że nie można – odpowiedziała naczelniczka – Bo wyobraźcie sobie, że oznajmiacie świńskiemu stadu „locha panuje”. Należy w pewnym momencie spodziewać się pytania: „Dlaczego locha ma panować?”. Możecie wówczas odpowiedzieć: „Bo tak!”, jednak

takie wyjaśnienie nie powstrzyma innych od podobnych dociekań, które w perspektywie mogą przerodzić się w falę rewolucyjną. Racjonalizm akceptuje tylko to, co racjonalne. Zatem i wasze wyjaśnienia muszą być pozbawione magicznych dogmatów, które należały do systemu OITP. Tu musicie odwołać się do źródła racjonalności wszelkiej, czyli do matematyki. Dlatego tak ważne jest, aby na poziomie matematyki ten Y, którym jest w naszym przypadku „locha”, jako czynnik panujący był jak najbardziej wyróżniony. Nikt ze stada w tej sytuacji nie ośmielił się zakwestionować matematycznie uzasadniony kierunek wektora panowania. Gdyby się jednak na takie coś odważył, nazwany zostałby głupcem, bowiem tylko istota bezrozumna zwątpi w to, że: $1+1=2$. Czy widzieliście kiedyś, żeby któraś ze świń świadomie narażała się na nazwanie jej głupią?

- Kwiii, kwiii, masz rację naczelniczko – zawołały zgodnie słuchaczki.

Muszę przyznać, że komplikacja całego wykładu nie przysłoniła oczywistości i prostoty konkluzji. Faktycznie, żadna istota rozumna nie zgodzi się na to, by określić ją jako głupią, bezrozumną. Jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Mianowicie, że aby zrozumieć matematyczny dowód, na którego podstawie dowiedziony został fakt panowania lochy, należy rozumieć samą matematykę. „Czyżby świńska społeczność była aż tak dobrze wykształcona, że bez problemów jako masa poruszała się w tak racjonalistycznej dziedzinie nauki jaka jest matematyka? Czy też może locha w swoim wykładzie o ORTP przyjęła naiwne założenie, że stado jest stadem racjonalnym i w trakcie wcielania w życie racjonalistycznej teorii panowania okaże się, że potęga racjonalizmu zostanie wtarta kopytami rozjuszonego, kierującego się namiętnościami stada w blocko?” – zacząłem się zastanawiać w duchu.

Tym czasem główna locha zagadywana przez kolejne słuchaczki cierpliwie wyjaśniała drobne niejasności. Po chwili powiedziała:

- Wiele z was pyta mnie o ten „stan natury”, o którym wspomniałam na początku, zanim zaczęliśmy dzisiejsze zajęcia, a który miał być jedną z podpór ORTP. Nie wyjaśniałam tego, ponieważ wydawało mi się to oczywiste, ale skoro pojawiło się aż tyle wątpliwości i pytań, to należy i o tym powiedzieć. Otóż w przedrewolucyjnych teoriach władzy, człowiek wielokrotnie odwoływał się do tzw. „stanu natury”, na którego podstawie dowodził nie tyle samego faktu władzy, ale także jej charakteru i zakresu. Chodziło o to, by konieczność istnienia panowania jednych nad drugimi uzasadnić odwołując się do stanu, w którym żył człowiek zanim pojawiła się władza. Był to sprytny zabieg, o czym dzisiaj wiemy studiując historię człowieka. Uzasadnienie istnienia władzy za pomocą stanu natury miało na celu wmówienie poddanym, że panowanie jest czymś naturalnym. W związku z tym nie należy się buntować przeciwko panowaniu, bo to jest albo wbrew naturze samej, lub grozi powrotem do stanu naturalnego, z którym zawsze, no może za nielicznymi wyjątkami, wiązały się jakieś niedogodności czy niebezpieczeństwa.

- Jaki tam sprytny zabieg, skoro i tak wiadomo, że ludzie nigdy nie stworzyli stabilnej władzy – powiedziała prymuska.

- Sprytny – ripostowała locha – Miał tylko jedną wadę. Otóż każdorazowo, w zależności od tego, kto wyprowadzał ze stanu natury fakt istnienia władzy, ten stan natury był różnie definiowany. W skrajnych przypadkach było nawet tak, że niektórzy ludzcy myśliciele już w stanie natury umieszczali kategorie całkowicie nienaturalne, jak na przykład kategorię „własności”. To zamieszanie definicyjne nie mogło pozostać nieodróżnione. Dlatego z czasem nikt poważnie nie traktował tej niebywale ważnej kategorii. Dlatego my świnię, nauczone porażką ludzi ustaliliśmy, że kategoria stanu natury musi być stabilna znaczeniowo. Z tego powodu w ORTP stanem natury jest matematyka, która, jak już wam mówiłam była od zawsze, nawet wówczas gdy wszędzie było NIC jako matematyczne zero. Nikt nie może

zakwestionować supernaturalności cyfr i liczb, jako tego, co było pierwsze. Zatem nikt nie zakwestionuje panowania, które zostało wywiedzione z teorii liczb, jako stanu natury.

„Genialne! Proste ale genialne” – pomyślałem – „Matematyka jako stan natury, jako podstawa i źródło ORTP. Dlaczego człowiek na to nie wpadł. Może bano się zatomizowania społeczeństwa, tego, że jednostka stanie się superprzeliczalną jednostką jako matematyczne jeden? Ale do kurwy nędzy, przecież i tak wszędzie są statystyki, wszędzie są liczby i procenty w książkach socjologicznych, w sondażach gazetowych! Po co ta obłuda?!”

Z zamyślenia wyrwała mnie głos naczelniczki:

- Na dzisiaj to koniec. Możecie udać się do koryt i pamiętajcie, że o tym co tu usłyszeliście nie wolno wam nikomu mówić. To najgłębsza tajemnica ale chyba macie tego świadomość.

Słuchaczki wstały, zamerdały ogonkami i zaczęły pomału opuszczać pomieszczenie. W tym czasie locha podeszła do prymuski i po cichu, tak żeby inne nie usłyszały powiedziała:

- Ty nie wychodź. Pójdiesz ze mną.

Gabinet opustoszał. Pozostały w nim tylko dwie świny i ja. Kiedy ostatnia z wychodzących świń zamknęła za sobą drzwi, locha rzekła do najlepszej uczennicy świńskiej szkoły władzy:

- Chodź – i podeszła do jednego z arrasów zdobiących ścianę. Pociągnawszy za jeden z ozdobnych sznurów arras poruszył się. Okazało się, że ukrywał on tajne przejście. Locha weszła do środka, za nią prymuska no i ja. Byłem bardzo ciekawy dokąd prowadzi to przejście i dlaczego tylko najlepsza uczennica mogła tam się udać. Szliśmy schodami. Świnie na przedzie ja z tyłu. Po chwili pojawiły się kolejne drzwi. Nad nimi także był napis. Kiedy podszedłem bliżej przeczytałem: „USTRÓJ NIEFALSYFIKOWALNY”, a pod nim kolejny napis: „ŚCIŚLE TAJNE”.

Drzwi czwarte.

- Słuchaj – powiedziała locha do uczennicy, gdy stały jeszcze przed drzwiami – Tu nie wolno ci o nic pytać. Będiesz cały czas przysłuchiwać się rozmowie, ale nawet kwiknąć ci nie wolno. Nie możesz też nikomu mówić, że tu byłaś, ani o tym, co usłyszałaś.

- Świniom ze szkoły też? – zapytała.

- Zwłaszcza im. To miejsce jest tajne, a to, co tu usłyszysz ma najwyższą klauzulę tajności.

- Dobrze.

Locha jeszcze przez chwilę uważnie spoglądała na prymuskę, by upewnić się, że ta nie ma żadnych wątpliwości co do charakteru pomieszczenia, do którego zaraz miały wejść. Następnie zapukała do drzwi: „puk, pukpuk, puk, puk, pukpukpuk”. Zorientowałem się, że to był jakiś umówiony kod. Miałem rację. Okazało się, że drzwi nie otworzyły się natychmiast, tylko ktoś od środka odpowiedział podobnym kodem: „pukpukpuk, puk, puk”. Na co locha odpukała: „pukpuk, pukpuk”. Dopiero teraz słychać było charakterystycznych szcęk zamka i zgrzyt rozsuwanych sztab, po czym ktoś otworzył ciężkie, pancerne drzwi. Świnie wraz ze mną weszły do środka. Nie zdążyłem jeszcze ogarnąć całego pomieszczenia, gdy usłyszałem cichy głos prymuski, która szeptała do lochy:

- Tu jest profesor Knurkrwiożerczy i pani od kultury profesor Totalnaświnia. A tam – wskazała dyskretnie w kąt pomieszczenia – siedzi profesor Aleśsiężeświnił, z nim mieliśmy zajęcia z etyki. Obok niego siedzi profesor Linguoświń, który uczy nas języka władzy. W kącie...

- Cii, kwii, kwii – przerwała jej sykkiem locha – Mówiłam, że nie możesz się odzywać ani słowem.

Zebrane w tajnym pokoju świnie zauważyły obecność gości. Trochę poirytowane, że przerwano im rozmowę skarciły stanowczym spojrzeniem przybyszów i wróciły do konwersacji.

- Koleżanki i koledzy – odezwał się nagle jedna ze świń – sukces ORTP i OITP jest tylko połowiczny. Okazało się, że oprócz teorii panowania potrzebujemy także systemu politycznego, który byłby nie do obalenia, który nie tyle wytrzymałby wszelkie rewolucyjne wstrząsy, bo wiemy, że to niemożliwe, ale takiego, który uniemożliwiłby wszelki bunt. Już teraz z trudem radzimy sobie z przypadkami oporu. Coraz więcej świń stadnych przerabiamy na kaszanke, ale to nie powstrzymuje innych. Od lat nad tym zagadnieniem pracujemy. Jednak idzie to nam zbyt wolno i obawiam się, że możemy nie zdążyć. A wówczas koniec z nami.

- Tak, koleżanka Totalnaświnia ma rację – powiedziała inna – Musimy szybko coś wymyślić, bo czas nagli. W świecie zewnętrznym nie pozostało już nic do jedzenia. To tylko kwestia czasu zanim stado zorientuje się, że programowi rozplodu towarzyszy tajny plan sukcesywnej rzezi, by było co jeść. Nie ma co się oszukiwać. Nawet najbardziej racjonalistyczna teoria władzy czy też najbardziej irracjonalistyczna sama nie wystarczy. Przeciwno każdej władzy można się zbuntować. My to wiemy, dowie się o tym za jakiś czas także stado. Potrzebujemy niefalsyfikowalnego ustroju politycznego, o którym przed chwilą wspomniała koleżanka Totalnaświnia. Nie wiem jak wy drogie koleżanki i koledzy, ale ja nie zamierzam skończyć w puszcze jako konserwa.

- Racja, racja! Musimy działać! – przyznały pozostałe, pośród których zapanowało nagle poruszenie.

- Ciągle będę twierdził – odezwała się sędziwy profesor Knurkrwiożerczy – że może nam pomóc historia człowieka. Mamy taki sam problem jak ludzie, a mianowicie nasza władza jest konkretna.

- Pan, drogi kolego, z pana sentymentem do historii człowieka to chyba nam nie pomoże – skrytykowała go Totalnaświnia.

- Przeciwnie – odezwała się naczelniczka, obok której ciągle stałem – Zawsze byłam przekonana i o tym też powtarzam swoim uczennicom, że od człowieka możemy się wiele nauczyć. Sądzę, że powinniśmy pozwolić profesorowi Knurowikrwiożerczemu powiedzieć o swoim pomysle.

- W sumie, to nie mam nic do stracenia – zgodziła się Totalnaświnia – proszę mówić panie kolego.

Knurkrwiożerczy zapalił fajkę. Pierwsze pyknięcie, drugie i trzecie. To znak, że tytoń w fajce zajął się równo i można było bez przeszkód rozpocząć wykład. Poprawił się, by wygodnie w fotelu, po czym powiedział:

- Jedynym możliwym ustrojem, który zagwarantuje nam ciągłość panowania nad stadem jest ustrój demokratyczny.

- Jak to? – wtrącił się nagle profesor Aleśsiężeświnił – Tyle uczę o wartościach i cały czas staram się wybijać swoim uczniom z głowy takie kategorie jak „równość”, „wolność”, by nagle właśnie ustrój demokratyczny miał być magicznym środkiem dla zapewnienia continuum naszej władzy? Pan chyba postradał zmysły! – skwitował.

- Tylko demokracja... – chciał coś odpowiedzieć Knurkrwiożerczy, gdy przerwał mu etyk:

- Ja też znam świetnie historię przedrewolucyjną. Chyba zapomniał kolega o przypadku weimarskim!

- Spokojnie, spokojnie – wtrąciła się naczelniczka – Możecie koledzy się jeszcze tak długo licytować, ale tak to niczego nie wymyślimy. Pozwólmy profesorowi Knurowikrwiożerczemu wypowiedzieć się do końca.

Zdaje się, że jej interwencja odniosła skutek. Świnie uspokoiły się i nastawiły wyłącznie na słuchanie. Nawet profesor etyki, który zdawał się być największym przeciwnikiem adaptacji

pomysłów człowieka dla potrzeb świńskiej rzeczywistości porewolucyjnej postanowił wszelkie krytyczne uwagi zachować na koniec.

- Proszę kontynuować profesorze – powiedziała Totalnaświnia. Knurkrwiozerczy poprawił się jeszcze raz w siedzeniu, pyknął fajkę by dodać sobie animuszu i kontynuował:

- Tak więc, jak już powiedziałem, kluczem do rozwiązania naszych problemów jest demokracja. Tylko ten ustrój, raz wprowadzony, zagwarantuje ciągłość władzy. Tym samym my i nasi następcy będziemy nietykalni, a stado choćby nie wiem jak było rozjuszone, nigdy nie rzuci się na nas w rewolucyjnym szale. Z prostego powodu, bo nas nie będzie!

- Jak to? Mamy zrezygnować z władzy? – zapytała Totalnaświnia, która przyjęła na siebie obowiązek moderatora dyskusji.

- Przeciwnie. Dalej będziemy pławić się w luksusach i przywilejach, jednak dla stada, które będzie pozostawało pod naszymi rządami, będziemy niewidoczni, po prostu dla nich nas nie będzie. Nie trzeba odwoływać się do specjalnych analiz, by stwierdzić, że aby trafić w dziesiątkę na tarczy, to nie tylko dziesiątka musi na tej tarczy być, ale przede wszystkim musi istnieć tarcza, na której ta dziesiątka będzie.

- Co to ma do rzeczy? – wtrącił Aleśsiężeświnił, który nie mógł pohamować swego krytycyzmu wobec wszelkich świńskich koncepcji o rodowodzie antropologicznym.

- No właśnie okazuje się, że ma. Otóż w każdym ustroju politycznym, w którym władza jest konkretna, nieważne czy jako zgromadzenie, instytucja czy może jako jednostka, w sytuacjach rewolucyjnych jest właśnie taką dziesiątką i jednocześnie tarczą strzelniczą, do której można strzelać, dopóki się w nią nie trafi. Co więcej, każda władza konkretna ma to do siebie, że można się przeciwko niej zwrócić. Co innego, gdyby jej nie było. Wówczas nie można wystąpić rewolucyjnie przeciwko czemuś, czego nie ma. W ogóle żadna rewolucja nie będzie miała racji.

- Kolego Knurzekerwiozerczy, co kolega chce nam przez to powiedzieć? – zapytała naczelniczka.

- Tylko i aż tyle, że systemy panowania ORTP i OITP, które wprowadziliśmy na różnych etapach rozwoju stada, są wbrew pozorom zawodne.

- Tego jeszcze nie wiemy – ripostowała – Zgoda, że OITP okazał się być nie doskonały w powszechnym użyciu, ale przecież współczynnik rozwoju zmysłu krytycznego i racjonalizmu w stadzie, został przez nas przewidziany i na czas przygotowaliśmy ORTP. Nie możemy powiedzieć, że ten system jest zawodny, ponieważ póki co, on jeszcze działa i ma się dobrze.

- Koleżanka wie równie dobrze jak ja i wszyscy w tym pokoju, że współczynnik, o którym koleżanka wspomniała zakłada stały procent jednostek aracionalnych w stadzie – odpowiadała cierpliwie Knurkrwiozerczy – Wiemy także, że nie można tego procentu zlikwidować, bo nawet stosując wielokrotne oczyszczenie stada, odsetek głupoty w nim będący jest stały.

- To fakt – odezwała się Totalnaświnia – Wielokrotnie przeprowadzaliśmy akcje oczyszczające i nic. Nawet obowiązek edukacji nic nie wskórał i niewiadomo jak bardzo racjonalna byłaby społeczność stada, to i tak „ilość” głupoty jest w niej stała.

- A to spowoduje – ciągnął Krwiozerczy – że prędzej czy później ta właśnie grupa aracionalna zwróci się przeciwko władzy wyprowadzonej ze zdania elementarnego przy użyciu teorii liczb. „Locha” stanie się przedmiotem ataku.

- Ale każdy buntownik w ramach ORTP uznany zostanie za głupca! – próbowała bronić tezy o nienaruszalności panowania w systemie racjonalistycznym naczelniczka.

- Głupcom to nie będzie przeszkadzało – skwitował sarkastycznie Aleśsiężeświnił, który nagle wtrącił się do dyskusji i dodał:

- Niestety, tu muszę koledze Krwiozerczemu przyznać rację. Bunt polityczny jest możliwy, gdy można się zbuntować pozytywnie, to znaczy zbuntować się przeciwko czemuś. Jeżeli mowa o buncie w ramach stada pod panowaniem naszej władzy, to jasne jest, że będzie on skierowany przeciwko nam jako władzy. Nie będzie inaczej. I nie należy wierzyć w to, że

pomoże kolejna matematyczna eksplikacja. Żaden z głupców-rewolucjonistów, atakujących superracjonalistyczną władzę nigdy wszak nie uwierzył w racjonalność matematyki. Gdyby było inaczej nigdy nie zbuntowałby się, co właśnie uczynił. Nadejdzcie kłęska, nie ma co się oszukiwać.

- Kolego Aleśsiężeświń! fatalizm nam nie pomoże, musimy szukać rozwiązania – powiedziała stanowczym tonem Totalnaświnia – Profesorze Knurkrwiożerczy, proszę mówić dalej.

- Nadchodzi burza i tu zgadzam się z moim największym krytykiem – powiedział Knurkrwiożerczy spoglądając na oponenta – Jednak nie podzielam jego fatalizmu. Tak jak wspomniałem jedynym wyjściem jest rozmycie władzy, a kluczem do tego ma być demokracja. Żeby nie przeciągać powiem krótko na czym polega mój pomysł. Po pierwsze: musimy ogłosić stado, że władza należy do wszystkich świń. Po drugie: musimy wprowadzić instytucje demokratyczne jak wybory, głosowanie, ale tak, by to władza decydowała o ich specyfice. Innymi słowy, to władza ma określać jak będą odbywały się wybory, jak będzie wyglądało głosowanie i co ile lat stado ma głosować. Po trzecie: musimy dokonać zmiany w systemie wartości. I tu jest wielkie pole do popisu dla kolegi Aleśsiężeświń – powiedział patrząc tylko na swego krytyka:

- Musi kolega powrócić do systemu wolnościowego. Wiem, że to będzie trudne, że tyle lat naucza kolega o przewadze partykularyzmu i egoizmu świńskiego nad wszelkiego rodzaju altruizmami. Jednak aby plan się powiódł będzie kolega zmuszony do przewartościowania etyki. Wspomniał kolega o tak zwanym przypadku weimarskim. Obaj wiemy, dlaczego demokracja weimarska przerodziła się w tyranie. Powód był prosty: żaden z ludzi w nią nie uwierzył, bo obowiązywały dawne wartości etyczne, a te demokratyczne nie zdążyły się wytworzyć. Ale o tym jeszcze za chwilę podyskutujemy.

Po czwarte – tym razem zwrócił się do profesor Totalnejświni – należy wprowadzić podobne zmiany w nauce kultury. Wprowadzić pewne ograniczenia jak zakaz dłubania w nosie, zakaz puszczania gazów, przedstawiając to jako coś skrajnie niekulturalnego. Zdaje sobie z tego sprawę, że do tej pory koleżanka opowiadała o tym, jako o najwyższych cnotach kultury świńskiej, ale takie zredefiniowanie jest konieczne. I na koniec pozostaje kwestia języka nowej, demokratycznej władzy. Kolega Linguoświń musi także dokonać zmian w programie nauczania. Na miejsce pojęć jak: „rozkaz”, „wykonać”, „wiem”, „ja-ty” czy „bez dyskusji” należy wprowadzić odpowiednio: „proszę”, „zalecam”, „mam wrażenie/jestem przekonany”, „moje-twoje” i „kompromis”. W ogóle, musimy o tym dokładnie jeszcze porozmawiać szanowny kolego.

- Hmmm – stęknął profesor Linguoświń. Zważywszy, że był on specjalistą o języka władzy, to jego reakcja na sugestię, była niebywale ascetyczna, co mogło świadczyć o jego braku przekonania dla tego pomysłu. Knurkrwiożerczy kontynuował:

- Kiedy uda nam się zrealizować te punkty, gdy wprowadzimy demokrację, to gwarantuję wam, że jako władza zawsze będziemy poza zasięgiem stada. Nic nam nie będzie w stanie zagrozić – podsumował.

W pokoju zapanowała cisza. Wszystkie świny starały sobie poukładać jakoś w głowach to, o czym przed chwilą usłyszały. Ja też byłem trochę zdziwiony recepturą Knurkrwiożerczego na ustrój nie do obalenia. Orientowałem się trochę w historii świata i wiedziałem, że gdyby to była tak idealna forma sprawowania władzy, to przecież taka demokracja ateńska nigdy by nie upadała. A jednak stało się przeciwnie. Co więcej, ten przypadek weimarski, o którym wspominał Knurkrwiożerczy z profesorem etyki też był mi znany. Oczami wyobraźni ujrzałem maszerujące formacje brunatnych koszul, które traktują każdy rodzaj swobody, nie wspominając już o innych cnotach demokratycznych. „Kurwa! Ale ja w tym śnie jestem mądry?” – pomyślałem – „Skąd ja to wszystko wiem? Przecież normalnie, na jawie, to ja

skończony głupek jestem, a tu wiem nawet co to jest ten przypadek weimarski!”. Z autozdziwienia wyrwał mnie głos moderatorki tajnego spotkania:

- No dobrze. Załóżmy, że przystaniemy na propozycje kolegi, że przewartościmy wartości i kulturę, że wprowadzimy instytucje demokratyczne i ogłosimy nastanie demokracji...

- Oh! Pardon, zapomniałem dodać, że nie możemy stada mówić o demokracji, ale o świniokracji – wtrącił Knurkrwiożerczy.

- Oczywiście, oczywiście profesorze. Jednak cały czas zadaje sobie pytanie, które pewnie nurtuje też innych tu zgromadzonych, a mianowicie: co to da?

- To bardzo proste – odpowiedział – Wyobraźcie sobie, że narzucamy stadu nowy system wartości, w którym najważniejszą są wolność i równość. Każda ze świń uzyskuje przez to świadomość wolności, czuje się wolną swinia. Oczywiście nie wspominamy o tym, że wolność ma swoje konsekwencje, że za wszelkie niedole czy niedogodności, które ją spotkają będzie odpowiedzialna tylko ona sama, że nie będzie mogła zrzucić odpowiedzialności na kogoś innego, zwłaszcza na nas jako władzę. A nawet, gdyby chciała zwalić winę, to co się okazuje? Okazuje się, że władza została przez nią samą wybrana. Zatem jeżeli ma jakiegokolwiek pretensje, to może je mieć tylko do siebie samej. Oczywiście w takim przypadku może taka świnia twierdzić: „Ale ja nie byłam głosować! Nie wybrałam tej władzy! To nie moja władza, zatem zbuntuję się!”. Ale i wówczas okaże się, że jej pretensje oraz zwrot wektora buntu zwrócone będą nie przeciwko nam, ale przeciw innym swiniom w stadzie, wszak to stado demokratycznie wybrało władzę. Tak czy siak, będziemy czysti. Kategoria „równości” jest tak samo ważna jak kategoria „wolności”. Ona sprawia, że każda świnia czuje się równa każdej innej, a także równa władzy...

- No to mamy rewolucję na mocy zasady $A \sim \sim A$ – wtrąciła naczelniczka.

- O nie droga koleżanko – uśmiechnął się – tu równość jest tylko złudna.

- Jak to złudna? – zdziwiła się locha – Mamy powiedzieć nagle swiniom ze stada, że owszem są nam równe, że te głodne i chore równe są tym spasionym i zdrowym ale to tylko pozór, bo nie są?

- Nie, nie – uspokajał – o tym nie powiemy, o tym będziemy wiedzieli tylko my.

- Sądzę, że stado się na to nie nabierze. Co więcej uważam, że wprowadzenie równości, będzie oznaczało nasz koniec i koniec całej dotychczasowej struktury stada.

- To niech koleżanka sobie wyobrazi taką sytuację. Ogłaszamy, że każda świnia ze stada, nieważne czy chora, czy głodna, czy z dobrego, czy może z miotu obciążonego genetycznie, jest równa. Mówimy: „Jesteśmy równe, tak jest i koniec”. Jednak jest wielka różnica między tym co jest a tym, co być powinno...

- Tak, znana przepaść z okresu przedrewolucyjnego między Sein i Sollen – wtrącił się etyk.

- Właśnie, ten sam mechanizm. W stadzie pojawi się świadomość równości, lecz tylko świadomość i nic innego. Faktycznie zaś na płaszczyźnie tego co jest, pozostanie nienaruszony stan faktyczny, w którym będziemy my jako władza, będą tłuste i grube świnie i biedne oraz wychudzone. Co więcej, nikt nie zarzuci nam panującym, że dbamy tylko o własne przywileje. „Przecież my głosimy równość” – odpowiemy. Ba! My będziemy tymi, którzy równość wprowadzili.

- No tak, to ma swój sens – odpowiedzieli zgodnie wszyscy uczestnicy tajnego spotkania.

- Nie tylko ma sens ale zauważcie także, jak skuteczne będzie działanie tego hasła równości jeżeli chodzi o relację stado-my, kiedy na każdym kroku będziemy powtarzać: jesteśmy równi! Każda świnia w stadzie będzie widziała w nas innego członka stada, a my będziemy nieustannie zapewniać wszystkie świnie, że one także mogą stać się jednymi z nas, bo przecież nie ma między nimi a nami żadnej różnicy, jesteśmy równe...

- Toż to czyste samobójstwo! – krzyknęła Totalnaświnia – Po zniesieniu różnicy nic nie powstrzyma stada przed obaleniem nas.

- Droga koleżanko, a jak koleżanka myśli, po co są instytucje demokratyczne, o których wspominałem przed chwilą? To właśnie coś takiego jak „wybory” uchroni nas od odsunięcia od najlepszych miejsc przy korycie.

- Jak to wybory?

- Demokracja... pardon, chciałem powiedzieć świniokracja a precyzyjniej rzecz ujmując: „stadokracja”, ma sens wówczas kiedy władza będzie pochodziła z wyboru powszechnego. Jednak nie każda świnia ze stada będzie mogła zostać wybrana. Wprowadzimy takie bowiem kryterium: „Tylko ten świński kandydat może stanąć do wyścigu o najlepsze miejsce przy korycie, który zdobędzie minimum trzydzieści tysięcy głosów poparcia”. Tu nie chodzi o pięć, dziesięć, czy nawet pięćdziesiąt głosów, ale o trzydzieści tysięcy. Jaka taka zwykła świnia, choćby nie wiem jak dobra, jak szlachetna, może zebrać tyle podpisów? To jest niemożliwe. Takie przedsięwzięcie wymaga struktur, wymaga organizacji, w pojedynkę jest to nie do zrobienia. Zatem w dalszym ciągu pozostaniemy poza zasięgiem stada, chociaż formalnie damy każdej świni możliwość, bycia jedną z nas. Ale tu znowu jest to, o czym wspominał kolega Aleśsiężeświnił, a mianowicie przedrewolucyjna różnica między Sein i Sollen.

- No to powstaną takie struktury i nas wykończą – wtrąciła się locha.

- A niech powstają! – podniesionym głosem powiedział Knurkrwiożerczy – Mają powstawać i to jak najwięcej. Dlatego między innymi wprowadzamy wolność. Pamiętajcie im więcej takich struktur, partii tym lepiej dla nas. Pluralizm, moje drogie świni, pluralizm!

- A jak my sobie poradzimy z konkurencją? Przecież konkurencja zmieni się natychmiast w opozycję – zapytał profesor Aleśsiężeświnił.

- O to chodzi! Jak myślicie, jak długo jeszcze pociągnie nasz wilk? Ile jeszcze będziemy mogli nim straszyć stado, obwożąc go dwa razy w roku, tak żeby go wszyscy widzieli? On jest tak groteskowy, że trudno nim małe prosiaki wystraszyć. A wiecie przecież, że każda władza potrzebuje opozycji. To po pierwsze. A po drugie, pamiętajcie, że każda struktura partyjna degeneruje swoje elementy. Każda forma świńskiego idealizmu, pragnienie zmiany na lepsze natychmiast ginie, gdy taka świnia wchodzi w ramy struktur partyjnych. Żeby dostać się na listy kandydatów, będzie musiała stać się superegoistyczną świnia. Każde marzenie o lepszym porządku, o idealnym stadzie zastąpione zostanie partykularnym interesem, oszustwem, podstępem. Dlatego nie ma żadnych podstaw, by obawiać się, że za dwa może trzy lata między nami zasiądzie świnia, domagająca się zmian na lepsze. Każdy w tym pomieszczeniu, jeszcze przed tym zanim do niego wejdzie jest już taki sam jak my.

„Ma rację!” – pomyślałem w duchu, bo przypomniało mi się to, co zobaczyłem w notatkach świńskiej prymuski. On zaś kontynuował:

- Zwróćcie uwagę, że wartości, które będą obowiązywały w stadzie, czyli wolność i równość, nijak mają się do tego, co dzieć się będzie w strukturach partyjnych. Już samo pojęcie struktury wyklucza równość jej elementów. Wysoce utopijnym, prawie takim jak przesłanka całościowej racjonalizacji jako podstawy ORTP, jest założenie, że znajdzie się taki system, w którym każdy jego element będzie równy. Tak jak powiedziałem wcześniej, tam gdzie stawka idzie o władzę i panowanie, automatycznie pojawia się hierarchia, a gdzie jest hierarchia tam z definicji istnieją elementy wyróżnione. A stąd już krótka droga do demoralizacji, która na pewno nastąpi w strukturach wszystkich partii. Każda ze świń zostanie „złamana” i jeżeli nawet dopcha się wyżej w tej hierarchii, to wszystkie dawne idee będzie traktowała jako złudzenia z okresu prosięcego. Co więcej, nie będzie ona tolerowała możliwości awansu jej następców, bez uprzedniego „złamania”. Zadziałała zasada: „Ja się zeświniłam kompletnie, ty musisz się także ześwinić, dlaczego ty masz mieć lepiej niż ja?”

- No tak, no tak, kwii, kwii – rozległo się wśród świń. Profesor Aleśsiężeświnił, specjalista od etyki, przedstawił kolejną wątpliwość:

- Wszystko ładnie i pięknie drogi kolego, ale obawiam się, że niedocenia kolega siły oddziaływania tych wartości, które każe mi kolega reanimować. Znowu odwołam się do historii przedrewolucyjnej i może przypomnę, że to zbuntowani ludzie z hasłami wolności i równości na ustach obalali kolejne rządy. Po co więc mamy dawać stadu broń, która je zjednoczy przeciwko nam?

- Ma kolega rację – przyznał Knurkrwiożerczy – To prawda, że pragnienie wolności i równości w historii człowieka przyczyniało się do kolejnych zmian władzy, do rewolucyjnych zrywów przeciwko tyranii. Wiem o tym doskonale i zdaje się wszyscy tu zebrani zdają sobie z tego sprawę. Lecz ja znalazłem na to sposób, o którym opowiadam od samego początku. Jest to demokracja. Jedyną siłą, która może sprzeciwić się wolności i równości stada, jest demokracja. Wolność formalna przeciwko wolności materialnej, albo inaczej, mniej oficjalnie: wolność idealna, fikcyjna przeciwko pragnieniu wolności prawdziwej.

- Toż to nonsens. Jeżeli mam dokonać rewizji systemu wartości, w tym pojęcia wolności, to na pewno prędzej czy później jakaś świnią mnie zapyta: „Profesorze, ale przecież pan uczy o dwóch rodzajach wolności. Skoro przyjmujemy, że wolność jako wartość jest jedna, to w takim razie to drugie, o czym profesor uczy nie jest wolnością albo to pierwsze”

- Kolego Aleśsięższwinił, wystarczy w takich sytuacjach powiedzieć, że: wolność bez granic, to dowolność. Wówczas sprytnie przemyci kolega do pojęcia wolności kategorię odpowiedzialności oraz granicy. Nikt się nie zorientuje. Każda świnią w stadzie będzie uważała po jakimś czasie, że wolność musi mieć granicę. Żadna nie zauważy tego paradoksu. To tylko kwestia edukacji – skwitował Knurkrwiożerczy.

Wśród słuchaczy zapadła cisza. Wszystkie świnię się zamyśliły. Zauważyłem, że mimo uprzedniej niechęci nawet krytycy koncepcji Knurkrwiożerczego, teraz byli skłonni poddać pomysł do dyskusji. Po chwili odezwał się nauczyciel języka władzy, profesor Linguoświń:

- Dobrze kolego, wydaje mi się, że rozumiem koncepcję, tylko ciągle nie wiem, dlaczego miałbym dokonać tak głębokich zmian w swoim programie nauczania. Po co potrzebne to przewartościowanie na poziomie językowym?

- Z dwóch ważnych powodów. Po pierwsze, każdy nowy ustrój potrzebuje nowego języka, nowych kategorii. W przeciwnym razie jego „nowość” nie będzie taka wyraźna, jakbyśmy sobie tego życzyli. Po drugie, niech kolega zwróci uwagę, że zmiana, którą zaproponowałem nie obejmuje całego słownika, ale kilku pojęć. Z tych najważniejszych, pozwoli kolega, że wymienię to: „konsensus”, „mniemam iż” „mam wrażenie, że”, „my-wy”, „jestem przekonany”.

- No właśnie, dlaczego miałbym szczególnie nacisk położyć na te terminy? – dopytywał Linguoświń.

- Niech kolega nie zadaje pytań, tylko robi – wtrąciła się Totalnaświnią.

- Ależ przeciwnie. Niech pyta, chciałbym to wyjaśnić, żeby wszystko stało się jasne. Żeby żaden z was nie zawiódł, gdy nadejdzie pora działania. Od odpowiedniego dogrania wszystkich elementów planu, zależy jego powodzenie. Także i tobie droga koleżanko – zwrócił się Knurkrwiożerczy do moderatorki – będę chciał wyjaśnić co chcę osiągnąć poprzez wprowadzenie tak radykalnych obostrzeń i zmian w zakresie kulturalny. Ale to za chwilę. Wróćmy do pytania o nowy język.

- No właśnie – powiedział Linguoświń – Niech kolega mi objaśni sens tego pierwszego pojęcia.

- Hmmmm... konsensus. Taaa, kwi, kwi, to bardzo ważne słowo...

- Ale może kolega by nam wszystkim wyjaśnił, co ono oznacza – przerwała naczelniczka.

- Porozumienie – odpowiedział zdawkowo profesor etyki, uprzedzając Knurkrwiożerczego.

- No właśnie, jednak z małym zastrzeżeniem - potwierdził Knurkrwiożerczy – Słowo konsensus, chociaż oznacza formalnie pewne porozumienie czy też zgodę, ma tę właściwość,

że bardzo ładnie brzmi. Proponuję kolegom i koleżankom mały eksperyment. Proszę abyście powtórzyli głośno za mną K O N S E N S U S.

- K O N S E N S U S – wyrecytował świński chórek.

- A teraz powtórzcie P O R O Z U M I E N I E

Świnie i tym razem posłusznie wykonały polecenie.

- A teraz powiedzcie, które słowo bardziej wam się podoba?

- Hmm... mi to pierwsze – odpowiedziała Totalnaświnia.

- Mi też – odezwał się etyk

- I mi – dodała locha.

- A dlaczego wam się „konsensus” bardziej podoba niż „porozumienie”? – dociekał Knurkrwiożerczy.

- Bo ładniej brzmi.

- Bo jest takie mądre.

- Bo jest takie uczone!

Padły kolejne odpowiedzi, w tym czasie na mordzie Knurkrwiożerczego pojawił się grymas zadowolenia. Kiedy zebrane towarzystwo zaczynało dyskutować na temat konsensusu odmieniając to pojęcie przez wszystkie przypadki, Knurkrwiożerczy wtrącił się nagle:

- Widzicie jak dalsie się porwać jednemu słowu? Czy myślicie, że stado zdoła się oprzeć aurze konsensusu?

- No nie, nie, kwii – odparły zgodnie.

- Ale tu nie chodzi tylko o to, że to słowo ładniej brzmi niż zgoda czy porozumienie. Tu przede wszystkim idzie o jego naukowość, co przed chwilą zauważyliście. Każdy kto będzie używał mądrych słów, będzie postrzegany przez stado jako mądry. Uczone i mądre słowo „konsensus” powtarzane przez władzę wielokrotnie i przy byle okazji sprawi, że w oczach stada władza czyli my będziemy uchodzili za mądrych, za uczonych, za lepszych...

- Ho, ho kolego Knurkrwiożerczy, czy aby owa „lepszość” nie stoi w sprzeczności z stadokratyczną zasadą równości, o której tu kolega przed chwilą opowiadał? – zagadnął Aleśiężeświnił.

- Sprzeczność jest tu tylko pozorna. Pojęcia „konsensus”, zresztą jak wszystkich innych terminów języka władzy nie zastrzeżemy dla siebie. Zatem należy się spodziewać, że język władzy, w tym i słowo „konsensus” przeniknie do języka stada.

- A czy to nie będzie dla nas niebezpieczne? – wtrąciła Totalnaświnia.

- Nie! Przeciwnie! – odpowiedział stanowczo Knurkrwiożerczy – Zwróćcie uwagę moi drodzy, że jeżeli chodzi o „konsensus” używany w języku stada, to mamy do czynienia nie ze słowem oznaczającym jakiś sprzeciw czy bunt, ale właśnie zgodę, porozumienie. I o to nam chodzi. Stado ma się godzić, ma się porozumiewać z władzą a nie przeciwko niej występować.

- Sprytnie – powiedziała z nieukrywaniem podziwem naczelniczka.

- Tu muszę przyznać koledze rację – powiedział po chwili namysłu specjalista od języka władzy profesor Linguoświń i zaciekawiony kolejnymi interpretacjami zapytał:

- A co z tym „mniemam, iż” lub „jestem przekonany, że”?

- Kolega pozwoli, że oddam głos naczelnicze – odparł Knurkrwiożerczy – jako specjalistce od matematyki i logiki, żeby wytłumaczyła koledze i nam jaki jest status prawdziwościowy „mniemań” oraz „przekonań”.

Locha, na której skupiła się w tej chwili uwaga wszystkich uczestników spotkania, odchrząknęła i powiedziała:

- Wartość logiczna tych pojęć jest nierozstrzygnięta. „Mniemanie” w odróżnieniu od wiedzy, może być albo prawdziwe albo fałszywe. Rzecz ma się podobnie jeżeli chodzi o „przekonanie”, ono też może być albo prawdziwe albo fałszywe.

- Dziękuję – powiedział Knurkrwiożerczy – Widzicie teraz o co chodzi. Wprowadzając do słownika władzy: „mniemam, iż”, oraz „jestem przekonany, że”, sprawimy, że pozostaniemy poza zasięgiem krytyki opozycji, oraz stada. Wyobraźcie sobie taką sytuację. Wychodzę przed stado i ogłaszam: „Jestem przekonany, że najlepszym sposobem wyjścia z kryzysu jest X”. Tu w miejsce „X” można wstawić dowolny pomysł. Po jakimś czasie, okazuje się, że nasz „X” wcale nie poprawił sytuacji, co więcej okazał się być fatalny w skutkach. Pojawiają się krytycy z opozycji, którzy próbują przekonać stado, że nasze koncepcje „X”, są złe. Wówczas my nie zwracamy się bezpośrednio do stada, lecz tylko do krytyków z opozycji odpowiadamy: „Ale nigdy nie uważaliśmy, że X jest jedynym prawdziwym rozwiązaniem. My tylko byliśmy przekonani, co do tego, a przekonania przecież mogą być mylne”. Stado oczywiście przygląda się uważnie owej dyskusji, ale pozostaje całkowicie skołowaciałe. Nie ma bowiem błędnego pojęcia o wartości prawdziwościowej. Natomiast opozycja, która zna przecież język władzy, zna prawa logiki będzie musiała przyznać nam rację. Tak czy siak nasze „X” pozostanie poza wszelką krytyką. Przecież wątpliwość jako alternatywa zawarta jest w „przekonaniu” czy też „mniemaniu”. Inaczej by było, gdybyśmy pozostali przy starym pojęciu „wiem”, które skazywałoby na prawdziwość każde z naszych iksów. Każdy ustrój w epoce przedrewolucyjnej, w którym władza zastrzegła prawdziwość swych decyzji upadał. Tu nie trzeba jakiś specjalnych przykładów, wystarczy sama logika. Niech „A” oznacza dowolną władzę, „X” jej dowolną prawdziwą decyzję – czyli „X (1)”, a „Z” niech będzie jakimś problemem społeczno-politycznym, który wymaga rozwiązania. Otrzymujemy coś takiego – profesor Krwiożerczy podszedł do tablicy wiszącej na jednej ze ścian i kredą i zaczął rysować:

$A \rightarrow Z$, czyli władza spotyka się z jakimś problemem. Władza musi go rozwiązać, bo tego oczekują wszyscy poddani panowaniu władzy. Władza podejmuje decyzję, czyli

$A \rightarrow X$, dodatkowo władza przedstawia swoje decyzje jako prawdziwe, komunikując się z opozycją i stadem przy użyciu czasownika „wiemy”. Czyli, jak wcześniej powiedziałem:
X (1)

Jednak okazuje się, że owa decyzja nie rozwiązuje danego problemu „Z”:

$Z \neq X (1)$

I co się dzieje w takiej sytuacji? – zapytał Knurkrwiożerczy odwracając się od tablicy do świńskich słuchaczy. Uczestnicy spotkania zamyśliли się. Po chwili odezwała się lochanaczelniczka:

- Wniosek może być tylko jeden, że ta decyzja nie była zła, czyli że $X = 0$, co w konsekwencji oznacza, że władza się myli, że $Z \rightarrow X (0)$

- Dobrze. A teraz weźmy sytuację trochę inną – powiedział Knurkrwiożerczy odwracając się ponownie do tablicy – Wprowadźmy do języka władzy zamiast „wiem” słowo „jestem przekonany”. I znowu niech „Z” oznacza jakiś problem społeczno-polityczny. Wówczas ogłaszamy: „Jesteśmy przekonani, że X rozwiąże problem Z”. Jako, że status prawdziwościowy „przekonań” jest nierozstrzygnięty, to wartość X nie jest już 1, lecz jednocześnie ‘1/0’. Czyli analogicznie jak powyżej:

$A \rightarrow Z$; $A \rightarrow X (1/0)$; $X (0/1) \rightarrow Z$. I teraz najważniejsze, kiedy $Z = X$, to dobrze, bo problem został rozwiązany, kiedy jednak $Z \neq X$, to jesteśmy poza krytyką, bo przecież byliśmy tylko przekonani, że X był właściwym pomysłem, by rozwiązać problem. Od początku jako władza zakładaliśmy, że X może być złym wyjściem, ponieważ nasz X zawierał w sobie owo „0”. Zatem jak widzicie – powiedział Knurkrwiożerczy, odwracając się do świń – władza, która używa w swoim języku „mniemań” czy „przekonań” jest nieomylna w swoich decyzjach. Jeżeli chcemy by nasze X były prawdziwe, musimy unikać prawdziwości na poziomie logicznym.

- Genialne – powiedziała naczelniczka kolejny raz studiując zapis formalny na tablicy – Genialne, wszystko się rozmywa...
- Tak, rozmywa się. Na tym polega sukces stadokratycznej władzy rozmytej.
- Ten pomysł kolegi – dodał Aleśsiężeświnił – zaczyna nabierać sensu. Najpierw rozmycie instytucjonalne, uniemożliwiające ewentualny bunt. Teraz ten numer z przekonaniem. No, no, kto by pomyślał – skwitował z podziwem. Profesor Linguoświń, który do tej pory uważnie notował każde słowo z dyskusji, poprosił:
- Kolego Knurkrwiożerczy, mam małą prośbę. Widzę, że kolega sobie wszystko wcześniej przemyślał, zatem czy mógłby kolega uzasadnić wprowadzenie do słownika władzy zaimków „my-wy/nasze-wasze” na miejsce obecnych „ja-on/moje-twoje”.
- Tu też prawdopodobnie chodzi o owo rozmycie – wtrąciła się locha, spoglądając na Knurkrwiożerczego. Ten skinął łbem i odparł:
- Tak, koleżanka ma rację, ale tu w ustroju stadokratycznym użycie liczby mnogiej ma także inny sens. To prawda, że ewentualna krytyka władzy, która przedstawia się jako „my” będzie bardzo trudna, żeby nie powiedzieć, że niemożliwa. Bowiem każda krytyka musi mieć konkretny przedmiot, w tym przypadku władza musiałaby przedstawiać się jako „ja”. Przy czym stado nigdy nie zorientuje się, że takie coś jak „my” czy „wy” nie istnieje. Ale o wiele ważniejszy jest podział, który powstanie natychmiast w ramach stada po wprowadzeniu zaimków „my-wy”.
- Jak to? – wtrąciła się Totalnaświnia – Że niby nie istnieje ani „my”, ani „wy”? Jak to możliwe?
- A co to jest „my”, czy koleżanka mogłaby określić zakres owego „my”?
- Na przykład „my”, to są wszystkie świny zgromadzone w tym tajnym pomieszczeniu.
- No dobrze, weźmy ten przykład – zgodził się Knurkrwiożerczy i zapytał:
- Czy mogłaby koleżanka policzyć wszystkie zebrane tu świny?
- Jest nas pięć, wliczając tę, którą przyprowadziła koleżanka naczelniczka, to sześć.
- No dobrze, zatem w skład owego „my” będzie wchodziło sześć świń. Tak?
- Tak.
- Zawsze uważałem, że najlepiej pewne zagadnienia przedstawiać formalnie - powiedział Knurkrwiożerczy i ponownie odwrócił się do tablicy, wybrał największy kawałek kredy i zaczął pisać:
- Niech „my” oznacza zbiór wszystkich świń w tym pomieszczeniu, czyli: „my” = [Knurkrwiożerczy, Aleśsiężeświnił, naczelniczka, Totalnaświnia, Linguoświń, prymuska]
- Właśnie! Czyli to „my” jednak istnieje! – przerwała Totalnaświnia.
- Przeciwnie – odparł – Zapiszmy to jeszcze inaczej: $6 = (1, 1, 1, 1, 1, 1)$.
- I co to zmienia? – zapytała.
- Proszę uważać teraz. Weźmy pierwszy element i zadajmy pytanie: czy $1 = 6$, czyli czy ja, Knurkrwiożerczy to ‘my’?
- Totalna świnia zastanowiła się chwilę i z trochę niepewnie odpowiedziała:
- No, nie.
- Właśnie, czyli ‘1’ jako Knurkrwiożerczy, to nie ‘6’, czyli nie ‘my’.
- Tak.
- Idźmy dalej. Weźmy kolejny element ze zbioru, kolejne ‘1’, którym jest profesor etyki. Zadajmy podobne pytanie: czy kolega Aleśsiężeświnił to ‘my’?
- Też nie.
- Dobrze. Zaręczam, że w każdym kolejnym przypadku, okaże się, że żaden z elementów owego zbioru nie będzie równy ‘my’. Skoro tak, to wniosek może być tylko jeden: istnieje zawsze konkretny Knurkrwiożerczy, Aleśsiężeświnił, naczelniczka jej uczennica i ty, droga koleżanko. ‘My’ zaś jest całkowicie fikcyjne. Istnieje tylko w rzeczywistości formalnej,

jako ten zapis na tablicy, jednak gdy chodzi o rzeczywistość materialną, czyli tu, choćby w naszym pomieszczeniu, 'my' nie oznacza nic. Powiem dowcipniej: nas tu nie ma.

- He, he, kwii, kwii, chrum, chrum, he, he – rozległo się wśród zgromadzonych świń. Totalnaświnia nie podzielała tego optymizmu. Ciągle miała wątpliwości, co do skuteczności działania zaimka 'my'. Zapytała:

- No dobrze, załóżmy, że ma kolega rację. Ale co mam na przykład odpowiedzieć rozjuszonemu stadu, kiedy pojawią się takie oto głosy: „To twoja wina, że jesteśmy głodne!”? Pytanie o praktyczne oddziaływanie zaimków liczby mnogiej zainteresowało wszystkich. Knurkrwiożerczy, który przemyślał dokładnie swój plan wprowadzenia nieobalalnego ustroju stadokratycznego, spokojnie odpowiedział:

- W takiej sytuacji koleżanka po prostu odpowie: „To nie moja wina, że jesteście głodne. To oni się do tego przyczynili”. I stado będzie gorączkowo poszukiwało owych 'onych', lecz my wiemy doskonale, że tych 'onych' nigdy nie znajdzie.

- Aha, więc o to chodzi... – westchnęła Totalnaświnia. Ta odpowiedź rozwiązała wszystkie jej wątpliwości. Knurkrwiożerczy wyraźnie usatysfakcjonowany, że tak łatwo zdołał przekonać Totalnaświnie, która nigdy nie należała do zwolenniczek adaptacji pomysłów z epoki przedrewolucyjnej do świńskiej rzeczywistości, odłożył kredę i powrócił na swoje miejsce w fotelu. Przypalił ponownie fajkę, która zdażyła zgasnąć. Pyknął dwa razy. W powietrze wzbily się kłęby dymu o wyraźnym zapachu wanilii, założył golonkę na golonkę i powiedział do zebranych:

- Ale wprowadzenie zaimków liczby mnogiej w stadokracji ma także inne, ośmielałam się twierdzić, że bardziej istotne z naszego punktu widzenia znaczenie.

- Jakie? Jakie? – zapytały świnię.

- To prawda, że 'my' jako władza będziemy poza zasięgiem gniewu stada. Ale o wiele ważniejsze jeżeli chodzi o technikę panowania, jest kategoria 'oni'. Za każde nasze niepowodzenie będziemy winą obarczać 'onych'. 'ONI' będą przez nas i dla nas stworzonym wrogiem, którego będzie bało się i nienawidziło całe stado. Cała uwaga rozgniewanego stada skoncentrowana będzie nie na nas jako władzy, lecz na tych 'onych'. 'My' będziemy dobrzy, będziemy sojusznikami stada w walce z tym wrogiem i co najważniejsze, to my będziemy decydować, kto należy do owych 'onych'. Będziemy nieustannie dokarmiać tego wroga. 'Oni' będą rośli i rośli, a stado będzie musiało się podporządkować naszym decyzjom w walce przeciwko owemu demonowi. Czy to nie jest fantastyczne?

- Brawo, brawo! – zawołały świnię, tylko profesor Linguoświń, który do tej pory uważnie notował, teraz podniósł łeb, poprawił okulary i powiedział:

- Drogi kolego, mam pewną wątpliwość wręcz obawę związaną z wprowadzeniem zaimków liczby mnogiej do języka władzy. Kolega, jako historyk wie, że w epoce przedrewolucyjnej język władzy z czasem stawał się językiem społeczeństwa. Czy zdaje sobie kolega sprawę, co się stanie, gdy w ramach stada pojawi się rozróżnienie „my-oni”? Wówczas stado zwróci się przeciwko sobie, stając się jednocześnie „my” i „oni”. Podzielona wewnętrznie do tej pory jednolita masa zacznie sama siebie zwalczać. Wybuchnie coś w rodzaju wojny chlewnej. Świnię wystąpią przeciwko świnią.

- Oczywiście, ma kolega rację – powiedział Knurkrwiożerczy – Istnieje takie niebezpieczeństwo, że ów nieistniejący przecież demon 'ONI', którego my stworzymy przedostanie się do sfery stada i tam zacznie się ukonkretniać. Że jedne świnię będą obarczały inne konkretne świnię za wszystkie negatywne konsekwencje swoich własnych wyborów, czy naszych złych decyzji, co może doprowadzić do chaotycznej rzezi. Kiedy jednak pojawi się taka sytuacja, uspokoiemy rządne krwi owych 'onych' stado.

- Ale jak? – dociekał Linguoświń.

- Powiemy im prawdę.

- Co? Co? Kwi, kwi, kwi – rozległo się wśród słuchaczy.

- Powiemy stado prawdę. Powiemy, że 'oni', czyli ci, przeciwko kierują w tej chwili swój gniew i agresję, nie istnieją. Że to fikcja po to, by skłócić wewnątrz stado...
- Kolega oszalał!! – krzyknął poirytowany profesor Aleśsięszewiń – Kiedy się przyznamy, będzie już po nas, stado nam tego nie daruje.
- Ależ skąd – spokojnie odpowiedział Knurkrwiożerczy – Powiemy stado, że to 'oni' stworzyli nieistniejących 'onych'. Że to 'oni' są wszystkiemu winni i w dalszym ciągu będziemy czysti, bez żadnej winy.
- Stado uwierzy? – zapytała naczelniczka.
- We wszystko, moi drodzy, stado uwierzy we wszystko.

Wśród uczestników tajnego spotkania zaległa cisza. Wydawało się, że wierzchuszka świńskiej władzy, może za wyjątkiem Knurkrwiożerczego, trochę zważyła w domniemany sukces stadokracji, jako ustroju nefalsyfikowalnego, który pozwoli im bez przeszkód panować nad stadem. Stałem i uważnie obserwowałem reakcję zebranych świń. Krwiożerczy wrócił do rytuału pykania fajki i tylko on był spokojny. Na ryjach pozostałych pojawiły się grymasy. Nie były zadowolone. Knurkrwiożerczy także dokładnie studiował reakcje słuchaczy i podobnie jak ja, także i on dostrzegł wypisaną na mordach wątpliwość. Pykną fajkę jeszcze raz, po czym powiedział:

- Niepotrzebnie martwicie się o utratę swoich łbów, zupełnie niepotrzebnie – i pyknął fajkę po raz kolejny.
- Dobrze tobie mówić kolego – odparł Linguoświń – Gdybym ja uczył historii, też bym się nie bał. Stado nigdy kolegi nie skojarzy ze strukturami władzy, zatem nie ma się kolega czego obawiać. Ja natomiast trafię jako pierwszy do rzeźni, jestem przecież nauczycielem języka władzy. Pierwsza rewolucja i po mnie. Już widzę swój łeb zatknięty na zakrwawione pale.
- Kwii, kwiii, kwiii – zawyły przerażone ową wizją pozostałe świny.

Krwiożerczy całkiem opanowany odpowiedział:

- Drogi kolego jedna z podstawowych zasad stadokracji brzmi: „zmiana władzy dokonuje się w sposób nierewolucyjny”. Zatem nie ma powodów by bać się o własne życie. W ustroju stadokratycznym wszelka zmiana rewolucyjna będzie miała z definicji charakter antystadokratyczny i jako taka będzie zabroniona. Zresztą jak wcześniej powiedziałem, rewolucyjny bunt musi mieć swój przedmiot, a w ustroju stadokratycznym nie będzie konkretnej władzy, przeciwko której stado będzie się mogło zbuntować. A poza tym, od czego będziemy mieli kulturę? Przecież nowe kanony kulturowe, które wprowadzimy zapewnią nam jako władzy ciągłość i także nieobalaność systemu stadokratycznego. I tu nie chodzi o jakąś gwarancję formalną, ale o takie ukształtowanie świadomości stada, by to nie było zainteresowane rewolucją. Chodzi o przekierowanie celu. W tym momencie zaczyna się rola koleżanki Totalnejświni – skwitował, spoglądając na dotychczasową moderatorkę tajnego spotkania.

- To co mam robić? – zapytała Totalna świnia.
- Musi koleżanka wprowadzić nowe kanony kulturowe. Najważniejsze z nich to „moda”, oraz tak jak wcześniej wspomniałem „zakaz dłubania w nosie”, „zakaz pierdzenia”.
- Ale takich „mód” w kulturze zawsze było wiele. Którą z nich wybrać? Którą lansować?
- Te najbardziej proste, oparte na podstawowych instynktach. Czyli: kult młodości i piękna jako proporcji. Żadnej aberracji. Wszelka ekstrawagancja ma uchodzić za coś niekulturalnego. W ramach kanonu mody należy dyskretnie przemycić do świadomości stada uniformizację. Dzisiaj uczymy w ramach OFICJALNEJ INTERPRETACI stado myśleć jednakowo. Jednak samo myślenie nie wystarczy. Świny mają także tak samo wyglądać.
- Świny przecież wyglądają tak samo – zdziwiła się Totalnaświnia.

- Niezupełnie. Jedne mają czarne łaty, inne bardziej krzywe ogony niż drugie. Chodzi o to, żeby maskować wszystkie różnice. Stado ma się stać formacją, taką jak wojsko. Dlatego rolą koleżanki będzie wymyślenie odpowiedniego uniformu dla całego stada.
- Ale to nie jest możliwe! Stado natychmiast się zbuntuje, gdy zacznę lansować modę na to, co w okresie przedrewolucyjnym nazywano garniturami.
- Nie, jeżeli wprowadzimy równoległy kanon, a mianowicie zaczniemy lansować tak zwany „właściwy styl życia”.
- A co to takiego? – zapytała tym razem locha.
- Wskażemy, że celem każdej świni jest osiągnięcie odpowiedniego statusu ekonomicznego. Co więcej, zaczniemy przemycać do świadomości stada, że pieniądze oznaczają władzę. Po jakimś czasie każda świnią w stadzie będzie tyrała jak wół, żeby zdobyć więcej pieniędzy niż inne. Motorem tu będzie instynktowna potrzeba panowania nad innymi. Świnie nie zbuntują się przeciwko władzy, żeby same przejąć panowanie, tylko będą próbowały zapanować inną, nierewolucyjną metodą. Będą chciały mieć więcej niż inne w stadzie. Oczywiście niezbędne jest, by sukces ekonomiczny uzależniony był od całej sfery indywidualnego życia zewnętrznego, czyli od odpowiedniego uniformu i wszelkich innych dóbr, które będą świni nabywały w trakcie swojego wyścigu po pieniądze. To właśnie będzie ten lansowany w kulturze „właściwy styl życia”.
- Aha, czyli na tym będzie polegało przekierowanie celów, o którym wspomniał kolega przed chwilą? – chciał się upewnić Linguoświń – Kierunek instynktownego pędu stada, oraz instynktowne pragnienie władzy, zostanie odpowiednio ukierunkowane. Celem będą wartości ekonomiczne a nie polityczne.
- Właśnie o to chodzi – potwierdził Knurkrwiożerczy.
- Profesorze, proszę jeszcze wyjaśnić sens zakazu dłubania w nosie i puszczenia gazów. To przecież całkowicie sprzeczne z kulturą świń – poprosiła specjalistka od kultury.
- Dzięki tym zakazom osłabimy resztki krytycznego myślenia w stadzie i uczynimy je chorym. Słabo dotlenione świńskie mózgi nigdy nie będą w stanie przejrzeć naszego misternej receptury panowania a wstrzymywane gazy trawienne w jelitach przyczynią się do powstania schorzeń stadnych. Raki jelita i inne zaburzenia będą wyrastały jak grzyby po deszczu. Tym samym zuniformizowane stado będzie głupie i schorowane, całkowicie osłabione i na dodatek wyczerpane pędem za dobrami zewnętrznymi. Czego nam więcej potrzeba? – skwitował Knurkrwiożerczy.

W pomieszczeniu ponownie zapadła cisza. Jednak tym razem na świńskich ryjach nie było nawet jednej zmarszczy zdradzającej cień niepokoju związanego z powodzeniem tego misternego planu. Wszystkie były przekonane o sukcesie stadokracji. Krwiożerczy wyraźnie usatysfakcjonowany próbował kolejny raz podpalić tytoń w fajce. Okazało się jednak, że wypalił się całkowicie i został tylko popiół. Wysypał go na popielniczkę stojącą tuż obok na stoliku. Kiedy chciał ponownie nabić fajkę, jedna ze świń, profesor Aleśścieższwinił wstał, podszedł do niego, wyciągnął kopyto i powiedział:

- Gratuluję kolego. Pomysł błyskotliwy.
 - Tak, genialny – dodała Totalnaświnią, która także wstała by pogratulować.
 - Zupełnie nowatorski – zawtórowała naczelniczka wraz z Linguoświnem.
- Knurkrwiożerczy przyjmując gratulację powiedział:
- Drogie koleżanki i koledzy. Przyznam się wam ze świńską szczerością. Pomysł nie jest mój. Odgapiłem go od Platona.
 - A tam, kwii, kwiii, nieważne! Ważne, że genialny – rozległo się w pomieszczeniu.

Kiedy usłyszałem ostatnie słowo Knurkrwiożerczego stało się ze mną coś dziwnego. Poczulem mrowienie na całym ciele, a zwłaszcza w prawej stopie. Spojrzałem na nią i

zobaczyłem, że stała się bardziej wyraźna. Tak, jakby ktoś ją wyciął. To wycinanie, zaostrowanie konturów postępowało. Po stopie noga, druga noga, tułów. Została tylko głowa. „Jak głowa stanie się wyraźna, to świnię na pewno mnie zobaczą!!” – zacząłem panikować. W tej samej chwili rozległ się dookoła mnie ryk:

- Człowiek!!! Kwiii! Kwi!!!! Zeżreć, zabić!!!!!!

Wszystkie świnię rzuciły się na mnie. Z ich pysków wystawały pokrzywione, szerniałe zęby, które już prawie zahaczały o moje uda, gdy nagle coś mnie szarpnęło.

- Człowieku obudź się – usłyszałem.

Przestraszony obudziłem się. Leżałem na betonowej posadzce, nade mną stała Pla, która szturchając mnie butem, powiedziała ponownie:

- Człowieku obudź się.

Mikro i makro

Znowu przy tym samym stoliku, w tym samym pokoju, w tym samym towarzystwie, mając ciągle ten sam goły beton pod stopami. I jak się łatwo możesz domyśleć drogi czytelniku, wszystkie przedmioty i ludzie w tym pomieszczeniu ponownie znalazły się w tej samej konstelacji, w której były na samym początku, kiedy tu wszedłem. „Tu się nic nie dzieje, nic nie zmienia” – pomyślałem. I jak nigdy, tym razem moja myśl mnie nie zdziwiła. Siedzę ja, na przeciwko mnie Pla, między nami stolik i ta nieznośna przestrzeń. „Jak ja nie znoszę tych przestrzeni. Tak małe, a jednak nie do przebycia. Kawalki zbudowane z azotu, tlenu, dwutlenku węgla i innych gazów, mierzzone wyciągnięciem ręki, ale jednak nie do pokonania. Na ich końcach zawsze znajdują się tak różne światy, dla których nanometry między nimi są odcinkami nieskończonymi! Kurwa mać! Co ja tu robię?!”.

- Wiesz już kim jestem? – wyrwała mnie z zadumy Pla.

- Platonem – odpowiedziałem bez zastanowienia. W moim umyśle, który wyprodukował dziwny sen o świńskiej rzeczywistości, musiał wytworzyć się jakiś odpowiednik pamięci mięśniowej. Do tej pory bowiem kontrolowałem każde swoje słowo, czy gest. Teraz jednak na pytanie mojej niedawnej towarzyszkę dnia codziennego, a obecnie prześladowczyni, odpowiedziałem nie tyle mimowolnie, ale całkowicie bezwolnie. „Widocznie to zasługa tych obślizgłych, wykrzywionych grymasem nienawiści świńskich ryjów, które mnie osaczyły w końcówce mojego własnego snu” – pomyślałem.

Tym czasem Pla uśmiechnęła się do mnie i rzekła:

- Bardzo dobrze.

- Jakie, kurwa, dobrze! Mi wcale nie jest dobrze, a co dopiero bardzo! Chcę stąd wyjść! – krzyknąłem i zacząłem się szamotać na metalowym krześle. Jednak jak już wcześniej powiedziałem, po moim śnie cały układ pomieszczenia wrócił do sytuacji wyjścia. Zatem, jak się możesz łatwo domyśleć drogi czytelniku, miałem kajdanki na rękach, którymi byłem przykuty do krzesła.

Pla studiując moją gwałtowną reakcję ciągle się uśmiechała. Zresztą i mi, kiedy sobie uświadomiłem, że na nic moje spazmy, na nic okrzyki, że i tak mój dalszy los nie zależy w tej chwili od moich starań, także zachciało się śmiać. Groza zmieniła się w groteskę, a przestrzeń między mną a ową kobietą, nie była już nieskończona, skurczyła się do zera.

- A teraz pójdziesz ze mną i coś ci pokażę – spokojnie powiedziała, kiedy tylko przestałem się szarpać. Następnie tym razem głośno zawołała:

- Strażnik!

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich znany mi już gość w mundurze.

- Rozkuj go – rozkazała Pla.

Gość w mundurze bez sprzeciwu podszedł do mnie od tyłu, pomajstrował chwilę przy kajdankach i te się otworzyły. Poczułem ulgę na nadgarstkach. Miałem wolne ręce. Mogłem

teraz zrobić wszystko, przynajmniej to wszystko, co robiłem do tej pory, kiedy miałem uwolnione ręce. Mogłem eksperymentować, mogłem wkładać palec między pośladki strażnika, a może i nawet samej Pla. Innymi słowy mogłem być sobą. Jednak jak to zwykle bywa i co ty pewnie wielokrotnie doświadczyłeś drogi czytelniku, tego rodzaju możliwość zawsze ustępuje, gdy pojawia się zaciekawienie. Dlatego w tej chwili ja, niebywale zaciekawiony owym czymś, co miała mi kobieta pokazać, stałem się posłuszny i niemal bezkrytyczny. Spokojnie wstałem i bez żadnej ekstrawagancji zewnętrznej udałem się za nią. Pla prowadziła mnie wąskimi korytarzami. Przypominały one te z mojego snu. Wąskie, długie i ciemne. Jediną różnicą, która między nimi dostrzegłem były liczne tu drzwi. „Ciekawe co się za nimi kryje?” – myślałem. Jednak Pla nie zatrzymywała się przed żadnym z nich. Prowadziła mnie ciągle naprzód. Wkrótce znaleźliśmy się przy schodach.

- Dokąd mnie prowadzisz – zapytałem.

- Sam zobaczysz – odpowiedziała zdawkowo. Jako, że nigdy nie zadowalałem się tego typu odpowiedziami, doceniając zdania wielokrotnie złożone, postanowiłem drażnić temat:

- Chciałbym jednak wiedzieć. Albo mi powiesz, albo dalej nie pójdę. Ani kroku.

Gdy to usłyszała, Pla odwróciła się do mnie. Spojrzała mi prosto w oczy i zapytała:

- Wiesz na czym polega twój problem?

„I co? Niby mam jej teraz opowiadać o swoim największym problemie z prostatą? O tym, że piętnaście minut siedzę na kiblu, czując wielkie ciśnienie w pęcherzu i nie potrafię wydusić z siebie choćby kropelki? I że dopiero po około kwadransie koncentracji, po tych wszystkich wyobrażeniach wzburzonych oceanów wody, wodospadu Niagara, w ostateczności wpatrując się w wodę w muszli klozetowej przez szparkę między udami, udaje mi się coś tam z siebie wydusić? Naprawdę mam jej to opowiedzieć?” – zastanawiałem się. Pla jednak nie spodziewała się ode mnie żadnej odpowiedzi. Powiedziała:

- Zachowujesz się jak dziecko.

- I co z tego? A jaki w tym widzisz problem? Problem to sprzeczność wewnętrzna... – i chciałem jej dalej opowiadać o istocie problemów. Ona jednak przerwała mi:

- Nie pierdol mi tu o sprzecznościach! Ty naprawdę nie rozumiesz jeszcze, dlaczego tu się znalazłeś. Ale za chwilę dowiesz się. Dowiesz się wszystkiego. Ruszaj się.

Czy ciebie drogi czytelniku nie zaskoczyła taka reakcja? Ona, do tej pory spokojna, zrównoważona. Ona, która się starała, siliła na formę, której jedynym dotychczasowym objawem wzburzenia, była ta zmarszczka na czole w kawiarni w trakcie incydentu z kelnerką. Zawsze byłem przekonany, że inwektywy, mimo iż są rodzaju żeńskiego komponują się tylko z wokabularzem męskim. Kobieta nie przeklina. Przynajmniej takie miałem wyobrażenie o istotach z jędrnymi piersiami. Oczywiście nie miałem tych poetycko-romantycznych złudzeń, że kobieta może być ulotna, że może być puchem. Jakim niby cudem mogą być ulotne? Przecież owe piersi o różnej, ale jednak masie nie wygrają z siłą grawitacji.

Nie miałem innego wyjścia. Jeżeli chciałem się dowiedzieć jaki jest cel tej podróży, musiałem odbyć ją do końca i to nie moich warunkach. Bez słowa udałem się za nią.

Pokonywaliśmy kolejne stopnie i kolejne korytarze. Było ich naprawdę dużo. Prawdziwy labirynt. Wszędzie były jakieś drzwi, zza których dochodziły jakieś głosy. W pewnym momencie wpadłem na pomysł, by spróbować uciec. Przecież strażnika nie było. Byłem tylko ja i Pla. Pewnie i ty czytelniku zastanawiasz się: „Dlaczego on nie uciekł?”. Odpowiedź jest prosta: nie miałem drogi powrotnej. Przed zbłądzeniem w tym labiryncie nie uchroni nawet niebywale analityczny umysł. Na pewno umarłbym gdzieś z głodu zabłąkany w jakiejś odnodze korytarza bez wyjścia. Sytuacja wręcz paradoksalna. Oto ja-więzień, oto jeden tylko budynek, oto ona-Pla, oto on-labirynt-drzwi-i-korytarzy i do tego wszystkiego oto ono-moje-pragnienie-wolności, ale co z tego?

W końcu schody się skończyły i dalej szliśmy wąskim tunelem, na którego końcu była stalowa drabinka. Pla wspierała się po niej pierwsza, stanowczym ruchem odsunęła właz i wyszła na zewnątrz. Udałem się za nią.

Znaleźliśmy się na dziwnym dachu. Wszędzie tu było pełno zieleni, było nawet oczko wodne, w którym pływały kolorowe ryby. Jednak nie usłyszałem żadnego ptaka. Chciałem zapytać moją przewodniczkę i oprawczynię w jednej osobie, co to za osobliwe miejsce, jednak ta oddaliła się już ode mnie. Trochę ogłuszony aurą owego ogrodu, ale także trochę z ciekawości udałem się na jego skraj. I nagle zobaczyłem coś, w co nie mogłem początkowo uwierzyć. Okazało się, że znalazłem się na dachu najwyższej budowli. Dookoła rozpościerała się panorama miasta. Mniejsze i większe budynki, gąsienice ulic. Z tej wysokości ludzie nie byli widoczni. „To za wysoko nawet dla ptaków” – sam sobie w duchu odpowiedziałem na pytanie, dlaczego tu nie słychać świergotu chociażby wszędobylskich wróbli. „Co tu jest mikro a co jest makro? Teraz byłem największy, wszystko pod mną jest takie tygi, a przecież jest odwrotnie!” – myślałem osłupiały. Z osłupienia wyrwały mnie słowa dobiegające zza pleców:

- Pięknie, nieprawda?

Odwrociłem się. To była Pla, która teraz stała obok mnie i spoglądając na miniaturowy świat pod nami dodała:

- Ślicznie budują. Cały czas w ruchu, cały czas zmierzają do celu. Nigdy się nie zatrzymują, a ty to chcesz tak po prostu zepsuć.

- Że co? – zapytałem zdziwiony.

- Zwyczajnie spierdolić – dodała – Ale teraz już po wszystkim. Znalazłam cię, a oni już na ciebie czekają. Chodź ze mną Sok Ratesku.

Nie wiedziałem jak zareagować. Czy najpierw zrugać ją za zdrobnienie, którego nienawidziłem, czy też dalej drążyć temat o mnie, jako destruktorze miniaturowego świata, skąd zostałem wyrwany, czy może zapytać kim są oni, którzy na mnie czekają. Wśród tych wszystkich pytań jedno było najważniejsze: „Gdzie ja jestem?”. Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał mi, że wkrótce się wszystkiego dowiem, że każda najmniejsza moja wątpliwość się rozwieje. Na tej wysokości wszystko się rozwiewało, dlaczego nie miałyby rozwiać się moje wątpliwości?

- Chodź za mną – ponowiła Pla i odwróciła się. Kiedy zobaczyłem któryś raz jej sylwetkę od tyłu, ponownie w głowie pojawił mi się podziw dla jej symetrycznego piękna. I nagle błyskawiczna myśl zaświtała mi w głowie: „Złapię ją, zrzucę z dachu! Wszystkie moje problemy znikną wraz z nią w miniaturowym świecie. Nie ma w nim ludzi, nikt jej nie zauważy!”.

Czy to nie fenomenalny pomysł drogi czytelniku? Jeżeli przyznasz mi rację, to zapewne zdziwisz się, dlaczego Pla jeszcze nie znikła a ja teraz idę za nią. Jeżeli jednak uważasz, że uśmiercenie tej kobiety, które z pewnością byłoby skutkiem jej zrzucenia, nie przystoi człowiekowi, to jeszcze bardziej się zdziwisz. Ale dopiero za chwilę.

Cień Platona

- Najpierw ich wysłuchaj, zresztą w twojej sytuacji pozostała ci tylko alternatywa między umrzeć w nieświadomości a umrzeć wiedząc dlaczego. Mam nadzieję, że to rozumiesz – powiedziała Pla prowadząc mnie do tylko jej wiadomego miejsca.

Dachowy mikroświat wcale nie był taki mały, jak mi się na początku wydawało. Mijaliśmy kolejne drzewa i oblepione białym kwiecie krzewy. Moja pewna śmieć, o której poinformowała mnie Pla, oraz świadomość, że już niedługo moje serce przestanie dotleniać szare komórki sprawiła, że postanowiłem wyssać ostatnie chwilę życia maksymalnie. Pewnie

i ty uczyniłbyś to samo drogi czytelniku. Czego można bardziej chcieć chwilę przed śmiercią, aniżeli zachwycić się po raz ostatni istotą życia. Ostatnie chwile życia przeżywane świadomie czynią człowieka z człowieka. Gdybym trwoniał czas na nieustanną gonitwę w garniturze, teraz zadałbym sobie pytanie: „Po chuj mi to było? Na co, skoro za chwilę mnie już nie będzie na stałe?”!. Gdybym wierzył w boga, to cieszyłbym się lub płakał, że albo nie pójdę, albo i nie do nieba. Pewnie chciałbym się wyspowiadać, oczyścić z grzechu, z tego, że całe życie byłem świnią, że świwiłem się i innych. Jednak ja, o czym dobrze wiesz, nie wierzyłem w boga i chyba to mnie uratowało przed byciem świnią w uniformie. Gdybym taką był nie mając boga, to nie miałbym się komu spowiadać i umarłbym jako świnią.

Ale co może zrobić człowiek, którym jestem aż do tej chwili, w godzinę, a może sekundę przed śmiercią? W tym momencie drogi czytelniku spodziewasz się pewnie kolejnej patetycznej gadki, która zawsze pojawia się w tego rodzaju historiach, w których główny bohater musi zmierzyć się ze świadomością nieodległej śmierci. Mógłbym oczywiście zadać sobie a pośrednio i tobie kilka poważnych pytań o charakterze egzystencjalnym, mógłbym zmierzyć się nawet z samym bogiem, gdybym tylko takowego miał, mógłbym opowiadać o podniesionym czole i stoickim spokoju, który mnie ogarnia w ostatnich chwilach życia. Innymi słowy, mógłbym stać się dla ciebie wzorem lub antywzorem aby zmusić cię do refleksji. Sprawić byś chwilę pomyślał nad swoim życiem, byś wyobraził sobie swoją prywatną sosnową trumnę, do której każdy bez wyjątku zmierza, byś stanął nad nią i zadał sobie pytanie: „Po co mi to było?”. Mógłbym i owszem, ale i ty dobrze o tym wiesz i ja, że niezależnie od tego, co napiszę pozostaniesz świńskim bydlakiem lub też jego żeńską odmianą.

Idąc, jak się wydawało nieskończenie długą ścieżką wybrukowaną kostką bazaltową, dotarliśmy w końcu do małej altanki, która konstrukcją przypominała chiński domek herbaciany. Pod dachem w cieniu siedziało kilka osób. Podeszliśmy bliżej.

- To on? – zapytała jedna z tych osób, mierząc mnie wzrokiem.
- Tak, to człowiek – odpowiedziała Pla.
- Ha, ha, ha – zaśmiało się towarzystwo.
- Jakże miło poznać ostatniego człowieka – powiedział ten sam gość, po czym wstał, podszedł do mnie i podał mi dłoń i dodał:
 - To naprawdę zaszczyt dla nas.
 - Ale kim jesteście i czy ktoś w końcu mógłby mi wytłumaczyć, dlaczego tu się znalazłem? – pytałem całkowicie zdezorientowany tym ciepłym przywitaniem. Spodziewałem się raczej kolejnego ciosu w głowę, tym razem ostatecznego, po którym nastąpiłaby niezmacona niczym absolutna ciemność.
 - Jesteśmy inżynierami – odezwała się inna osoba z cienia.
 - Właśnie, jesteśmy inżynierami. Projektujemy – potwierdził ten, który mnie tak ciepło przywitał.
 - Chodź, usiądź z nami. Zaraz ci wszystko opowiemy – dodał i trzymając mnie pod rękę zaprowadził do cienia, który dawał bezpieczne schronienie przed promieniami słońca. Usiadłem przy stole. Podano mi chłodny sok, nawet całkiem niezły w smaku. „Widocznie wiesz, że uwielbiam soki” – pomyślałem.
 - Ale tu u was przyjemnie i chłodno w tym cieniu – powiedziałem odkładając wypitą do połowy szklankę. Pewnie się dziwisz drogi czytelniku, że stałem się nagle taki rozmowny, wbrew zaleceniom kobiety, która mnie tu przyprowadziła. Otóż nie było to wynikiem roztargnienia, ale świadomym zabiegiem. Moim gadulstwem chciałem zemścić się na mojej dotychczasowej dręczycielce, która teraz stała obok mnie. Każde zbędne słowo traktowałem jako rewanż.

- Zawsze w cieniu jest przyjemnie, dlatego rzadko, a właściwie wcale z cienia nie wychodzimy – powiedział jeden z inżynierów.

- Poza tym cień daje schronienie, zapewnia dystans, dzięki któremu można wszystko dokładnie oglądać, samemu pozostając niezauważonym – dodał inny.

- Tak, tak, - przytaknął następny – cień jest najlepszym modusem świata, który udało nam się stworzyć.

Przyznam, że zaskoczyły mnie te peany na temat cienia. Mnie przede wszystkim interesowała przyczyna, z powodu której przywlekła mnie tu Pla. Chociaż z drugiej strony zaciekały mnie te uwagi inżynierów. Postanowiłem przeciągnąć rozmowę na temat istoty miejsc zacienionych. Cóż miałem do stracenia? Właściwie nic w tej sytuacji, a zyskać mogłem być może kilka godzin życia, mając świadomość, że wkrótce przyjdzie mi umrzeć, o czym poinformowała mnie Pla.

- Jak to? Wy stworzyliście cień? – zapytałem.

Ten sam inżynier, który mnie tak ciepło przywitał, oparł łokcie na blacie długiego stołu, przy którym wspólnie siedzieliśmy, pochylił się lekko ku mnie i odpowiedział:

- Kino jest naszym najbardziej udanym projektem. Byłeś kiedyś w kinie? – zapytał i nie czekając na moją odpowiedź kontynuował:

- Kinem rządzi prosta reguła: ciemna sala, na której siedzą widzowie i jasny ekran, na którym widać film. Obraz jest tym bardziej wyraźny, im ciemniej jest na sali. Kiedy następuje równowaga natężenia światła, to znika i obraz i ciemna sala i kino jako takie, a najważniejsze, że swoje znaczenie traci istota widza kinowego. A przecież w kinie jest bezpiecznie, jest ciepło, tu jest najlepiej. Widzowie oglądają swoje ulubione filmy, ale tylko z tych, które znajdują się w repertuarze kinowym, mogą wybrać te ulubione...

- Tak, lubią sobie popłakać, pobać i pośmiać się też lubią – wtrącił się inny inżynier.

- No właśnie – przytaknął – Wyobraź sobie teraz coś na kształt wielkiej sali kinowej, w której wszyscy widzowie są od dziecka przykuci do foteli. Dookoła jest ciemno, że nie widzą samych siebie i innych, którzy wraz z nimi siedzą. Ci wszyscy widzowie spoglądają na jeden wielki ekran, na którym cały czas wyświetlane są filmy...

- A kto je puszcza? Przecież ktoś musi zmieniać taśmy – zapytałem.

- Nazwijmy ich póki co „ONI”. Oni cały czas produkują, reżyserują i puszczają te filmy swoim stałym widzom. I tak bez końca, od dziecka. Nadażasz?

- Tak. Mogę sobie coś takiego wyobrazić.

- To teraz wyobraź sobie taką oto sytuację. Nagle, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, któremuś z tych widzów udaje się wstać z fotela. Udaje mu się wyrwać z kajdan, z fotela, do którego był przykuty od momentu narodzin.

- Ale to nie jest możliwe – odpowiedziałem – Przecież taki ktoś, kto od narodzin żyłby w kajdanach, nie miałby świadomości ich istnienia. Po cóż miałby się wyrwać z czegoś, o czym nawet nie ma pojęcia?

- Przecież powiedziałem, że dziwnym zbiegiem się uwolnił, a nie że się wyrwał i uwolnił. Słuchaj mnie dokładnie! – odparł lekko zdenerwowany.

- Dobrze, dobrze.

- Zatem taki ktoś się uwalnia. Zaczyna się rozglądać. Następnie wstaje i podchodzi do ekranu. Dotyka go. I co się okazuje?

- No co? – zapytałem.

- Okazuje się, że to wszystko, co uważał za rzeczywiste, za coś, co istnieje, bo przecież tylko jedyną jego rzeczywistością, było to, co widział na ekranie, nie istnieje. Jest tylko płaskim obrazem. I teraz kolejne pytanie: jak uważasz, czy dotychczasowy widz, który teraz dowiaduje się o kinowej fikcji, dopuści do siebie myśl, że to, co oglądał przez całe swoje życie było filmową fikcją?

Chciałem odpowiedzieć analogicznie jak poprzednio. Czyli, że aby umieć rozróżnić to, co rzeczywiste od tego, co fikcyjne, widz ten musiałby wiedzieć czym jest rzeczywistość a czym fikcja. A póki co, to na tym etapie jego opowieści widz ten miał do dyspozycji tylko ciemną salę kinową, która była rzeczywista, ale tak ciemna, że nie mogła stanowić żadnego kryterium dla właściwej identyfikacji kolorowych obrazów na ekranie, jako nierzeczywistych. Po drugie, widz ten musiałby mieć wszystkie rzeczywiste nawyki, musiałby być istotą całkowicie uspołecznioną, która byłaby przede wszystkim ciekawa świata. A jak można być ciekawym świata, skoro ten świat był owemu widzowi cały czas pokazywany. On nigdy nie mógłby wyrwać się z roli widza i zmienić się w badacza. Bynajmniej nie z tego powodu, żeby nie chciał, ale dlatego, że innej roli nie znał, oprócz roli widza.

Powstrzymałem się jednak od wskazywania sprzeczności w opowieści o kinie i udzieliłem takiej odpowiedzi, której – jak mi się wydawało – oczekiwał inżynier. Powiedziałem:

- Tak. Natychmiast by się zorientował.

- A właśnie, że nie – odparł uśmiechając się do mnie w ten sposób, w jaki ojcowie do swoich naiwnych pociech i dodał:

- Po dotknięciu dłonią ekranu, kiedy zorientowałby się, że to tylko obraz, natychmiast w panice wróciłby do swojego znanego i bezpiecznego siedzenia, na którym do tej pory cały czas siedział. Tak bardzo nie chciałby uwierzyć w ową fikcję. Ale wyobraź sobie, że mijają lata. Ten uwolniony widz z czasem rozpoczyna swoją wędrówkę po sali kinowej. Pierwszy szok już minął. Teraz ciekawość bierze górę nad strachem i paniką. Zwiedza najpierw inne rzędy krzesel, ogląda innych widzów. Ogląda ich dłonie, nogi i korpusy. Porównuje ze swoim ciałem i dochodzi do wniosku, że sam jest jednym z nich. Tylko zadaje sobie ciągle pytanie: „Dlaczego oni nie wstają? Nie chodzą tak jak ja?”. Nie chce być sam, zatem próbuje uwolnić innych widzów z foteli. Tym jednak kajdany nie puszcza, co więcej nie zauważają go, bo ciągle oglądają coraz to nowy film. Widząc, że wszelki wysiłek jest daremny wpada kolejny raz w panikę. Zaczyna się wydzierać. I nagle dzieje się rzecz niebywała. Otóż w jednej ze ścian kina otwierają się drzwi...

- Jak to otwierają? Dlaczego ich sam nie otworzył, przecież tyle czasu zwiedzał salę kinową? – przerwałem opowieść po raz kolejny.

- Żeby dostrzec drzwi i je otworzyć, trzeba wiedzieć, co to są drzwi i wiedzieć, że służą do otwierania – odpowiedział spokojnie inżynier.

- Ale słuchaj dalej – kontynuował – Otwierają się te drzwi, ktoś się w nich pojawia. Nasz uwolniony widz podchodzi do owego kłosa i widzi, że jest on taki jak on sam. Ma nogi, tułów i ręce, które teraz do niego wyciąga. I znowu panika, bo pierwszy raz widzi swoją podobiznę. Ale wraz z paniką pojawia się także uczucie ciekawości. I tak jak małe niemowlę, które wyciąga rączki do swego odbicia w lustrze, teraz także i on podaje rękę nieznanemu. Ten go chwyta i gwałtownie wyciąga z sali projekcyjnej. Znalazł się teraz na jednym z korytarzy. Widzi krzątanie tych wszystkich, którzy dbają o ciągłość projekcji filmów, o to, żeby nie było długich przerw. Oczywiście na początku jest on całkowicie zdezorientowany. Oślepią go światła z jarzeniówek, ponieważ jego oczy przywykły do mroku. Ten ktoś jednak trzyma go nieustannie za rękę, nie puszcza go. Zresztą widz wcale nie chce się od tej ręki uwolnić. Chce być bezpieczny, a jedyną oazą bezpieczeństwa w tej nowej sytuacji jest dla niego uścisk nieznanego ręki. Ręka ciągnie go jednak w jakimś nieznanym kierunku. Mijają kolejne korytarze i kolejnych pracowników kina. Mijają kolejne plany filmowe, na których odbywają się właśnie zdjęcia nowych produkcji. Mijają scenarzystów dyskutujących w oparach dymu papierosowego o nowych pomysłach. I ten ktoś to wszystko ogląda, a ma na to czas, bo jego przewodnik wcale się nie spieszy. Przeciwnie, idzie wolno a od czasu do czasu zatrzymuje się, by ten mógł wszystkiemu się dokładnie przyjrzeć. Szczególnie zainteresowały go zdjęcia do ulubionego serialu, na który zawsze czekał, starając się nie zasnąć, gdy był jednym z widzów kina. Przyglądał się znanym mu z ekranu postaciom, które teraz okazały się

być innymi ludźmi. Właśnie wtedy zaczyna świtać w jego głowie niebywała myśl: „A może to film o filmie? Może to kolejna produkcja, którą oglądam na ekranie, w dalszym ciągu bezpiecznie siedząc w fotelu?”. Jednak porzuca ją, jak tylko docierają do małej sali z projektorem, w której jest dwóch innych ludzi. Jeden z nich zmienia taśmy w projektorze, inny zaś mówi mu, który film teraz ma puścić. Jest zaskoczony tym, co widzi, ale bardziej zaskakuje go widok sali kinowej, którą teraz ogląda z perspektywy projektorowni. Widzi tych wszystkich widzów siedzących w kinie. Ma świadomość, że był on jednym z nich i że nie miał nawet najmniejszego wpływu na repertuar filmowy, bo o tym jaki film leciał w danej chwili decydowali ONI.

Inżynier zakończył opowiadać o kinie i wyzwolonym widzu. Wyprostował się sięgnął po swoją szklankę i napił się, bo zaschło mu w gardle od opowiadania. Spojrzenia i uwaga pozostałych skoncentrowane były na mnie. Zdaje się, że oczekiwali jakiejś reakcji. Odwróciłem się by spojrzeć na kobietę, która mnie tu przyprowadziła i która kazała uważnie wysłuchać, co ONI będą mieli mi do powiedzenia. Okazało się, że ona też oczekiwała jakiejś reakcji z mojej strony. Nie wiem jak u ciebie drogi czytelniku, ale w moim przypadku mój analityczny umysł podpowiadał mi, że ta cała opowieść z kinem, to metafora mojej wędrówki i powodu, dla którego tu się znalazłem. Dopiewszy swój sok, odłożyłem pomału szklankę i zachowując kamienny spokój powiedziałem:

- I ci ONI, o których mi opowiadałeś, to w rzeczywistości wy, a jestem tym widzem, który się wyrwał z sali i po wielu perypetiach został tu przyprowadzony do was przez tajemniczą Pla, stojącą nieustannie za moimi plecami?

- Nie, nie – zaprzeczył wyraźnie rozbawiony inżynier – My nie pracujemy w kinie, my zaprojektowaliśmy kino. Inżynier nie może być elementem własnego projektu, chociaż to on decyduje o jego każdym, nawet najdrobniejszym elemencie. Chodź, coś ci pokażę.

Następnie wstał, podszedł do mnie i razem poszliśmy na skraj dachu. Stanęliśmy tuż przy krawędzi. Za nami był wyraźny ogród, w oddali majaczył chiński domek herbaciany, a przed nami jak okiem sięgnąć rozciągała się panorama konstrukcji zbudowanej z wieżowców, apartamentowców, biurowców i rzędów ulic.

- Czy to nie jest piękne? – zapytał spoglądając w dal – Geometria budowli i ulic. Czysta matematyka.

- Hmm...

- Wyobraź sobie, że tu nie ma miejsca dla braku proporcji. W tym projekcie nawet aberracja jest zaplanowana. Zobacz na przykład na ten zielony obszar między tymi dwoma wieżowcami. Widzisz? – zapytał wskazując ręką na plamkę zieleni.

- Tak.

- Wydawałoby się, że to jakaś niezagospodarowana przestrzeń bez konstrukcji – kontynuował – Ale tak nie jest. Bo ta zieleń została zaprojektowana jako integralny element systemu. A czy widzisz ludzi?

- Nie, nie widzę. Z tej odległości nie widać nikogo – odpowiedziałem starając się dostrzec choćby jednego ludzika.

- Nie przejmuj się, oni też ciebie nie widzą i tego, co ty teraz widzisz. Nie mają pojęcia, że każdego dnia, kiedy idą ulicą, to ulica wskazuje im cel. Oni wybierają kierunek, ale to my inżynierowie, wyznaczaliśmy cel każdej z ulic. My zaprojektowaliśmy każdy dom, każde miejsce pracy, każdy park. Teraz już chyba z łatwością zrozumiesz, że zaprojektowaliśmy także potrzeby, sposób rozrywki i w ogóle cały styl życia. Innymi słowy, bóg stworzył tylko człowieka, a o resztę zadbał my-inżynierowie.

- Ale...Jak to?!...Ale przecież... To niemożliwe! – zacząłem się jąkać, tak wielkie wrażenie wywarły na mnie słowa inżyniera. Było to dla mnie nie do wyobrażenia, że kilku ludzi, nawet gdyby byli genialnymi inżynierami, może zaprojektować cały świat człowieka, wraz z

potrzebami, stylem życia, sposobem spędzania czasu wolnego. Chociaż teraz, gdy sobie pomyślałem o tych wszystkich osobnikach w garniturach, którzy posłusznie zmiierzali w swoich kierunkach, bez żadnego sprzeciwu czy buntu. Tych wszystkich, dla których szef był niemalże prorokiem. A w końcu tego, który zdzielił mnie w mordę, gdy zakłóciłem jego codzienny rytuał, zaczęło pojawiać się we mnie przecucie, że to, co usłyszałem może być prawdą. Kiedy ochłonałem trochę, zapytałem:

- Ale jak to jest możliwe? Jakim cudem stworzyliście tak wielki całościowy projekt? Nikt się nie buntuje, nikt nie protestuje. Wszyscy bezwolnie zamknięci w ramach projektu.

Inżynier uśmiechnął się, poczym chwycił mnie pod rękę i zaprowadził do lornetki, która stała obok. Powiedział:

- Zobacz. Co widzisz?

Spoglądając przez lornetkę dostrzegłem wyraźne teraz sylwetki ludzi. Wszyscy gdzieś szli, wszyscy w szeregach i mniej więcej tak samo ubrani.

- Widzę ludzi – odpowiedziałem po chwili.

- Właśnie na tym polega twój problem, że ty widzisz ludzi. Dla nas są to konsumenci, kolejne cyferki od jedności liczone w górę. My inżynierowie widzimy tylko wskaźniki, słupki, elementy dynamicznego projektu, który stworzyliśmy i tworzymy. A teraz weź skieruj lornetkę na jakieś mieszkanie. I co widzisz?

Wykonałem posłusznie polecenie inżyniera. Przez wybrane losowo okno zająrzałem do przypadkowego mieszkania.

- Widzę telewizor, radio. Jakaś rodzina. Mężczyzna, kobieta, dwójka dzieci. W tej chwili coś jedzą...

- A co? Widzisz? Możesz powiedzieć? – zapytał.

- Chyba kurczaka.

- Co widzisz jeszcze?

- Mieszkanie ładne, nie to, co moje. Czyste. Ściany białe. W ogóle porządek...

- Prostokąt czy kwadrat? – zapytał

- Co prostokąt? – zapytałem odrywając na chwilę oczy od lornetki.

- No mieszkanie – odpowiedział – W kształcie prostokąta czy kwadratu?

- Hmm... Wydaje mi się, że raczej kwadrat. W każdym razie wszędzie kąty proste – odpowiedziałem przyglądając się jednemu z pokoi – O! Coś się dzieje. Mężczyzna wstaje od stołu, całuje kobietę i dzieci i wychodzi.

- Zobacz gdzie idzie – powiedział.

- Teraz jest już na ulicy. Spieszy się gdzieś. Biegnie i zatrzymuje się na przystanku...

- A jak wygląda? – przerwał.

- Mniej więcej tak samo jak inni, którzy tu stoją. Czeka, czeka. Chyba go zgubiłem. Oni wszyscy wyglądają tak samo – powiedziałem i wydawało mi się, że zgubiłem gościa gdzieś w tłumie.

- Patrz uważnie – powiedział inżynier – Każda cyferka jest cyferką, ale różni się od siebie. Jeden to nie dwa, chociaż różnica jest minimalna.

- O jest! Wsiada do autobusu – odpowiedziałem, nie zwracając uwagi na to, co powiedział.

- To dobrze. Zobacz gdzie wysiądzie.

- N tym przystanku nie... o tu, wysiadł. Wchodzi do wielkiego budynku. Idzie do pokoju. Siada, wyjmuje jakiejś karteczki, nalewa kawę z automatu. Pije.

- Kwadrat czy prostokąt? – zapytał.

- Stanowczo kwadrat. Tak, kwadrat. Jest zamknięty w kwadratowym pokoju.

- A teraz zobacz na autobus. Gdzie jedzie?

- Chwilę – powiedziałem i zacząłem szukać autobusu – Wraca z powrotem, tą samą trasą.

- Dobrze, to powinno wystarczyć - powiedział inżynier i dodał:

- Możesz mi wierzyć, lub nie, ale ten osobnik, którego właśnie śledziłeś niczym nie różni się od tego żółtego autobusu. Będzie nieprzerwanie chodził tam i z powrotem po ustalonej trasie od bryły sześcianu foremnego do sześcianu foremnego. Nigdy nie zboczy z kursu. Za każdym razem tak samo będzie wyglądało jego śniadanie. Każdy jego rytuał jest ustalony.

- Co ty opowiadasz?! – zaprotestowałem – Przecież tyle ludzi traci pracę...

- Masz rację, tylko zastanów się, co taki osobnik zrobi, gdy pracę straci?

- Będzie szukał nowej – odpowiedziałem.

- Oczywiście. Wsiądzie do autobusu, skasuje bilet, pojedzie do urzędu pracy, poprosi o ofertę. W końcu znajdzie coś dla siebie. I będzie ponownie wsiadał do autobusu, a może nawet i auta i będzie jeździł tam i z powrotem od sześcianu do sześcianu przez cały rok. Historia zatoczy koło.

- A urlopy? Przecież raz w roku taki człowiek będzie miał urlop. Nie będzie ciągle pracował – zapytałem, szukając słabości w planie.

- O tym także pomyśleliśmy. Zaplanowaliśmy te dwadzieścia dni, na konsumpcję. I tu wszystko jest poukładane. Za wycieczkę trzeba zapłacić. Im bardziej egzotyczna, czyli im mniej sześcianów foremnych tym droższa. Osobnik będzie pracował intensywnie by zarobić na to, by móc się chociaż na chwilę wyrwać z codziennego rytmu. I pozornie wyrwie się z niego, zapomni na chwilę o tych samych przystankach i sześcianach, gdy będzie miał dużo pieniędzy – odpowiedział inżynier.

- Czyli system nie jest doskonały, skoro pieniądze pozwolą na wydostanie się z niego?

- Przeciwnie – odpowiedział spokojnie – Słuszne zauważyłeś, że nie istnieje taki inżynier, nawet najbardziej genialny, który mógłby zaprojektować totalny system na taką skalę, którą tu widzisz. Ale jednocześnie, to prawda, że my stworzyliśmy ten projekt. Jednak nie bezpośrednio. Nasza rola ograniczyła się tylko do zaprojektowania wartości.

- Jak to? – zapytałem całkowicie skołowany. I nie wiem jak ty, drogi czytelniku, ale w tej chwili czułem się jak małe dziecko na wykładzie z logiki wielowartościowej. Pogubiłem się zupełnie.

- Usiądźmy – zaproponował inżynier – Wszystko ci wyjaśnię.

Odeszliśmy trochę na bok. Pod jednym z drzew leżał sporych rozmiarów kamień. Usiadł na nim inżynier i dał znak ręką, żebym zajął miejsce obok. Siedzieliśmy tak przez chwilę w milczeniu.

- Widzisz, bo to jest tak – powiedział, przerywając milczenie – Dawno temu, kiedy to ludzie jeszcze tworzyli społeczeństwa, najmądrzejsi z nich próbowali pomóc im się zorganizować. Stworzyli oni organizację, tak zwany Cień Platona, do której obecnie ja należę oraz inni inżynierowie, których miałeś okazję poznać. Celem organizacji było stworzenie najdoskonalszego ustroju, w którym człowiek mógł być człowiekiem szczęśliwym i mógł czuć się bezpiecznie. Czyli jak widzisz szczytny cel przyświecał owej organizacji. Zatem owi najmądrzejsi tworzyli najróżniejsze teorie ustrojów idealnych, państw doskonałych. Wszystkie z nich okazały się być utopiami. Były niemożliwe do realizacji. Jednym z pierwszych takich projektów była platońska polis. Stąd nazwa organizacji. Wielkie państwo-miasto, o ustalonych zasadach działania, rządzone przez mędrców. Później były inne, wydawało się, że doskonalsze koncepcje. A nawet szczegółowo obliczone i zaplanowane Fourierowskie falanstery. Wszystkie te pomysły nigdy nie zostały zrealizowane. W pewnym momencie organizacja zdała sobie sprawę z nieskuteczności projektów pozytywnych. Postanowiono stworzyć projekt negatywny, to jest ustrój bez ustroju. Tak powstał komunizm. Myślano wówczas, że człowiek z natury nie akceptuje żadnej formy panowania. Jednak i ten plan zawiódł już na etapie formy przejściowej. Połała się krew, ale potrafiliśmy z tego wyciągnąć wnioski. Inżynierowie z organizacji zaczęli studiować stare teksty. Wrócono do pism Platona. To właśnie wówczas zauważono coś, co do tej pory nie tyle zignorowano, ile nie właściwie doceniono...

- Co to takiego? – przerwałem niecierpliwym finałem opowieści.
- To fragment 516. Dziś każdy z nas zna go na pamięć. Brzmi on tak: „potrafiłby słońce, i już nie w wodach ani w obcym miejscu majaki jego, lecz samo w sobie w jego własnym siedlisku wzrokiem objąć i obejrzeć, jakie ono jest” – wyrecytował inżynier.
- Jeżeli ty coś z tego zrozumiałeś, jeżeli ty drogi czytelniku potrafisz odnaleźć związek między fragmentem o słońcu a inżynierią, to znaczy, że jesteś albo mądrzejszy niż ja, albo jesteś członkiem organizacji Cienia Platona. Jako, że ja z platonizmem nie miałem nic wspólnego, przynajmniej tak mi się wydawało, chciałem aby mi mój rozmówca wyjaśnił jak się rzeczy mają. Zapytałem:
- Co ma wspólnego słońce z inżynierią i projektowaniem?
- Widzisz, okazało się, że Platon jako pierwszy inżynier zwrócił uwagę na konieczność powiązania systemu wartości z ustrojem. Tylko, że on wówczas popełnił błąd. Dobra złe wartości. Przyjmując za podstawowe założenie kategorię człowieka, na szczycie wartości umieścił ideę dobra. Wierzył, że poznanie tej idei sprawi, że człowiek wiedząc czym jest dobro nigdy nie będzie źle postępował. Tak stworzył najbardziej naiwną koncepcję, jaka kiedykolwiek mogła być wymyślona: doktrynę intelektualizmu etycznego.
- Ale dlaczego naiwna?! – oburzyłem się – Nie wiem czy to wymyślił Platon, ale wiem na pewno, że ja jako Sokrates od zawsze wierzę w to, że człowiek znający dobro, źle czynić nie może! Wcale do tego nie potrzebowałem waszego fragmentu 516! Tak po prostu robi człowiek!
- Wiemy, wiemy. Na tym polega twój problem i dlatego tu się znalazłeś. Ale to ci jeszcze wyjaśnię – starałem się mnie uspokoić inżynier.
- Ale wracając do wartości – kontynuował – Analizując projekty naszych poprzedników i przyczyny ich niepowodzeń, doszliśmy do wniosku, że czynnikiem degenerującym był po pierwsze: człowiek; po drugie: przepaść między tym, co powinno być a tym, co jest. Czyli różnica między Sein i Sollen; Po trzecie... – w tym momencie przestałem go słuchać, przypomniawszy sobie to, o czym mówiła w moim śnie elita świńskiej władzy. Tam też problemem było przedrewolucyjne Sein i Sollen. I znowu zobaczyłem te same wykrzywione ryje, które chciały mnie rozszarpać. Ocuciło mnie lekkie szturchnięcie inżyniera w bok i słowa:
- Rozumiesz o co mi chodzi?
- Nie odpowiedziałem. On po chwili milczenia kontynuował:
- Dlatego postanowiliśmy zrównać sferę powinności z tym, co jest. Tu znacząca rola odegrała matematyka i wszystkie nauki jej pokrewne. Na początku sprawiliśmy, że dotychczasowe abstrakcyjna kategoria dobra, czyli to, co z człowieka czyniło człowieka, została zredefiniowana. Treść tego pojęcia została przez nas zastąpiona inną, równie potężną abstrakcją, a mianowicie jedynką z nieskończoną ilością zer. Tak oto absolut nieskończenie dobry, został zmieniony na absolut nieskończenie nieprzeliczalny i nikt nie zorientował się, że dobro zastąpione zostało w sposób dyskretny na dobrobyt. Był to traf w dziesiątkę. Bo okazało się, że człowiek przestał być człowiekiem, stając się elementem statystyki, którego miejsce awansuje w słupkach wykresów. Zaczęła rządzić ekonomia. Cel ogólny stał się celem jednostkowym. Nie ma już żadnej sprzeczności. Wszyscy chcą kolekcjonować kolejne zera po przecinku, a najwyższą wartość w tym systemie przecież ma nieskończoną ilość zer. Zatem nigdy nie ma się dość. Mało tego, wszyscy znaleźli się nagle w jednej tabeli, w której każdej jednostce przyporządkowana jest pewna wartość liczbowa od 0 do X, gdzie X dąży do nieskończoności, do nowego etycznego absolutu. Teraz już chyba wszystko jasne.
- Nie zupełnie – odpowiedziałem, starając sobie uporządkować wszystko w głowie – W dalszym ciągu nie potrafię pojąć, w jaki sposób ta redefinicja kategorii dobra, którą zaprojektowaliście i przeprowadziliście, spowodowała powstanie całego projektu, który mi przed chwilą pokazałeś.

- To proste – odparł inżynier, zmieniając pozycję siedzenia – Przypomnij sobie ten fragment, który tobie cytowałem i to słońce, o którym była w nim mowa. I teraz obejrzyj się dokoła. Widzisz te wszystkie rośliny, drzewa, krzewy i trawę. Rytm temu systemowi nadaje słońce, które nad tym wszystkim świeci. Nawet intensywność cienia, który daje wychnienie, zależy od słońca. Gdyby go nie było, cień nie miałby żadnej wartości. Wszystko, co tu widzisz jest mu podporządkowane i od niego uzależnione. Tak samo jest tam na dole, pod nami. Tamten świat ma swoje słońce, które zostało przez nas stworzone. Dlatego cała struktura jest pośrednio naszym dziełem. Zresztą sam widziałeś wszędobylską geometrię, nieustanną gonitwę, w której nie ma nawet odrobiny chaosu. Wszystko zmierza ku temu słońcu, jest mu całkowicie podporządkowane. Społeczeństwo stało się zatamizowanym organizmem, przy czym zrównanie tego, co jest a tego, co być powinno zniosło w tym przypadku sprzeczność między atomem a organizmem.

Teraz dopiero dotarła do mnie prawda o świecie, w którym nieustannie poszukiwałem człowieka. Dopiero opowieść inżyniera z organizacji Cień Platona pozwoliła mi w końcu odnaleźć odpowiedź na pytanie: „Dlaczego szukałem człowieka wśród ludzi a mimo to nie mogłem go nigdzie znaleźć”. Świadomość totalnego projektu z matematycznym słońcem przytłoczyła mnie. Uświadomiłem sobie bezsensowność moich dotychczasowych poczynań, wszystkich badań naukowych, niekończących się wątpliwości, pytań i odpowiedzi. W jednej chwili stałem się samotny. Zrezygnowany zwiesiłem głowę, westchnąwszy ciężko powiedziałem do inżyniera:

- Już wiem, dlaczego tu jestem.
- Wiem, że wiesz – odpowiedział – I wiesz, co cię czeka.
- Yhhmmm.

Biurokracja

„Kurwa, kurwa, kurwa!” – kląłem w duchu. Nie przeklinałem własnej naiwności, wiary w spotkanie człowieka, która była motorem każdego mojego działania. Bynajmniej. Moje introwertyczne kurwowanie spowodowane było świadomością, że nie zdążę zadać wszystkich pytań inżynierowi, a które kłębiły mi się w głowie. Między małżowiną prawą a małżowiną lewą rozciągała się teraz cała metafizyka interrogatywna. Pytanie, za pytaniem. Pytanie na pytaniu. Pytanie pod pytaniem. I to wszystko oplecione wielkim znakiem zapytania. „Kurwa, kurwa, kurwa...”

- Wracamy – powiedział inżynier przerywając mój kurewski maraton.
- Mam jeszcze tyle pytań, tyle...
- Wiem, ale ty wiesz, że nie masz już czasu na wszystkie odpowiedzi – przerwał inżynier podnosząc się z kamienia – Pomyśl sam, co by ci one dały?

I tak oto drogi czytelniku inżynier wzbogacił moją prywatną metafizykę interrogatywną. Kolejne pytanie do kolekcji. Wstałem. Inżynier cały czas uważnie na mnie spoglądał. Widocznie byłem dla niego wdzięcznym obiektem dla obserwacji. Reliktem. Dinozaurem epoki ludzi, która zakończyła się wraz z skonstruowaniem nowego słońca. Ja sam zdawałem sobie cały czas sprawę z tego, że nie pasowałem do tego świata, tych ulic, marketów, biurowców nie wspominając o garniturach. Opór wewnętrzny budziły we mnie nawet najdrobniejsze codzienne rytuały. Od śniadania począwszy, przez mycie zębów a skończywszy na zamykaniu drzwi mieszkania. Jednak przez cały czas sądziłem, że to wina nieprzystosowania, choroby, jakiejś odmiany psychopatologii. Nigdy bym nie przypuszczał, że jestem jedynym przedstawicielem świat ludzi w świecie ludzi bez ani jednego człowieka.

„Jak mogą współistnieć takie sprzeczne rzeczywistości? Czy jest trzecia metarzeczywistość, w której owa sprzeczność może trwać i trwać?” – pytania w mojej głowie zmieniały się jak w kalejdoskopie. Nieskończone wątpliwości okraszone pytajnikami przerodziły się poczucie bezsilności. Ze zwieszoną głową, ciężką od myśli, stałem tak przed inżynierem, czekając aż wyda rozkaz do ostatniego marszu.

- Dobrze. Odpowiem ci na jedno, ale tylko jedno pytanie. Jesteśmy ci to winni, w końcu od wieków kończysz zawsze w ten sam sposób. Ale pamiętaj, wybierz dobrze, bo to tylko jedno pytanie, na które będzie tylko jedna odpowiedź – powiedział inżynier, który widocznie starał się mi ulżyć.

[.....] – tu, między nawiasami, zostawiłem dla ciebie drogi czytelniku, miejsce na jedno tylko pytanie. Ja sam nie miałem odwagi, by je zadać. Ty jednak, dzięki właściwemu wykorzystaniu wykropkowanej przestrzeni, możesz stać się taki jak ja, drugim Sok Ratesem. Oczywiście, że to wymaga odwagi, ona będzie początkiem. Dzięki niej zmieni się perspektywa mikro i makro. Pojawi się dystans, odcinek złożony z niezliczonych punktów pytań, który nie będzie tylko odległością mierzoną liczbami, ale przede wszystkim refleksją nad. Wtedy ani się spostrzeżesz, a staniesz się człowiekiem.

Spotkanie się zakończyło. Spojrzałem ostatni raz na wszystkich inżynierów, pławiących się w cieniu. Wiedziałem, że widzę ich ostatni raz. Właściwie to jedno z ostatnich moich spotkań w ogóle. Pla, która od jakiegoś czasu stała się moją nierozłączną towarzyszką, pociągnęła mnie za rękę i powiedziała:

- Wracamy. Teraz czeka cię proces.

Posłusznie udałem się za nią. Wracaliśmy tą samą ścieżką wyłożoną czarnym bazaltem. Zupełnie otumaniony co najmniej czterema miliardami pytań nie zwracałem uwagi na Ple, ani na kierunek marszu. Wlepiając wzrok w kostkę brukową, pogrążony w apatii zmierzałem do wejścia z drabinką, by ponownie przebyć cały labirynt korytarzy, zaułków, niezliczonych drzwi i mrowiska osób w garniturach, które się w nim nieustannie przewijały. Nie zwróciłem uwagi na to, że Pla, moja funeralna przewodniczka zatrzymała się, a ja ciągle szedłem i szedłem, zostawiając ją w tyle.

- Nie tam! – dobiegł mnie jej krzyk – Wracaj!

Zatrzymałem się. Odwróciłem i dopiero teraz zauważyłem, że stoi ona przed małymi drzwiami, których wcześniej nie zauważyłem, bo zasłaniały je krzaki. Podeszedłem do niej. Pla powiedziała:

- Pójdziemy na skróty.

- Jak to na skróty? Dlaczego nie przyszedliśmy tu skrótami, tylko ciągałaś mnie po korytarzach, skoro jest droga na skróty? – zapytałem.

- Bo skrót jest tylko w jedną stronę. Stąd na dół – odpowiedziała i zaczęła coś majstrować przy przyciskach, które znajdowały się obok. Po chwili drzwi się otworzyły, Pla weszła do środka.

- No dawaj! – ponagliła mnie. Wszedłem za nią. Za sobą usłyszałem szmer zamykających się automatycznie drzwi i poczułem dziwne uczucie, coś jakbym spadał z dużej wysokości. „To na pewno musi być winda” – pomyślałem. Pewnie się w tej chwili dziwisz drogi czytelniku. Zadajesz sobie pytanie: „Jak to? On nie jechał nigdy w życiu windą? Niemożliwe!”. Otóż powiadam ci, że nigdy nie korzystałem z windy. Zresztą sam powiedz: czy widziałeś kiedyś w windzie gościa odzianego tylko w majtki z namalowanymi czerwonymi krasnoludkami? Wszystkie windy, oprócz tej jednej, drogi czytelniku, zarezerwowane są tylko dla istot w uniformach lub towarów. Zresztą, zgodnie z tym, co usłyszałem na dachu od inżyniera, nie

ma żadnej różnicy między zuniformizowaną jednostką a towarem. Jedno i drugie jest wartością ekonomiczną.

Ale wracając do mojej pierwszej podróży windą. Kiedy ochłoniłem trochę z pierwszego wrażenia zapytałem:

- Powiedz mi, co to za budynek, który ma skrót, działający tylko w jedną stronę?
- Nazwaliśmy go BIUROKRACJĄ – odpowiedziała – To jeden z bardziej udanych naszych projektów. Skutecznie oddziela nas, inżynierów, od świata, który zaprojektowaliśmy. Czysta, zrjonalizowana, podporządkowana niemalże całkowicie prawom matematyki konstrukcja, w której każdy, bez wyjątku się gubi. Trzeba wiele wysiłku, żeby ją przebrnąć. Taki system liczbowy, w którym każda cyfra czy liczba powiązana jest z każdą następną. Tworzy to tak niebywałą strukturę, że już na poziomie dziesięciu zaczyna tracić się orientację w możliwościach połączeń. Ale, co ważne, na każdym poziomie obowiązuje ta sama zasada działania.
- Nie rozumiem. Możesz jaśniej? – zapytałem.
- No to powiem ci, jak to działa w praktyce. Wchodzisz do BIUROKRACJI. Idziesz do portiera i pytasz, bo masz jakiś problem. Ten ci wskazuje jedne drzwi. Wchodzisz, a tam cię informują, że musisz się udać do drzwi następnych. W następnych spotyka cię analogiczna sytuacja. Kiedy dochodzisz do piątych drzwi, ktoś cię informuje, że takie rzeczy załatwiane są w pokoju numer jeden, w którym przecież byłeś. Wracasz. Tam słyszysz, że to na pewno nie tu, i zostajesz odesłany tym razem do drzwi numer dziesięć. Z dziesiątki wracasz do siódemki, z siódemki idziesz do czternastki, ale musisz się wrócić do szóstki, bo do niej wrócić musisz, by dostać się do siedemnastki. I tak cały czas, bez końca. W zasadzie nikt nie przechodzi na poziom trzydziesty, tracąc siły w okolicach dziewiętnastki. A wyobraź sobie, że trzydziestka to zaledwie początek – skwitowała uśmiechając się ironicznie.
- No a ten skrót. Dlaczego działa w jedną stronę? Dlaczego nie wjechaliśmy do inżynierów windą, tylko szliśmy i szliśmy godzinami?
- Bo BIUROKRACJA ma ustalony sposób działania. Nie ma tu miejsca na żaden wyjątek, bo łatwo sobie wyobrazić, co by się stało z ogrodem, który zobaczyłeś, gdyby nagle wszyscy dowiedzieli się o prostej drodze do góry. Każdy by chciał korzystać z tego skrótu. Każdy, bez wyjątku.
- To znaczy, że także wy, inżynierowie podlegacie regułą działania swego projektu – powiedziałem.
- Oczywiście. Każdy inżynier, który buduje most, buduje go nie po to, by skakać przez rzekę, ale po to, by mostem przez nią przejść.
- Ale oni tu nie schodzą. Oni siedzą cały czas w cieniu, w ogrodzie. Tylko ty jedna...
- Bo moim zadaniem jest – przerwała mi Pla – szukanie człowieka, dlatego schodzę na dół. I tylko dlatego, nie ma żadnego innego powodu.

Zamyśliłem się. Skrót, który prowadzi tylko w jedną stronę; BIUROKRACJA i te jedyne, piątki, trójki, siódemki i tak w nieskończoność; miliony połączeń możliwych; to było dla mnie zbyt wiele, żebym mógł to ogarnąć.

- Opowiedział ci o kinie? – zapytała Pla po chwili milczenia.
- Tak – odpowiedziałem, ocknąwszy się z zadumy – A o co chodzi?
- A pamiętasz ktosia i jego rękę?
- Tak.
- To łatwo się domyślisz, dlaczego jestem jedynym inżynierem, który co jakiś czas staje się częścią projektu.

- Ale... – chciałem jeszcze o coś zapytać, gdy nagle otworzyły się drzwi windy. Wyszliśmy i natychmiast otoczyło nas stado wbite w garnitury. W tej chwili nie było już czasu na nic. Zmierzałem wprost do swojego przedustawnego końca.

Koniec

- Nie możesz tak po prostu zniknąć, chociaż pewnie to byłoby najprostszym załatwieniem sprawy. To jednak nie te czasy, w których najlepsze były proste rozwiązania. Dlatego najpierw staniesz przed sądem. Ten skaze cię na śmierć i dopiero wówczas umrzesz. Zabijemy cię zgodnie z prawem – powiedziała Pla i wyprowadziła mnie z windy.

- Ale dlaczego chcecie mnie zabić? – zapytałem.

- Bo jesteś człowiekiem – odpowiedziała zdawkowo.

Kiedy zasunęły się za nami jej drzwi zdałem sobie sprawę, że jedyna droga, która mogła mnie z tego bagna wyprowadzić została odcięta. W tej chwili znalazłem się wśród formalnego tłumu, który zniszczy wszelką aberrację. Każda dysproporcja, która zmierzy się z kanonem estetyki garnitury musi zostać zniszczona. Tak jak w wojsku. Miałem tego zupełną świadomość. Dokąd jednak mógłbym uciec? Mógłbym spróbować złamać regułę i wrócić windą do ogrodu. Do azylu naturalnego zróżnicowania, do cienia domku herbacianego. Czy jednak chciałbym ratować się ucieczką do mikroświata inżynierów i stać się taki sam jak oni? Byli tacy łagodni, spokojni i mili, zwłaszcza ten, który mi wszystko cierpliwie tłumaczył. Jeszcze teraz miałem smak lemoniady w ustach, cały czas czułem kontrast żaru słońca i przyjemnego chłodu cienia. Gdy wyobrażam sobie w tej chwili, że mógłbym tam beztrąsko przesiedzieć resztę życia, a nie tu na dole czekać na skazanie i pewną śmierć, ogarnia mnie przez chwilę żal i poczucie niewykorzystanej szansy. Jednak w tej samej chwili przypomina mi się świński sen i stwierdzenie świni, że każdy, kto wchodzi do pokoju, czyli w tym przypadku – do ogrodu, zanim wejdzie jest już jednym z nas. To było moim pocieszeniem. Jedyną drogą ucieczki była droga do ześwinienia, a tego bym nie przeżył. „Prawdziwy, pierdolony konflikt kurewsko tragiczny w chuj!” – kłamałem w myślach – „Jak się nie obrócisz, z każdej strony śmierć, kurwa!”.

Pla, zostawiła mnie samego przy windzie i weszła między tłoczących się w holu BIUROKRACJI osobników. Wspięła się na palcach, tak by być jeszcze wyższą i wydarła się na całe gardło:

- STOP!

I jak myślisz czytelniku, co się stało? Jak zareagowali ci wszyscy w garniturach, kostiumach, złani tymi samymi perfumami, wymalowani takimi samymi pomadkami itp.? Otóż w ich reakcji nie było niczego zaskakującego. Wszyscy zareagowali tak samo. Tłum stanął, tłum odwrócił głowę w kierunku mojej przewodniczki, tłum był posłuszny władzy, którą bez wątpienia uosabiała Pla. To ona przecież była inżynierem, który schodził na dół z ogrodu. A ja w tym wszystkim, jak to ja, rozglądałem się dookoła szukając choćby jednego osobnika, który olał rozkaz stopu. Takowego jednak nie znalazłem.

Tym czasem wokół mojej przewodniczki stworzył się kawałek wolnej przestrzeni. Tłum odstąpił od niej jakby na krok. Była teraz całkiem widoczna. Nie musiała już wspinać się na palcach. „To pewnie jest ten dystans między rozkazującą władzą a społeczeństwem. Odległość niezbędna by wyraźnie widzieć i usłyszeć rozkaz czy gest” – pomyślałem. Nie miałem czasu by rozwinąć ową myśl, bo nagle Pla wskazała ręką w moim kierunku. Nauczony incydentem w kawiarni, w której owa niewiasta swoim gestem spowodowała, że nagle wszyscy goście rzucili się na mnie, spodziewając się ataku instynktownie cofnąłem się o krok. Poczulem chłód metalowych drzwi windy. „No to mam przepierdolone!” –

mruknąłem do siebie i zasłoniłem głowę. Tłum zareagował poprawnie. Tłum spojrzął na mnie. Tłum nagle jednym gardłem krzyknął:

- Zboczeniec! Co za perfidia! Nienormalny! Ekshibicjonista! Pedał! Dzieciojeb!

Nie wiem jak ty czytelniku, ale mnie zaskoczyła owa reakcja. Wszyscy nagle zauważyli to, że odziany jestem tylko w majtki. Mało tego, zaczęli coś krzyczeć o zboczeniu, o ekshibicjonizmie. Przecież ja cały czas chodzę ubrany na przekór, gardząc garniturami. Nigdy się z tym nie ukrywałem. W swoich gaciach od lat wędruje ulicami i prowadzę swoje poszukiwania. Nigdy do tej pory nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nawet gdy wprost zaczepiałem ludzi na ulicy, to albo dostawałem w mordę, albo byłem zbywany oklepanym „nie wiem”. Tym razem wszyscy zauważyli moją inność. Odsunęli się jak od kuracjusza leprozorium. Wyobrażałem sobie jak z lotu ptaka wyglądać musiała ta cała sceneria. Dwa kręgi z jednym centrum, którymi jestem ja i Pla, a między nimi mrówcze wypełnienie, skondensowani konsumenci, robotnicy w garniturach. Pla zapewne czuła się jak ryba w wodzie w tej sytuacji. Ja czułem pewien dyskomfort. Stałem się w jednej chwili komórką oglądaną przez tysiąc par okularów mikroskopu. Każdy chciał zobaczyć „zboczeńca”, który przecież zawsze był, jaki był, ale teraz, kiedy został wskazany przez władzę, stał się epicentrum uwagi tłumu. Okazało się, że tłum widzi także zbiorowo i zawsze tak samo, ale tylko na rozkaz.

Dalszy rozwój wypadków był do przewidzenia. Podobnie jak w kawiarni i tym razem zostałem obezwładniony, skuty kajdankami i przy wtórze: „Zboczeniec! Pedał! Gwałciiciel dzieci!” zaprowadzony do auta, którego drzwi otwierają się tylko od zewnątrz. W tym momencie zrozumiałem, że stałem się mimo woli gwiazdą. Zastanawiało mnie tylko jedno. Dlaczego tłum moją odmienność tak łatwo, wręcz intuicyjnie powiązał ze sferą seksu? Dlaczego żaden z gapiów nie krzyknął: „Filozof!”, tylko właśnie „Zboczeniec!”. Jeżeli miałbym sam siebie określić, to owszem byłem zboczeńcem, ale intelektualnym. Tropiłem najdziwniejsze ślady mojej działalności intelektualnej, zastanawiałem się nad pewnymi oczywistościami, które nie były dla mnie nigdy oczywiste. Wiecznie zadawałem sobie pytanie, co czyni z oczywistości oczywistość. Jednakże moja śmiałość intelektualna nijak nie korespondowała ze śmiałością obyczajową. Ile to czasu upłynęło, zanim zdobyłem się na odwagę by po raz pierwszy porozmawiać z moim sublokatorom szczurem. W zasadzie tylko on był moim jedynym powiernikiem, tylko on miał cierpliwość wysłuchać mnie do końca. Sam zresztą nigdy nic nie powiedział, nawet wówczas, gdy przekonany o wigilijnych cudach, karmiłem go opłatkiem, by ten jako zwierzę przemówił do mnie ludzkim głosem. Wtedy też milczał i przyznać muszę, że nie martwiło mnie to ani trochę. Człowiek potrzebuje towarzystwa, które mi szczur oferował. Ale taki człowiek jak ja bardziej niż towarzystwa potrzebuje milczenia. Szczur w tej kwestii mnie nigdy nie zawiódł.

I jesteś jeszcze ty, czytelniku, lecz o tobie nic nie wiem.

Poza wami nie mam nikogo. Na początku uważałem, że to strach przed moją odmiennością zrażał innych do mnie. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że to ja się boję każdego innego. Z tego powodu nie zawierałem nigdy żadnej znajomości, koncentrując się wyłącznie na poszukiwaniu człowieka. Właściwie to nie wiem jakbym się zachował, gdybym takowego kiedyś spotkał. Czy uściskałbym mu dłoń, gratulując przede wszystkim siebie? Czy może nie byłbym już samotny? Czy może przeciwnie, że indywidualizm, potrzeba wolności, która jest wpisana w definicję człowieka rozdzieliłaby nas tuż po spotkaniu, skazując na samotność? Nie wiem, nie wiem.

Znowu taka sama sytuacja. Jadę w aucie oddzielony szybą pancerną od kierowcy. Wóz pędzi na sygnale. W uszach dźwięczy mi nieznośnie:

- Iu, iu, iu, iu...

Łeb mi od tego pęka. Zza szyby widzę ulicę i chodniki. Takie same, po których odbywałem swoje wędrówki. Kiedy mijaliśmy przechodniów, ci przystawali na chwilę, przyglądali się

autu, ich uwagę przyciągało to samo wycie syreny, które rozwalało mi kolejne szare komórki. Od tego widoku pieką mnie oczy. „Kurwa! Kurwa! Kurwa!” – ponownie zakołatało mi w głowie. Recytując w myślach ową kurewską mantrę urozmaicałem sobie czas podróży do sądu, przed którym się zatrzymaliśmy. Gruby gość, w strażniczym uniformie wyprowadził mnie z wozu. Okazało się, że na schodach do okazałego gmachu sądu stał już tłum reporterów. Błyskały flesze, jeden przez drugiego wrzeszczał, starając się zadać jakieś pytanie. Prawie nic nie rozumiałem z tych krzyków. W zasadzie nawet nie starałem się zrozumieć, tylko obserwowałem. Przyglądałem się im wszystkim, którzy dopiero teraz się mną zainteresowali. „Jakie to wszystko proste, wystarczy zainteresować sobą władzę, a reszta zrobi się sama” – pomyślałem. Bo widzisz drogi czytelniku, właśnie w tej jednej chwili, która dzieliła mnie od śmierci zrozumiałem, że do świadomości społecznej istnieje droga na skróty. Ten skrót się nazywa „władza”. Konflikt z władzą, nawet najmniejszy jest konfliktem z całym społeczeństwem, który podlega jej panowaniu. Ale nie na odwrót. Alternatywa ma tylko jeden kierunek.

Prowadzili mnie tak po tych schodach. Trochę się opierałem, rozglądając się uważnie dookoła. Miałem świadomość, że to ostatni materiał empiryczny, jaki w swoim życiu zbieram. Patrzę po raz ostatni na miasto, którego nie będzie mi żal. Ostatni raz oglądam karnych przechodniów po jednej i drugiej stronie chodnika, którzy na chwilę przystają by poobserwować spektakl na schodach ze mną w roli głównej. Ich też nie będzie mi żal. Patrzę na słońce, które teraz świeci jakby trochę słabiej. Tego słońca także nie będę żałował. W tej chwili pojawia się pewnie w twojej głowie pytanie: czy czegokolwiek będzie mi żal? Otóż drogi czytelniku będzie mi żal mojego szczura i ciebie. Kto będzie karmił okruszkami mojego sublokatora? Kto odkręci mu kran, żeby mógł się napić? W tych wszystkich sterylnych mieszkaniach, ulicach nie ma miejsca na odpady, na okruszki, nawet na kurz. Wszystko podporządkowane tym samym prawom estetyki, w których pojecie szczura się nie mieści. Dlatego on zginie. Może nie wraz ze mną, ale chwilę po. Żal mi będzie ciebie czytelniku, bo nikt ci już nie opowie o swoich paranojach. Wrócisz do książek normalnych, które czyta się od deski do deski i tylko jeden raz. Wrócisz do lektur, w których tylko opowieści o snach są nierealne, a nie na odwrót. Ponownie znajdziesz się w inżynierskiej rzeczywistości z matematycznym słońcem nad głową. Ponownie usłyszysz, że życie to odległość od zera do X, gdzie X może równać się zero jest mniejsze od nieskończoności. Tym samym będą tobie wciskać, że życie to przeżywanie kolejnych cyferek i liczb, że liczą się tylko liczby. Czy ktoś tobie opowie o tym, że w życiu można robić coś innego niż tylko podążać matematyczną prostą? Że można być kolekcjonerem, który w kieszeniach gromadzi wrażenia, muszelki z plaży, najdziwniejsze doświadczenia? Że życie to coś więcej niż stadne dostosowanie, przystosowanie, zrównanie potrzeb czy smaku? Że czasami w załamaniach większych lub mniejszych niż dziewięćdziesiąt stopni, też można i należy żyć?

Pewnie nie. Ale wiele razy przeczytasz o wartościach, jakimi jest dobro, miłosierdzie, pomoc. Będą tobie wciskać, że w tym tkwi istota człowieczeństwa i za każdym razem podadzą tobie numer rachunku bankowego. Wpłacisz odpowiednią sumę, będziesz dobrym człowiekiem. Nie wpłacisz, to nie będziesz człowiekiem. Pojawisz się w statystykach, w słupkach, których będziesz nanometrem. Tam będziesz ty, jako ten, który pomaga albo nie pomaga – czyli jako człowiek albo nie-człowiek.

Ciemność mnie nie zaskoczyła, ani też ten ostatni oddech, który oszczędzałem, który chciałem jak najdłużej wstrzymać. Wiedziałem, że jak wypuszczę powietrze, to już więcej nie wypełni on moich płuc. Dlaczego mnie nie zaskoczyło to uczucie? Bo już raz go doświadczyłem.

Kiedys śniła mi się śmierć, ale nie taka, że mnie ktoś tam goni i zabija, tylko prawdziwa śmierć. Śniło mi się, że umieram. Miałem tego całkowitą świadomość. W tym śnie, a

właściwie w tym śnie o ostatnim oddechu i śmierci, główną rolę odgrywał ów ostatni oddech i ciemność. Wstrzymywałem tak długo powietrze jak tylko mogłem. Wiedziałem, że jak je wypuszczę, to koniec. Ostatni oddech był naprawdę ostatni. Moja deska łącząca ze światem żywych. W tym śnie, kiedy wypuściłem powietrze, a wypuszczałem je długo i do ostatniego atomu tlenu, azotu czy czegoś tam jeszcze, by trochę jeszcze pożyć, nastąpiła zwykła ciemność. Nie było żadnego tunelu z źródłem światła na końcu, nie było ogni piekielnych. Nie było nic, oprócz jednej jedynej myśli: „Tu nic nie ma”. Nie wpadałem w panikę. Był spokój i czerń, a w zasadzie to spokojna, wszędobylska czerń.

Ostatnie wspomnienie, jakie upchałem w kieszeni, to widok automatu wstrzykującego mi mętną substancję do żyły. Próbowałem walczyć. Starłem się uwolnić. Chociaż jedną rękę, byś ktoś mnie wyciągnął z tego wszystkiego. Szukałem tej pomocnej dłoni, która ratuje zbłąkanego widza w ciemnej sali kinowej. Żadnej ręki nie było.

Cudowna kokaina.